

ВАЛЕНТИН ИВАНОВ



Тю Следчу

ТРУДРЕЗЕРВИЗДАТ — 1954

Iwanow Walenty

Na tropie

Tłumaczenie : Stefan Żak

Rysunki: G. Bałaszew

Miranda

&



I. SPOTKANIE W STEPIE



Ałonaw pełzał przyłgnawszy całym ciałem do ziemi. Ruchy jego były ostrożne, ale szybkie i zdecydowane. Dobrze rozumiał, co się stanie, jeśli jego plecy lub ramię uniosą się wyżej niż należy i choćby na moment staną się widoczne z dala ponad łądygami nikłej, wypalanej słońcem i posuchą stepowej trawy.

Wydawało mu się, że pełźnie bardzo powoda i niezręcznie. Starał się obliczyć, wyobrazić sobie, jak długo już tu trwa, ile razy przesunął swoje ciało w przód. Okazało się to jednak niemożliwe. Napięcie nerwów nie pozwoliło mu na zachowanie poczucia czasu.

Dlaczego nic nie słychać? Gdzie oni się podzieli? Może już podeszli do tych właśnie krzewów, gdzie się ukrył i stoją tam teraz rozglądając się na wszystkie strony? A niech to diabli L. Przecież jakiś tam ślad na pewno za sobą zestawił. Chociaż — nie tak znów łatwo odnaleźć ślad w niskiej, ostrej trawie. Na myśl o tym, że ktoś stoi teraz z tyłu przy krzewach i uważnie rozgląda się po okolicy, a być może nawet już go zauważył, Ałonow zmartwił. Nagle poczuł na sobie to spojrzenie. Nie widział człowieka, ale zupełnie wyraźnie wyobraził sobie, jak przyciska on do ramienia kolbę karabinu i przymruża lewe oko. Od oka nieznanego Strzelca przez nacięcie szczyrbiny ciągnęła się prosta linia, "kładła się na muszkę... Oto dotknęła Już karku, zatrzymała się na chwilę, potem osunęła się niżej i legła między łopatkami... Ałonow ze wszystkich sił przyciskał się do ziemi. To oczekiwanie było straszne. Chciało mu się krzyknąć: — Strzelaj już!

Z wysiłkiem zapanował nad sobą. Znów ugiął prawą nogę w kolanie, znów wyciągnął lewą rękę i wykonał kolejny ruch naprzód. Pot spływał mu strumieniami po twarzy i zalewał oczy. Wystrzał z tyłu nie rozlegał się. Myśli Łonowa wróciły do równowagi, rozgorączkowana wyobraźnia uspokoiła się. Ałonow pochylił głowę bardzo nisko, Nie zwracał nawet uwagi na to, że wilgotną skórę drapią ostre, wyschnięte trawy, twarde źdźbła piołunu, ostu i blekotu. Nagle głowa Ałonowa w pogniecionej, wypalanej przez słońce zielonej czapce oparła się o coś twardego. Ałonow ujrzał przed samą twarzą splekaną korę drzewa. W odległości kilku centymetrów od oczu pełzła po korze duża, czarna mrówka.. Mrówka ujrzawszy straszną twarz człowieka wczepiła się nóżkami w korę, rozwarła szczęki i zgięła odwłok.

Przygotowywała się do walki.

Drzewo... Człowiek patrzył na mrówkę, ale widział tylko drzewo. A więc jest u celu. Od razu wszystko się zmieniło, myśli i uczucia pobiegły innym torem;

Mrówka nadał groźnie sterczała na korze drzewa. Wyzwanie jej nie zostało jednak przyjęte przez człowieka. Człowiek podniósł się nagle jakby go ziemia podrzuciła, zrobił kilka skoków i padł za drzewami Padając zdążył jeszcze usłyszeć wystrzał, ale którądy przeszła kula nie zauważył

Leżąc za drzewami w gęstej trawie Ałonow zerwał z głowy czapkę, wytarł nią twarz i znów szybko ją nałożył daszkiem do tyłu. Później przerzucił strzelbę i obmacał palcami wyloty lufy.

Były czyste. Ałonow odciągnął ramek i przełamał strzelbę. Lewą ręką wyciągnął z mej dwa niepotrzebne naboje, nabite śrutem na kuropatwy... Wyjął z ładownic dwa tonę naboje z wystającymi z gilz ołowianymi, okrągłymi kulami i włożył je w lufy. Ostro szczęknęła zamykana strzelba.

Teraz Ałonow poczuł się znacznie pewniej. Podniósł się i rozejrzał. Zdziwiła go głęboka cisza. Po tym wszystkim, co się stało, głęboki spokój leśnego zagajnika wydawał się jakiś sztuczny, nierzeczywisty.

Pogoda była bezwietrzna, panował upał. Niskie drzewa o dość gęstym podszyciu z krzewów wierzbiny i głogu, pokrytych dojrzewającymi jagodami, zamarły w bezruchu. Nie zakołysały się ani jeden liść.

Nad uchem cienko zabrzęczał komar i natychmiast zamilkł znajdując dogodnie miejsce dla swojej długiej, cienkiej ssawki. Za nim zabrzęczał drugi, trzeci, czwarty— Ale te zwykle,

spokojne dźwięki zupełnie nie dochodziły do świadomości Ałanowa. Natęzał słuch — cisza. Ani szelestu, ani trzasku, ani dźwięku kroków.

Niespodziewanie ogarnęła go wściekłość. Gdzież oni się podzieli? Niemożliwe przecież, żeby odeszli i zginęli gdzieś wśród stepowych traw, żeby on już ich nigdy nie ujrzał. Czyż mieliby tak zwyczajnie odejść, po tym gdy wyszczuli go jak zwierzynę i zmusili do pełzania w trawie. Nagle zastygł w bezruchu. Wyczuł czyjaś obecność. Teraz było to coś zupełnie innego niż przed kilkoma minutami, gdy pełzał i wyobrażał sobie, że ktoś do niego strzela. Wtedy bał się i czuł się zupełnie bezbronny. Teraz strach minął. Ałanow pragnął spotkania. Nic szczególnego nie widział i nic nie słyszał, ale wiedział doskonale, że ktoś jest w pobliżu. Doświadczenie samotnych polowań i długiego współżycia z przyrodą nauczyło Ałanowa wierzyć w wyczucie i intuicję.

Obejrzał się ostrożnie, wykonał pół obrotu w lewo i podniósł do ramienia kolbę strzelby. Oczekiwanie nie trwało długo. W odległości stu dziesięciu, może stu dwudziestu kroków, w zaroślach zagajnika zauważył jakiś ruch.

Ałanow ustawił się do strzału. Na skraju zagajnika pojawiła się wysoka postać ludzika. Krzewy i trawy zakrywały człowieka do pasa. W rękach miał krótki karabin z cienką lufą. Niósł go w pogotowiu, przyciskając kolbę prawą, ręką i podtrzymując lufę lewą. Gdy tylko Ałanow ujrzał człowieka - z karabinem, wciągnął głęboko powietrze, wstrzymał oddech i dotknął palcem języka spustowego prawej lufy. Rozległ się głośny wystrzał i nieznajomy znikł jakby zdmuchnięty wiatrem. Strzelec nie zdziwił się bynajmniej. Strzał był celny... Jak zawsze. Masz — pomyślał Ałanow. — Nie będziesz już więcej polował na ludzi. Ale gdzie są pozostali? — myślał Ałanow, wkładając w lufę nowy nabój automatycznym ruchem doświadczonego Strzelca.

W ładownicach miał jeszcze trzy naboje ze sterzącymi z gilz ołowianymi kulami. W pozostałych — śrut. Hu ludzi Bezy banda polująca na niego? Tego dokładnie nie wiedział. Czterech? A może są jeszcze inni, których dotąd nie widział?

Teraz Ałanow nie odczuwał już ostrego gniewu, jak przedtem. Gdzieś tam, w odległości mniej więcej stu kroków, leżał trup człowieka. Trup... Ta myśl wstrząsnęła Ałanowem. Ogarnęło go mroczne uczucie bezsensowności tego, co zaszło. Zaczął sobie uświadamiać, że nie da się już tego odmienić. Ostry gęsty zapach bezdymnego prochu, który tak lubił, teraz wywoływał mdłości. Ałanow poczuł, że słabnie i przywarł do pnia drzewa.

W grupie krzewów nadal było cicho i spokojnie. Ałanow opuścił głowę. Kątem oka ujrzał swą rękę zaciśniętą na łożysku strzelby. Ręka wydawała się mu obca. Na skórze, brudnej i czarnej od gęstego pyłu suchej stepowej trawy, przysychała krew, sącząca się z podłużnego zadrapania.

Mdłości i słabość mijały. Trzeba jeszcze trochę poczekać. Ale nie można przecież dać się Okrążyć w tym zagajniku. Palila go szyja w okolicy lewego ucha, nie mógł swobodnie poruszać głową. Podniósł rękę i wyczuł duży guz wzdęty nad kołnierzem bluzy — powierzchowna kontuzja od kuli, która chybiła o parę milimetrów. Mimo wszystko strzelali niezbyt celnie.

W lasku rozległ się głośny krzyk. Ałanow nie mógł dosłyszeć słów, ale zrozumiał, że kogoś wzywają. Odpowiedź nieoczekiwanie zadźwięczała ze stepu. Po lewej stronie grupy krzewów pojawiło się trzech ludzi. Szli gęsiego kierując się w stronę lasku, do miejsca, skąd rozległ się krzyk. Znajdowali się w odległości, co najmniej pięciuset kroków. Daleko poza zasięgiem strzału myśliwskiej strzelby. Zresztą Ałanow nie odczuwał najmniejszej chęci, aby strzelać do tych ludzi i zabijać ich. Dość było już tego, co zrobił przed chwilą. Gdyby tak można było cofnąć ten strzał. Ałanow pomyślał, że ci ludzie mogą go oskarżyć o napad. Jest ich kijku, a on jeden. Jak można udowodnić, że to właśnie on o mały włos nie stał się ich ofiarą? Co to za ludzie, skąd się wzdęli?

Trzyosobowa grupa zbliżała się do lasku. Znów rozległ się czyjś głos. Już znacznie bliżej

miejsca, gdzie upadł człowiek z krótkim karabinem. — Znajomy głos — pomyślał Ałonow. — A więc jest ich czterech. Zaraz na skraju zarośli znajdują piątego... Trzeba uciekać. Dokąd? Plan powstał błyskawicznie. Zgiąwszy się w pół, lawirując między krzewami, Ałonow odbiegł wzdłuż skraju lasu. Zaczynała się tu ledwie dostrzegalna ścieżynka i uchodziła w step. Gdy ludzie zagłębili się w zarośla, Ałonow nadal pochylony, pobiegł ścieżynką z powrotem w step, do krzewów. Tu poczuł się na jakiś czas zupełnie bezpieczny. Krzewy rozciągały się na grzbiecie niskiego działu wód. Można było stąd obserwować okolicę znacznie lepiej niż z lasu. Ku północy ciągnął się płaski, otwarty step. Gdzieś za widnokreśm w odległości trzydziestu kilometrów biegła linia kolejowa. Oczywiście nie było jej widać.

Rozrzucone po stepie małe zagajniki zlewały się na horyzoncie w jednolitą mamiącą wzrok ścianę. Niedaleko stąd znajdowało się jezioro okolone pustymi, czarnymi brzegami. Woda była w nim gorzko-słona i stepowe trawy nie dochodząc do niej, zatrzymywały się na niewidocznej granicy gleby nasyconej solami. Gdzieś tam dalej w stepie ciągnęły się słabo widoczne stąd zarośla stulisza. Osad ludzkich nie było nigdzie.

Ałonow wpatrywał się w skraj zagajnika. Widział dwóch swoich przeciwników z karabinami. Trzeci stał pochylony obok. Można się było domyślić, na co patrzą.

Twarzy Ałonaw nie mógł dostrzec z takiej odległości. Wzrok miał normalny — nie nazbyt silny, ale i nie słaby, zwykły przeciętny wzrok, jaki powinien mieć każdy zdrowy człowiek w wieku 22—23 lat. Ale Ałonaw posiadał ponadto zdolność obejmowania wzrokiem szerokiej przestrzeni. I, mimo że uwaga jego skoncentrowana była na grupie ludzi zgromadzonych w zagajniku, spostrzegł jednak w oddaleniu jeszcze jedną postać — w tym miejscu, skąd on sam niedawno strzelał. Tak, więc polowanie na człowieka trwało nadal...

Ktoś z grupy, którą obserwował Ałonow, krzyknął. Najwidoczniej okrzyk ten skierowany był do przeszukującego zarośla człowieka, ten, bowiem zatrzymał się i obejrzał. Krzyczący machnął ręką i człowiek zawrócił.

Leżąc Ałonaw widział, jak czterech ludzi zeszło się razem i zaczęło się sprzeczać. Później wszyscy umilkli i nieruchomo słuchali jednego — barczystego i krępego. Można było domyślić się, że to on wydaje rozkazy. Dwóch z nich, pochyliwszy się, podniosło z ziemi coś ciężkiego. Krzewy zakrywały ten przedmiot. Potem wszyscy znikli w lasu.



Ałonow starał się wyobrazić sobie, co będzie dalej. W stepie nie myślą go pewnie szukać... Ale zagajnik już na pewno dokładnie przetrząsną. Można by Skorzystał z tego i ujść daleko... Ałonaw jednak nie ruszył się z miejsca. Nie miał zamiaru teraz odchodzić, nie chciał odchodzić...

Zwracał głowę na wszystkie strony, jakby osłuchiwał całą przestrzeń wokół. Ciche, ostrożne dźwięki spokojnego stepowego życia mówiły o owadach, ptakach, zwierzątkach... Wszystko to jednak nie interesowało Ałonowa, przepływało obok niego. Dźwięków, których tak oczekiwał, nie było. Trzeba szukać...

Na skraju zagajnika mógł ukazać się obserwator z dalekonośnym karabinem. Dlatego też Ałonaw nie podniósł się, ale pełzając okrążył zwartą ścianę krzewów. Kilka szarych kuropatw ustrzelonych przezeń dzisiaj leżało między krzakami. Tu upuścił je Ałonow, kiedy zaczęto doń strzelać.

Jeszcze kilka ruchów w przód, trochę w prawo— Tu. Zamarł skuty bólem. To, co ujrzał, wstrząsnęło nim jak uderzenie, mimo że dawno już rozumiał, że nic innego nie mogło się stać.

Skąpe, męskie Łzy wzbierały Ałonowi pod powiekami i ciężkimi kroplami spływały po jego pokrytej gęsto kurzem twarzy.

Czy po to wychowywał małe, niezręczne, bezbronne jak dziecko szczenię, poił je i karmił, cieszył się wraz z nim, gdy jego niezgrabne, grube łapki przestały rozpełzać się po podłodze?... Z jaką radością uczyli się porozumiewać ze sobą, ileż wzruszeń dała im pierwsza wspólna wyprawa w pole. Ech, Dymka, Dymka...

Ale jakże to się mogło stać? Przecież w żaden sposób nie można usprawiedliwić tego, kto to zrobił. Spotkać w stepie nieznanego człowieka, bez żadnego powodu strzelać doń, gonić go jak zwierzę, zabić mu ulubionego psa... Kto był zdolny do takiego postępowania? Ałonow nie przypuszczał nawet dotąd, że mogą być na ś wiecie tacy ludzie. "Wprawdzie czytał i słyszał o tym, ale wszystko to działo się gdzieś daleko, za granicami, poza nawiasem jego życia. A tu przecież był na swojej ziemi, u siebie. Różni są tu ludzie — i dobrzy i źli. Zna ich i może zrozumieć ich postępkę. Jednym można zaufać we wszystkim, inni bywają niedbali, leniwi. Ale nikt, żaden z nich nie mógłby tak postąpić...



Łzy wyschły pozostawiając ciemne pręgi na zakurzonej twarzy. Ałonow nie czuł już teraz oszołomienia i słabości na myśl o tym, że strzelał do nieznanego człowieka. Wyciągnął się obok krzewów i położywszy rękę na strzelbie patrzył w stronę lasu. Słońce chyliło się ku horyzontowi. Cień krzewów zakrywał człowieka, a skraj lasu był jasno oświetlony ostatnimi promieniami dnia. Lasek milczał.

II. NOCNE OGNIE

Na niebie zapalały się gwiazdy. Na ziemi robiło się coraz ciemniej, a równocześnie olbrzymi nieboskłon rozpościerający się nad głową Ałonowa powoli się rozjaśniał. Na zachodzie kryła się za horyzontem jaskrawa, samotna gwiazda wieczorna — Wenus. Mleczna Droga zaczynała się rozrastać i wydłużać na całej kopule nieba od krańca do krańca. Złowrogim blaskiem migotał Mars.

Z lasu dobiegały odgłosy miarowych, głuchych uderzeń. Po chwili rozległ się wrzask. W czasie cichej nocy doskonale słychać wszelkie odgłosy i dlatego Ałonow wyraźnie usłyszał szum padającego drzewa. Zrozumiał, że jego prześladowcy rozłożyli się w lasu na nocleg. Na brzegu bagienka, prawie w środku lasu, znajdowała się wygodna polanka. Tam, w plecaku, zawieszonym dla ochrony przed zwierzętami wysoko na drzewie, znajdował się cały majątek Ałonowa: zapas sucharów, trochę cukru, herbaty i soli, menażka, aluminiowa manierka i zapas nabojów. Tam również Wisiała ciepła kurtka. Oni na pewno to wszystko znaleźli. Tak, znaleźli to wrogowie...

W ciągu kilku godzin, które minęły od chwili spotkania z nieznanymi ludźmi, Ałonow niepostrzeżenie zaczął przywykać do tego słowa.

Przypuszczał, że wrogowie nie ruszą się z miejsca przed świtem. Miał, więc przed sobą całą noc — prawie dziewięć godzin ciemności i spokoju. Ale postanowił jeszcze — nie czekając świtu — wykonać pewną ważną dla siebie rzecz. W tym właśnie celu pozostał tu przy krzakach.

Wstał, wyprostował się i poszedł w kierunku miejsca, gdzie leżała zabita Dymka.

Ałonow skradał się. Wydało mu się, że obok miejsca, gdzie powinno było leżeć ciało Dymki, coś się poruszyło. Zrobił jeszcze krok i wyraźnie ujrzał, że coś ciemnego odłączyło się od krzewów i bez szmeru roztopiło w stepie.

Z napięciem wpatrywał się w ciemność. Nisko nad ziemią pojawiła się zielona iskierka. Nocą nie jest łatwo obliczyć odległość i Ałonow nie wiedział — czy jest do niej blisko, czy nie. Iskierka znikła i w tym samym prawie momencie zapłonęły od razu dwie. Za chwilę pojawiła się druga para — przeniosła się dalej, zniknęła, znów się ukazała. Świejące punkty były przyćmione — bledsze od letnich świetlików w trawie.

Ałonow nie bał się wilków. Wiedział, że są one złe i niebezpieczne zimą, ale bardzo ostrożne i bojaźliwe w ciągu lata i jesieni. W każdym razie Dymki im nie odda. Niech szukają sobie innej zdobyczy!

Znał zwyczaje wilków nie tylko, dlatego, że lubił polować. We wszystkim, co dotyczy zwierząt, nie był dyletantem. Trzy lata temu ukończył rolnicze technikum hodowlane i otrzymał dyplom z doskonałymi ocenami.

Po ukończeniu technikum zaproponowano Ałonowowi wyjazd do Moskwy, do Akademii im. Timiriaziewa. Ale odmówił. Zdecydował, że Akademia mu nie ucieknie. Chciał tymczasem popracować, poznać różnorodne życie dużego gospodarstwa hodowlanego. Lubiał zwierzęta, rozróżniał wśród nich mądre i głupie, odważne i bojaźliwe, leniwe i energiczne. Z radością przyjął skierowanie do sowchozu hodowlanego i nie pożałował tego.

W innym czasie i innym miejscu pojawienie się wilków zaniepokoiłoby Ałonowa. Ale teraz, gdy oddane mu pod opiekę Stada były daleko, krążące w pobliżu niego drapieżniki były mu całkowicie obojętne.

W odległości kilku kroków od martwej Dymki, Ałonow ukląkł i zaczął wycinać myśliwskim nożem równe kawałki darni.

Pracował szybko i pewnie. Starannie odkładał na bok wyciętą darninę i już po chwili zaczął kopać ziemię spulchniając ją nożem i wygrzebując rękami. Ziemia poddawała się bez trudu. Ałonow z łatwością przekopał warstwę czarnoziemu. Głębiej był zbity piasek. Stepowa gleba nie zawierała ani jednego kamyczka. Pracując z uporem Ałonow szybko wykopał wąski, głęboki dół.

Spojrzał na niebo. „Wóz“ Niedźwiedzicy obrócił się. „Chyba już po północy“ — pomyślał, patrząc na gwiazdy. Zegarek stał — widocznie został uszkodzony wówczas, gdy napadnięty Ałonow ratował życie.

Podszedł do krzaków i podniósł Dymkę. Ciało jej było sztywne i można było odczuć jego chłód nawet przez długą i gęstą sierść. Stojąc z Dymką na rękach Ałonow myślał o swych wrogach. Przecież do tej chwili wrogów nie miał. Teraz ich ma... Tego, co się wydarzyło, nikt nie mógł odwrócić.

Ostrożnie opuścił do grobu ciało zabitego przyjaciela. Potem zaczął zgarniać rękoma wykopaną ziemię. Miętko, prawie bezdźwięcznie sypała się ziemia w mogiłę.

Ałonowa dręczyło pragnienie. Popękały mu wargi. Język był suchy i sztywny. A wody nie było.

Ałonow stojąc nad grobem Dymki pomyślał ze smutkiem, że nie ma tu już nic do roboty, że może odejść. Rozejrzał się dookoła. Iskierki na stepie znikły. Wilki odeszły lub się gdzieś przyczaiły.

Ałonow starannie wytarł ostrze o połę swojej zielonej kurtki i wsunął nóż do głębokiej pochwy wiszącej na pasie. Nachylił się, podniósł strzelbę i obszedł krzaki. Stał i patrzył, starając się rozróżnić w ciemności kontury lasku.

Wydało mu się, że przez gęsty mrok przebija jasna plama. Była maleńka, niewieksza od dłoni. Plama zamigotała i znów się pojawiła, stała się jaśniejsza.

Pozwoliło to Ałonowowi na wyciągnięcie prostego wniosku: wrogowie rozłożyli ognisko w głębi zarośli i nie śpią. Wydało ma się nawet, że czuje zapach dymu.

Ktoś widocznie podsycił ogień, bo światelko stało się jaskrawsze, bardziej żółte...

Ałonow wziął strzelbę pod pachę i ruszył w stronę lasku, ale nie prostą drogą, lecz wzniesieniem, przez które wracał wieczorem do grupy krzewów.

Znał dobrze lasek i otaczający go odcinek stepu. Przecież przebywał już w tej okolicy siódmy dzień. Na południe od rozjazdu kolejowego w odległości sześciu kilometrów leży wieś Skworcowka. Jest to ostatnia wieś — dalej na południe, na przestrzeni przeszło dwustu kilometrów, rozciąga się pusty, jałowy step. Okoliczni mieszkańcy nazywają go po staremu „państwowy step“. Ani człowieka, ani osiedla. Ziemia tu nieprzydatna dla rolnictwa. Dużo solnisk, ani jednej rzeki czy strumienia. Z pobliskiej pustyni wdarły się tu długie języki piachu. Pod ziemią znajdują się słone wody: studni kopać nie można: woda jest niezdatna do użytku. Na południu wprawdzie przebiega niedawno przekopany duży kanał, ale plan państwowy nie przewiduje nawodnienia tego terenu: ziemie te są niewiele warte. Organizacje obwodowe planują miejscowe nawodnienie, ale tymczasem są to jeszcze dalekie perspektywy. Zresztą rolnictwo — to inna sprawa, a hodowla — inna.

W sowchozie, w którym pracował Ałonow, w ciągu ostatnich dwóch lat pogłowie była zwiększyło się tak, że wyłoniło się niebezpieczeństwo braku pastwisk. Sowchoz otoczony polami kołchozów nie miał terenów pozwalających na dalsze rozwijanie jego gospodarki. Z tego właśnie powodu Ałonow znalazł się w stepie: na naradzie technicznej wysunął sprawę zagospodarowania nowych ziem i wówczas delegowano go w stepy, by szukał dogodnego

miejsca dla zorganizowania filii sowchozu. Nie było to nawet daleko: trzysta kilometrów koleją. Ałonow znalazł odpowiednie tereny na pastwiska. Trudniejsza będzie sprawa wody, ale i to zagadnienie można rozwiązać: doszedł do tego wniosku wczoraj, tuż przed spotkaniem z wrogami...

Ałonow skradał się ku laskowi. Poruszał się powoli, bezszelestnie. Gdy doszedł do skraju lasu, zaczął się poruszać jeszcze ostrożniej. Przy każdym kroku powoli podnosił nogę i równie wolno ją opuszczał, starając się przez miękką skórę buta wyczuć, na jaki opór napotyka stopa. Przekonawszy się, że pod nogą nie ma suchej gałęzi, opuszczał stopę na ziemię i przenosił na nią cały ciężar ciała. Posuwał się naprzód tak ostrożnie, że nie trzasnęła ani jedna gałązka, nie zaszeleścił ani jeden liść.

Wkrótce Ałonow ujrzał płomień ogniska. Ogień wzbijał się teraz dość wysoko i w powietrzu czuło się wyraźnie gorący dym, Ałonow podchodził coraz bliżej. Zatrzymał się dopiero w odległości niecałych dwudziestu kroków od ogniska. Znał to miejsce. Wrogowie rozłożyli się na „jego” polanie. Nieco dalej było bagienko.

Alanów stał bez ruchu. Słyszał, jak silnie bije mu serce. Poprzez krzewy nie mógł dojrzeć ludzi. Niewątpliwie wszyscy leżeli na ziemi. Ałonow myślał o wodzie. Chciało mu się pić. Mętna woda bagienka, pachnąca zgniłym drzewem i zbutwiałymi liśćmi, wydawała się tak ponętna, smaczna, świeża...

Ałonow nie miał ustalonego, przemyślanego planu. Chciał z bliska przyjrzeć się swym wrogom, zrozumieć, kim oni są — nic więcej. Usłyszał zaspany, ochrypły głos:

— Hej, ty! Zasnąłeś? — słowa zadźwięczały ordynarnie, ostro. Mówiący zakończył przekleństwem.

Natychmiast odpowiedział drugi głos:

— Nic podobnego!... Nawet nie myślałem spać!

— Spałeś, kanalio! — odrzekł pierwszy głos.

— Przecież wam mówię, że nie spałem! Czego żeście się przyczepili? A jeżelibym nawet zasnął? — z pewnym wyzwaniem odpowiedział drugi. Pierwszy coś zamruczał, a drugi powtórzył z urazą:

— Co w tym strasznego, jeżelibym się nawet i, zdrzemnął? Ten chłopak na pewno już zdechł. Głową rękę, że mu solidnie wpakowałem. A jeżeli jeszcze nie zdechł, to czy on do nas polezie?

— Wpakowałem... — przedrzeźniał pierwszy głos — Strzelcy wyborowi! Z twoimi kulami w ciele potrafił przecież nacisnąć spust!

— Zdarza się, że śmiertelnie ranna sarna czy zając, zanim padnie, przebiega pędem kilka kilometrów... Widać, że nie jesteście myśliwym. Sami zresztą mówiliście, że jeśli pozostał przy życiu, to będzie milczeć, ponieważ myśli...

— Dosyć! — ostro przerwał pierwszy i głos drugiego pokornie zamilkł.

Pomiędzy ogniskiem i Ałonowem zarysowała się postać człowieka. Na ułamek sekundy przed oczami Ałonowa mignął profil ogolonej twarzy. Człowiek odwrócił się i rozsuwając rękami krzaki, zrobił kilka kroków w kierunku Ałonowa.

Ałonow nie zdążył jeszcze postanowić, co robić, gdy człowiek zatrzymał się. Ałonow stał bez ruchu. Wiedział, że ruch może go zdradzić. Wróg oślepiony jaskrawym światłem ogniska ledwie mógł coś dojrzeć. Widocznie zupełnie przypadkowo poszedł w kierunku Ałonowa. Można się było tego domyślić z jego mamrotania i ziewnięć.

Ałonowowi wydało się, że był to ów niski, krępy, który wówczas na skraju lasu wydawał rozkazy. Koło ogniska ktoś chodził teraz tam i z powrotem. Ów niski powrócił, sypnął przekleństwami pod adresem komarów i położył się. Wartownik nadal chodził przy ognisku. Wkrótce zniknął — widocznie usiadł lub również się położył...

Ałonow wrócił na skraj lasu tak samo powoli i cicho, jak podchodził do ogniska. Kim są jego wrogowie? Co tu robią? Przeprowadzony zwiad nie dał odpowiedzi na te pytania. Ale

Ałonow chciał się o tym koniecznie dowiedzieć.

Nie umiał samotnie rozmyślać przez dłuższy czas. Przywykł każdą sprawę omawiać, z zespołem, z towarzyszami, naradzać się z kierownikami, żyć w taki sposób, by jego działania nie określało słowo: „ja“, tylko słowo „my“. Teraz był sam — nie miał się z kim podzielić myślami, nie miał się kogo poradzić. Ale postanowił już z całą stanowczością nie oddalać się od wrogów, dopóki nie dowie się, kim są, czego chcą i dlaczego postąpili w taki sposób, w jaki on sam nigdy z nikim nie mógłby postąpić.

Krzewy, koło których rozgorzał konflikt, nie nadawały się do prowadzenia obserwacji.

Całego lasku nie było stąd widać. Dlatego też Ałonow ruszył w kierunku północnym i wspiął się na wzgórze. Był tu już wczoraj rano, na kilka godzin przed spotkaniem ze swymi prześladowcami. Ze wzgórza widać było wszystko na dość dużą odległość. Ałonow zobaczył stąd długi, skręcający na południe parów. Kiedyś płynęła tamtędy wyschnięta obecnie rzeczka. Można by tu usypać tamę i wiosną zgromadzić wodę z topniejącego śniegu.

Sztuczny staw byłby dobrym wodopojem dla bydła.

Ałonow leżał na szczycie wzgórza. Trzeba odpocząć, przespać się — czeka go ciężki dzień. Ale pragnienie było tak silne, że nie mógł zasnąć.

W męczącym półśnie na nowo przeżywał spotkanie z wrogami. Było ich pięciu. Obładowani plecakami pojawili się przed Ałonowem w momencie, gdy szedł w stronę lasku, by przyrządzić sobie obiad. Pograżony był w myślach — w pamięci obliczał objętość tamy i wielkość prac, gdy nagle Dymka warknęła. Podniósł głowę i zobaczył nieznanym ludzi. Widocznie obserwowali go od dłuższego czasu, gdyż stali teraz czekając, kiedy podejdzie bliżej.

Ałonow przywitał się z nieznanymi, tak jak to się zawsze robi przy spotkaniach w stepie czy w lesie. Zapytał:

— Dokąd droga prowadzi, towarzysze?

— Spacerujemy — odpowiedział niski.

— Połujemy — wyjaśnił wysoki i natychmiast zadał Ałonowowi pytanie:

— Wyście tutejsi?

— Nie, jestem tu przypadkowo, po raz pierwszy — odparł Ałonow.



Nieznajomi nie wyglądali na myśliwych. Stali i patrzyli na Ałonowa tak, że nie wiadomo, dlaczego zrobiło mu się jakoś nieswojo i nieprzyjemnie. Kiedy wyjeżdżał, powiedziano mu, że tereny te są pustynne i nigdy nie odwiedzane. Strzelby tych „myśliwych” były w pokrowcach, jedynie ten wysoki miał karabinek zawieszony na pasie na plecach. Karabin był krótki, lufa nie wyglądała spoza ramienia. Ałonow czuł, że nie należy przyglądać się nieznajomym. Nie wiedział, o czym z nimi mówić. Czując jednak, że trzeba cokolwiek powiedzieć, spytał:

— Macie duże towarzystwo?

Wysoki, posiadający dziwny, krótki karabin, powiedział:

— Jeszcze jakie!... — i z kolei spytał Ałonowa, co on tu robi.

Innym ludziom Ałonow chętnie opowiedziałby o swych planach i poprosiłby o radę. W bezludnym stepie przyjemnie jest podzielić się z ludźmi swymi myślami. Przecież Ałonow był sam i prawie przez tydzień jedynym jego rozmówcą była Dymka. Lecz tym ludziom nie chciał o niczym mówić i świadomie skłamał:

— Ja również poluję...

Niski zapytał:

— Jesteście tu z towarzyszami?

— Nie, jestem sam — odrzekł Ałonow.

Milcząc postali jeszcze chwilkę. Ałonow widział, z jaką uwagą mu się przypatrują, i czuł się coraz bardziej nieswojo. Pierwszy, więc przerwał milczenie:

— No, to wszystkiego najlepszego... — i ruszył swoją drogą.

Słyszał, jak nieznajomi zaczęli o czymś mówić, potem ktoś głośno się roześmiał, ale jakoś niezręcznie było zatrzymać się teraz, lub odwrócić. Obejrzał się dopiero, gdy był przy krzakach i w tym momencie zobaczył, że dwaj nieznajomi celują do niego. Jeszcze nie zdał sobie dokładnie sprawy z tego, co może się z nim stać, gdy rozpoczęła się strzelanina...

...Godzina za godziną gwiazdy zmieniały swoje położenie. Na ziemi trwała nieruchoma głęboka noc. Mrok pokrywał zarośla, jeziora i step z wysokimi wysychającymi trawami.

Ałonow w ciężkim półśnie słyszał znowu, jak po strzałach Dymka trwoźnie zaszczekała...

Później widział, jakoś z boku, siebie samego na skraju lasu. Ciężka ołowiana kula powoli, leciała w powietrzu w kierunku wysokiego człowieka z krótkim karabinem i w żaden sposób nie mogła do niego dolecieć. Ałonow poczuł się bezsilny i bezbronny, wydało mu się, że jest skuty, związany. Chciał się poruszyć, obudzić — ale nie mógł...

Ocknął się skostniały z zimna. Z trudem zdołał się. zmusić, by usiąść.

Na wschodzie, tuż nad horyzontem, błyszcząca gwiazda poranna. Niebo zaczynało jaśnieć. Świtało.

Ałonow zauważył leciutki obłoczek pary, powstający przy oddechu. Patrzył teraz na lasek spowity w podnoszącą się znad bagienka mgłę, na złudne cienie drzew. Słupek dymu przebił lekką zasłonę oparu. Dym unosił się w formie grzyba. Widocznie wrogowie w lasu również się obudzili.

Z kieszeni kurtki wyciągnął pudełko z tytoniem. Gumka pod pokrywką przytrzymała starannie pocięte kawałeczki gazety. Na świeżym powietrzu świetnie smakuje machorka w grubym papierze. Ałonow lubił tytoń własnej hodowli. Umiał go dobrze przyrządzać.

Wzrok Ałonowa zatrzymał się na arkusiku papieru. Było już tak jasno, że mógł bez trudu rozróżnić litery. Linie oddzielające szpalty druku wypadły akurat z boków wyciętego prostokątka. Ałonow czytał:

„Na całym świecie — od Seulu i Tokio poprzez Hanoi i Dżakartę, poprzez Ceylon, Iran, Liban do przylądka Tamger i dalej, za Oceanem Atlantyckim — rozległy się potężne słowa wielkiej miłości mas pracujących do swego nauczyciela i przywódcy.

Imię Stalina to sztandar walki o pokój i demokrację. Gdziekolwiek by nie myśleli o strasznym

*niebezpieczeństwie wojny prości ludzie, dla których dach nad głową, sen dzieci i pokojowa praca stanowią szczęście — wszędzie łączą oni z imieniem Stalina, z partią bolszewicką swoje nadzieje na długotrwały pokój i bezpieczeństwo. To imię i ta partia są dla nich symbolem walki o pokój na całym świecie.
Listy studentów Uniwersytetu Pekinśkie...”*

Promienie słońca załazy ziemię, przedarły się pomiędzy zielonymi łodygami piołunu i oświetliły kawałeczek gazety. Ałonowowi wydało się, że przeczytane przed chwilą słowa skierowane są bezpośrednio do niego. Prostokątny kawałek papieru schował do kieszeni na piersi. Urywek artykułu powiedział mu: „Nie jesteś sam, jest z tobą potężna partia bolszewicka, są z tobą setki milionów współbraci w twojej ojczyźnie, setki milionów ludzi na całym świecie. Bądź wytrwały, silny i cierpliwy!”

III. ODKRYCIE

Powietrze nad stepem było dziś suche i purpur owa kula słońca, zatrzymawszy się na chwilę tylko w mgiełce nad horyzontem, rozblęła nagle ognistożółtym, oślepiającym blaskiem.

Ałonow patrzył na las i czekał. Niedługo zresztą wypadło mu czekać.

Po przeciwnej stronie zielonego masywu drzew pokazały się sylwetki ludzi. Jedna... druga... trzecia... Po niedługim czasie przyłączyła się do nich czwarta.

Obserwując czterech ludzi Ałonow zauważył, że kierowali się oni na południowy wschód, w głąb stepu, coraz dalej od linii kolejowej i osiedli ludzkich.

Ałonow pozwolił swoim wrogom odejść na odległość, co najmniej dwóch kilometrów i schyliwszy się zbiegł ze wzgórza. Gdy między nim a czterema jego prześladowcami stanęły drzewa, Ałonow wyprostował się i pobiegł do lasu. Wyszedł na skraj zarośli w miejscu, gdzie upadł człowiek, do którego strzelał. Samo miejsce, krzewy, trawa — wszystko to wzbudzało odrazę w Ałonowie.

Obejrzawszy skraj zarośli Ałonow skierował się w głąb lasu. Wyszedłszy na polanę spojrzął na drzewo, na którym wisiała wczoraj jego ciepła kurtka i zielony plecak. Nie było ich.

Ałonow pośpieszył w kierunku bagienka. Pierwszego dnia, gdy przyszedł do lasu, w odległości kilku metrów od granicy działu wód wykopał sobie myśliwską studzienkę, jak to się zwykle robi przy błotnistym źródle. Wczoraj odchodząc stąd Ałonow przykrył studnię młodymi pędami i teraz znalazł wszystko nienaruszone. Ukląkł i opierając się rękoma o ziemię długo pił chłodną wodę. Rozkoszował się wciągając ją między brzegami przyciśniętego do podniebienia języka, odrywał się od studzienki, głęboko wdychał i znów pił. Skończywszy, chciał się podnieść, ale pozostał na klęczkach patrząc przed siebie — na bagno. Tam wśród łodyg osoki i szerokolistnego sitowia, widniało coś okrągłego, ledwie wzniesionego nad powierzchnię zielonkawej, zapleśniałej wody. Stojąc można było nawet nie zauważyć tego zlewającego się z powierzchnią wody przedmiotu.

Ałonow — jeszcze przed spotkaniem z tajemniczymi ludźmi zbadał dokładnie bagienko. Jak to bywa niekiedy w miejscach wyschniętych jezior, mały zbiornik wody o twardych brzegach i twardym dnie na wiosnę napełniał się niewielką ilością wody z topniejących śniegów. Nikły zapas wody nie rokował nadziei na urządzenie tu wodopoju, woda zresztą nie odpowiadała wymogom dobrze znanym młodemu zootechnikowi.



Ałonow śmiało wszedł do wody, sięgającej zaledwie kolan i przeszedłszy tak ze dwadzieścia kroków wyciągnął z wody swój zielony plecak. Dalej było już głębiej. Leżało tam drzewo. Ałonow dobrze pamiętał, że wczoraj jeszcze tam go nie było. Zresztą po świeżych gałęziach i liściach, które nie zdążyły zwiędnąć, można było poznać, że drzewo zostało niedawno ścięte. Ałonow spojrzął na brzeg i zobaczył, wysoki pień ze świeżym śladem ścięcia. A więc to właśnie oznaczały uderzenia topora, które słyszał nocą.

Ale leżące w wodzie drzewo nie zostało wykorzystane na ognisko. Widocznie znalazł się lepszy materiał palny od surowego drzewa. Po cóż było w takim razie ściągać do wody ciężki pień?

Ałonow z rozmachem rzucił na brzeg swój mokry plecak i ruszył ku drzewu. Woda sięgała mu już do połowy bioder. Chwycił za skośną drzazgę sterczącą ze ściętego pnia. Zauważył, że osika zrąbana została małym, ale ostrym toporem.

Pogrążone w wodzie drzewo oparte o dno sprężystymi gałęziami, zakołysało się lekko wytrącone ze swej chwiejnej równowagi. Obok pnia na poziomie wody pojawił się jakiś większy przedmiot.

Ałonow wzdrygnął się. Zarzuciwszy strzelbę na ramię uchwycił oburącz pień i silnie pociągnął go ku sobie.

Teraz wyraźnie ujrzał jak z zielonej wody wyłoniła się kiść ludzkiej ręki z kurczowo zaciśniętymi palcami

A więc to tak... Więc go nie pogrzebali... Myśl o tym, że ciało zabitego przezeń wroga zakopane zostało gdzieś w zagajniku zrodziła się u Ałonowa wtedy, gdy ujrzał jak czterej jego wrogowie wyszli z za drzew i ruszyli w step. Do tego momentu wydawało mu się jeszcze, że przeniosą oni ciało zabitego do toru kolejowego i wystąpią z oskarżeniem o zabójstwo. A — jak się okazuje — nie tylko nie myślą go oskarżać, ale na dodatek ukrywają trupa swego towarzysza i to jak niedbale ukrywają!

Kim są ci ludzie?

Z jednej zagadki wynikła druga. Wszystko było niezrozumiałe, zagmatwane, straszne.

Gdybyż to można było się z kimś poradzić! Ałonow czuł się jakby uwikłany w sieci. Im dalej się w tę sprawę zagłębiał, tym ciaśniej zaciskały się oka tej sieci.

W tym czasie wrogowie jego uciekali unosząc z sobą rozwiązanie zagadki! Ałonowowi chciało się krzyczeć, czuł się jakby chory. Dokąd oni idą? Poco? Dostał zawrotu głowy. Wyobrażenia podsuwała mu różne obrazy, wieloznaczne, niezrozumiałe, bynajmniej niewyjaśniające sprawy...

Chłód wody przywrócił mu przytomność. Ałonow odwrócił się i ruszył ku brzegowi — jak najdalej od żalnego, odrażającego i straszego grobu człowieka, który chciał go zabić i sam został za to zabity.

Przed tym, kto ucieka — cały świat stoi otworem! Wschód i zachód, północ i południe są dla niego jednakowo dostępne, ale ścigający ma przed sobą jedną drogę, tę tylko, którą z tysięcy możliwych wybrał uciekinier...

Ałonow wytrząsnął na ziemię przemoczoną zawartość swego plecaka i spiesznie przebierał rzeczy. Cukier i sól rozpuściły się i znikły bez śladu, suchary rozmokły. Zabezpieczone przetłuszczonymi przybitkami ładunki prochu w nabojach prawdopodobnie nie ucierpiały. Menażka i manierka były na miejscu. Ałonow napełnił manierkę wodą ze studzienki, a menażkę ciastem rozmoczonych sucharów. To, co nie zmieściło się w menażce, powrzucał wprost do plecaka, skrupulatnie pozbierawszy wszystkie mokre okruchy pomieszane z opadłymi liśćmi i pędami traw. Potem po raz ostatni napił się wody ze studzienki. Zegarek stanął i Ałonowowi wydawało się, że stracił wiele czasu. Ciepłej kurtki już nawet nie szukał. Zbierając się do drogi raz jeszcze obejrzał bagno i polanę. Czarny ślad w miejscu wygasłego ogniska, przysypany szarym i białym popiołem, niedopałki papierosów, połamane gałęzie, zdeptana zwiędła trawa — to wszystko. I nic — co by mówiło o ludziach, którzy spędzili tu noc. Nic — oprócz drzew i wody...

Wyszedłszy z lasu Ałonow szybkim krokiem wspiął się na grzbiet działu wód, okalający płaską kotlinę, i obejrzał okolicę.

Obserwował równinę spokojnie i uważnie. Sądząc z podsłuchanych w nocy urywków rozmowy przewidywał, że wrogowie nie przypuszczają nawet, że są śledzeni i że wobec tego nie będą zbyt ostrożni. Liczą na to, że Ałonow uciekł w strachu przed nimi. Istotnie mógł mieć powody do ucieczki, powody zrozumiałe i oczywiste: Strach przed przeciwnikiem i strach przed oskarżeniem o zabójstwo.

Teraz jednak rozumiał, że nikt go obwiniać o zabójstwo nie będzie. Bo czyżby jego przeciwnicy ukrywali ciało zabitego, gdyby chcieli wystąpić z oskarżeniem?

W dali pojawiły się sylwetki ludzi. Daleko. Prawie na horyzoncie. Ałonow wyjął kompas. Ludzie znajdowali się na południowym wschodzie. Gdzież lornetka? Teraz dopiero przypomniał sobie, że w plecaku miał również lornetkę. Ukradli ją... Sylwetki ludzkie stały się już całkiem drobne. Należy zmniejszyć odległość. Ałonow ruszył szybko długim, rytmicznym krokiem, którym nawet bez utartej drogi zdrowy człowiek może zrobić około sześciu kilometrów na godzinę. Przemoczona odzież schnąc szybko nie krępowała Swobody ruchów.

Czterokrotnie z przenikliwym świergotem i gdakaniem podrywały się przed Ałonowem stada pstrych kuropatw. Zające, o ciemnej, letniej jeszcze sierści, wyskakiwały strzałą, ginąc w wysokiej trawie. Ale człowiek nie podnosił strzelby starym, nawykłym ruchem myśliwego. Parka stepowych lisków-korsaków śledziła ze wzgórką wędrowca, wyciągając ku niemu swe ostre, chytne pyszczki. A ileż innych oczu przestraszonych lub spokojnych odprowadzało idącego szybko Ałonowa. Ileż pytań zadawali sobie w swoich językach niezliczeni mieszkańcy stepów!

Po pewnym czasie jednak step przyzwyczyił się, do samotnego wędrowca. Nerwowe kuropatwy nietrwożone pogonią szybko się uspokajały. Przestraszone zające wracały do swych nor, a złodziejskie korsaki obejrzawszy Ałonowa znów brały się do swych polowań. Ałonow wybierał w stepie takie miejsca, z których mógłby najlepiej objąć wzrokiem okolicę. Siedząc drogę, po której poruszali się jego wrogowie sam starał się pozostać niezauważony. Dlatego droga jego była znacznie dłuższa. Ale był niezmordowany. Po pewnym czasie popełnił jednak nieostrożność. Stracił swą czwórkę z oczu i przyspieszył kroku. Zatrzymał go dopiero odgłos dwóch wystrzałów z broni myśliwskiej, następujących jeden po drugim. Wystrzały wydawały się dość dalekie, ale Ałonow natychmiast padł w trawę i popełnił ku większej połaci stulisza. Wyglądając z ukrycia wkrótce zauważył czterech ludzi bardzo blisko — w odległości mniej więcej półtora kilometra. Dojrzał ich, gdy wyszli ze stepowego parowu. Wydawało mu się nawet, że poznaje niskiego, barczystego mężczyznę, obok którego

kroczy wysoki. Kilka kroków za nimi posuwało się dwóch ludzi jednakowego wzrostu. Szli wolno, nie oglądając się za siebie.

Wystrzały naprowadziły Ałonowa na pewną myśl. Rozładował jeden z napełnionych śrutem naboju, zostawiając w nim jedynie piątą część prochu bezdymnego i połowę śrutu. W ten sposób przyrządził cztery ładunki: teraz można było pozwolić sobie na ustrzelenie ptaka, wprawdzie tylko z bardzo bliskiej odległości, ale za to huk nie zdradzi strzelającego.

Najwyższy czas uzupełnić zapasy. Przecież Ałonowowi pozostało tylko kilka rozmokłych sucharów, a głód dobrze już dawał mu się we znaki.

Pozwoliwszy swoim wrogom oddalić się na odległość czterech kilometrów, Ałonow zeszedł do tego samego parowu, przez który tamci niedawno przeszli. Tym razem jednak Ałonow kuropatw w wąwozie nie znalazł. Znalazł natomiast na ziemi zabitego zająca. Zastrzelony został niedawno, nie zdążył nawet jeszcze zeszytywnieć. Ałonow podniósł martwe zwierzątko o szarej skórcie z ciemną smugą na grzbiecie. Zdziwiło go to bezmyślne niszczytelstwo. Po cóż im to potrzebne? Przepisy łowieckie zabraniają przecież polować na zające do początku zimy.

Ałonow patrzył na zająca, młodziutkiego, nierozwiniętego jeszcze należycie. Jasna sierść na brzuszku była skrwawiona.

Ałonow rzucił martwe zwierzę i ruszył dalej śladem swych wrogów. Przypomniawszy sobie, jak niedawno pełzał wśród traw ratując życie, tak samo zapewne jak i ten mały zajączek. Ale Ałonow miał więcej szczęścia. A gdyby tak... zamyśliwszy się głęboko, Ałonow przepuścił okazję strzału do stadka szarych kuropatw, które właśnie się poderwały.

Po chwili podniósł głowę i odetchnął głęboko. Zrozumiał, od razu wszystko się powiązało, połączyło mocno i przejrzyście — wydało mu się nawet dziwne, że nie domyślił się tego szybciej.

Przecież to jasne, że ci ludzie, których uważał dotąd za swoich osobistych wrogów — są nie tylko jego wrogami. To po prostu bandyci! Nie myśliwi i nie robotnicy, i w ogóle nie ludzi pracy. Są to wrogowie! Wypełzli niewiadomo skąd i rządzą się teraz w tym nienależącym do nich stepie. Nie są to ludzie radzieccy, nie są to Rosjanie. I nawet ludźmi ich nazwać trudno. To wilki!

Ałonow przyspieszył kroku. Pogładził luźną strzelbę. Ech, dlaczegoż nie zrozumiał tego wczoraj! Mógłby ich wystrzelać w lasu jak wściekłe psy. Można było od razu położyć dwóch trupem przy ognisku i zmienić ładunek w strzelbach, nim dwóch pozostałych zdolałoby się opamiętać. Ubiegłej zimy Ałonow wraz z towarzyszami zapędził stado wilków do dalekiej, letniej zagrody przeznaczonej dla koni. Strzelali wówczas szybko i krótko. Tam był z przyjaciółmi. Tu jest sam, i bandytów jeszcze nigdzie nie zapędził. I te wilki, to mimo wszystko — ludzie...

W połowie dnia Ałonow zauważył, że bandyci zatrzymali się przy niewielkiej grupce drzew samotnie stojących w stepie. Wkrótce pojawił się tam rozwiewany przez wiatr, ledwie widoczny, szary dymek. Trudno przypuszczać, by ktokolwiek rozpałał ognisko na pięciominutowym postoju. Ałonow zdecydował, że może również odpocząć. Ponieważ uwagi bandytów nie rozpraszał teraz marsz, postanowił zwiększyć ostrożność, Wpełzł na płaski wzgórek i urządził tu sobie punkt obserwacyjny.

Przez dobę prawie nic nie jadł i nie miał nawet czasu pomyśleć o tym. Zdjął więc teraz plecak i rozwiązał go. Ciasto z rozmokłych sucharów wyschło. Oczyszczał okruchy od śmieci i jadł je łapczywie. Niezbyt to było smaczne, a jednak jadł z rozkoszą. Pozwolił sobie tylko na dwa łyki wody z manierki. Męka pragnienia, którą przeżył w nocy, dobrze zapadła mu-w pamięć i woda była dlań teraz droższa od wszystkiego. Po zaspokojeniu głodu przystąpił do przeglądu amunicji. Posiadał teraz — wraz z dziewięcioma odnalezionymi w bagnie — dwadzieścia dziewięć naboju.

Ałonow przyjechał w step nie na polowanie, lecz w celu wynalezienia nowych pastwisk. Aby

zdobyć pożywienie dla siebie i Dymki dobremu strzelcowi wystarczyło dać do trzech strzałów na dzień. Wziął ze sobą pełną ładownicę myśliwską i dodatkowy zapas w plecaku. Ale wśród całego tego zapasu posiadał tylko trzy prawdziwe naboje. Dwa takie naboje z wystającymi ołowianymi kulami znajdowały się w ładownicy, jeden — w lewej lufie. Leżąc w trawie i spoglądając w stronę wroga Ałonow znów zaczął zmieniać naboje w strzelbie. Tym razem ładował ją inaczej. Pociął swoją chustkę do nosa na kilka części i mocno związał w strzępkach tkaniny śrut. Ładunki prochu zwiększył dwukrotnie. Śrut zawinięty w szmatkę wyleci z lufy, jako jedna masa — jak kula.

Prawdziwe naboje Ałonow przygotował z taką dokładnością, że na dwieście kroków mógł posłać celnie kulę za kulą. Śrut w szmatce był surogatem naboju. I na dodatek nie było możliwości wypróbowania tych nowych pocisków. Ałonow uważał jednak, że do stu kroków może strzelać pewnie.

Przygotowawszy ostatni nabój Ałonow zaniepokoił się. Nie umiał dobrze określać czasu według słońca. Wyrzucał sobie, że nie zwrócił uwagi na położenie słońca w chwili, gdy się zatrzymywał na odpoczynek. Wydawało mu się, że upłynęło już sporo czasu i bandyci nie zauważeni ruszyli dalej.

Postanowił, zachowując wszelkie środki ostrożności, podejść bliżej do grupy drzew. Nie było to rzeczą łatwą na płaskiej, stepowej równinie. Spojrzawszy na samotną grupę drzew Ałonow włożył plecak, załadował obie lufy swej dwururki i na czworakach ruszył naprzód. Wkrótce mógł już rozróżnić zarysy poszczególnych drzew.

Podchodzić bliżej było by lekkomyślnością. Niepokój Ałonowa był zresztą bezpodstawny: wśród drzew dostrzegł ludzi. Po chwili jednak ruszyli oni w dalszą drogę — wciąż w tym samym kierunku na południowy wschód! Nie, zaczynają teraz zmieniać kierunek: coraz bardziej zbaczają na wschód.

Im dalej szedł Ałonow na południe, tym bardziej zmieniał się step. Pokrywa traw stawała się coraz cieńsza, miejscami wypełzał spod niej piasek i szarzał jałowym pustynnym piętnem. Trawy walczyły z nim, okrążały przeciwnika, starały się go zdławić swymi zielonymi płatami.

Coraz częściej jednak można było znaleźć miejsca, gdzie walka toczyła się ze zmiennymi rezultatami. Trawy skupiały się w kępkach atakując piaszczyste wzgórza. Piasek ruszał do kontr- ataku: spośród drobnych ziaren kwarcu sterczały uschnięte pędy.

Na jednym z piaszczystych języków odbiły się świeże ślady stóp. Ślady te zbliżały się i rozchodziły: wrogowie Ałonowa szli w rozsypkę...

Krajobraz stepu stawał się coraz bardziej jałowy i na jego ubogim, nagim tle Ałonow znacznie lepiej dostrzegł postacie swych wrogów. Postanowił teraz zmienić taktykę pościgu. Ustaliwszy jakiś punkt, czekał aż wrogowie znikną mu z oczu, a następnie starał się jak najszybciej dojść do wyznaczonego miejsca. Poruszał się teraz po krzywej, przecinając linię drogi swych wrogów. A jeden człowiek może przecież iść szybciej niż czterech.

Zbliżał się wieczór. Ałonow zaczął odczuwać zmęczenie. Tamci musieli być jednak nie mniej zmęczeni od niego.

IV. NOCNE POSZUKIWANIA

„Na pewno zostało nie więcej niż godzina do końca dnia” — myślał Alanów spoglądając na słońce. Schodził do głębokiego parowu i wydawało mu się, że słoneczna kula jest zupełnie nisko nad ziemią. Miał zamiar przeciąć parów i wyjść na strome wzgórze, które wyznaczył sobie jako punkt orientacyjny.

Dość długo obserwował czwórkę bandytów, którzy szli po równinie, później skryli się i

wkrótce pojawili znów u stóp tego doskonale widocznego stromego wzgórza.



„Można do niego dotrzeć krótszą drogą, na przełaj” — zdecydował Ałonow. Parów był jednak o wiele głębszy i szerszy niż mu się wydawało z oddali. Zachodni stok, z tej strony skąd przyszedł, leżał już w cieniu. Zbiegając po spadzistym zboczu, Ałonow poczuł woń siarkowodoru. Im dalej biegł, tym ostrzejszy stawał się ten nieprzyjemny zapach. Przypomniał sobie, że taki odór wydzielają czasami stepowe jeziora. Na północy rośliny wodne obumierają i opadają na dno, wypełniając w rezultacie całe jezioro. Mijają lata — utworzone w ten sposób torfowisko jest coraz starsze. Tam, gdzie ongiś na taflach wody osiadały stada przelotnych ptaków, obecnie — jeżeli torfowiska się nie eksploatuje — ludzie uprawiają ziemię i pasą bydło. Na południu, a szczególnie na południowym wschodzie, na azjatyckich obszarach Związku Radzieckiego, znajdują się tereny o ziemi przesyconej solami. Tam jeziora przeważnie kończą swoje istnienie zupełnie inaczej. Wysychając i zapelniając się gnijącymi cząstkami roślin, jeziora te zasalają się. Im są płytsze, tym silniejszy staje się roztwór soli. A jednocześnie sole wypłukiwane przez wody śniegowe i deszczowe z okolicznych ziem — nadal nieprzerwanie spływają do zamierającego jeziora. Wreszcie zasolenie wody i siły żywotne roślinności równoważą się. Burzliwy przedtem rozwój roślin zostaje zahamowany. Utrzymują się przy życiu tylko pewne ich gatunki. Są one z wyglądu wątłe, ale bardzo wytrzymałe. Na brzegach bagna bieleją łysiny soli, pokrywane jakby szronem całkowicie nieurodzajną, czarną jak węgiel ziemię. Wokół solnisk rozpełzają się bure krosty porostów. Nagła zmiana roślinności zdumiała Ałonowa. Na stepie — rośliny, choć zwarzone przez jesień, były jeszcze jednak silne. Natomiast tu, koło czarnej wody, zebrali się stepowi odszczepieńcy. Smutne — jak gdyby przygnębione — rośliny były całkowicie pochłonięte nędznym życiem, w którym nie mogły znaleźć niczego poza walką o własne istnienie. Wśród gęstej, zielono-czarnej tafli widniały kępy traw. Gdziejgdzie na powierzchni bagnistego jeziora migotały tęcze plamy nafty. Powolny rozkład ciał organicznych w stałym środowisku daje rocznie kilka gramów nafty z każdego hektara bagna. To jest właśnie źródłem rozchodzącego się wokół specyficznego, ciężkiego zapachu. Słone błota, wydzielające woń zgnitych jaj, mają smutny, odpychający wygląd miejsc nieuleczalnie chorych i jak gdyby porzuconych przez samą przyrodę. Ale w cuchnącym błocie rozmnażają się w dużych ilościach owady. Dlatego też dzikie ptaki chętnie przylatują

nad gnijące wody. Kaczki mają tu świetne tereny polowań, a wilgotne łysiny solnisk na brzegach podziurawione są jak sito długimi dziobami kulików — wielkich amatorów robaków.

Takie właśnie błoto zagrodziło Ałonowowi drogę. Miejscami rozszerzając się, miejscami znów zwężając — zgniłe bagnisko zajmowało całe dno głębokiej kotliny. Ałonow zrozumiał teraz, dlaczego jego wrogowie przeszli górą. Chcieli ominąć nieprzyjemną kotlinę.

Słońce zachodziło i Ałonowowi wydawało się, że zachodzi zbyt szybko — zwykle tak wydaje się wieczorem człowiekowi, który nie skończył jeszcze swojej roboty. Ałonow zdawał sobie sprawę, że w czasie, gdy będzie obchodził bagnisko, wrogowie odejdą daleko i znikną mu z oczu. Przejście przez błoto mogłoby skrócić odległość przynajmniej o trzy kilometry. Trzeba iść na przelaj!

Zostawiając głębokie ślady, Ałonow minął tłusty brzeg i wszedł do wody. Chociaż pogrążył się zaledwie po kostki, nie mógł zobaczyć dna w mętnej toni. Widział, że na całym obszarze bagniska rozrzucone są niziutkie wysepki i kępy traw. Brudno-bura ich zieleń na prawie czarnym tle tworzyła jakby nieudolny rysunek jakiegoś tandetnego dywanu. Kępy świadczyły, że bagnisko jest płytkie.

Przy każdym kroku w wodzie spod nóg Ałonowa wznosiły się pęcherzyki gazów. Pękając owiewały idącego duszącym zapachem. Ałonow starał się wchodzić na zarośnięte miejsca — woda nigdzie nie sięgała wyżej kolan.

W miejscu wybranym przez Ałonowa do przejścia, bagnisko miało nie więcej niż ćwierć kilometra szerokości, toteż Ałonow szybko, bez zbyteń wysiłku trzymając się wysepek i kępek traw przebył całą prawie kotlinę. Miał jeszcze przed sobą trzydzieści, może czterdzieści kroków, gdy nagle kępy trawy skończyły się. Zaczynały się znów przy przeciwległym brzegu, ale teraz między nimi a Ałonowem rozpościerał się pas wody. Jaka tu mogła być głębokość?

Ałonow wyszedł już z cienia, rzucanego przez zachodnie zbocze kotliny. Wschodni stok był jaskrawo oświetlony słońcem. Pomiedzy kępami trawy przebijały się nierówne stopnie zwietrzałej, pociętej szerokimi pęknięciami czerwonej skały. Słońce podkreślało jeszcze rzeźbę terenu. Wschodni stok był jeszcze bardziej stromy niż przeciwległy. Ałonow przypomniał sobie, że przy spadzistych brzegach dno bywa zawsze głębokie. Świadczył o tym zresztą brak kęp trawy...

Ałonow spojrzał na prawo, później na lewo. Wszędzie między nim a tak bliskim już brzegiem rozciągał się pas wody. Wiatru nie było, ciemna powierzchnia była gładka i tłusta, jakby zalana oliwą. Wokół nóg Ałonowa w ukośnych promieniach słońca tęczowa plama grała jakimiś niezdrowymi, sztucznymi barwami. Wydłużony cień człowieka przecinał wodę i ową tęczową plamę. Ałonow umiał pływać. Gdyby miał przed sobą zwykłą, czystą wodę nie wahałby się and chwili. Ale do tej wody czuł wstręt.

Słońce coraz bardziej zniżało się ku zachodowi. Ałonow przełożył naboje z dolnych kieszeni kurtki do górnych, podniósł wyżej ładownicę i zrobił krok naprzód. Głębia okazała się niewielka, sięgała trochę powyżej kolan. Ruszył śmieiej naprzód, otoczony ze wszystkich stron wzbijającymi się z dna pęcherzykami gazów. Jeszcze trochę... Ale nagle poczuł, że dno zaczęło mu więzić nogi. Zanurzał się coraz głębiej, iść było znacznie trudniej.

Do brzegu pozostało już nie więcej niż dziesięć kroków, gdy Ałonow pogrążył się w wodzie po pas. Błoto na dnie więziło teraz nogi do kolan. Ałonow nie szedł już, raczej przestępował z nogi na nogę, ledwie posuwając się naprzód i z trudem wydzierając się niewidocznym, miękkim, ale chwytliwym, wsysającym go okowom. Woda burzyła się dokoła od pękających pęcherzyków cuchnących gazów. Czuł, jak gaz pełźnie po jego ubraniu. Ale cofać się nie było gdzie, zresztą nie brał nawet pod uwagę tej możliwości.

Dla kogoś, kto patrzyłby z boku, wyglądałoby to dziwnie i przygnębiająco. Po czarnej powierzchni zalanej słońcem wody rozchodziły się szerokie kręgi. W centrum ich szamotał

się człowiek, pogrążony po pas w wodzie. Ręce jego unosiły w górę strzelbę i ładownicę, a dookoła woda burzyła się i pieniała, jak gotujący się wrzątek. A mimo to człowiek nie wołał o pomoc. Wszystko odbywało się w milczeniu.

Czując, że sił nie starczy mu na długo, Ałonow robił ostatnie rozpaczliwe wysiłki. Nagle noga natrafiła na twardszy grunt. Dno zaczęło się podnosić. Jeszcze dwa kroki i — zaczął iść pewnie. Staął na kępie traw. Mimo że stał jeszcze w wodzie, pogrążony w niej powyżej kolan, jakże wytrzymałym i pewnym oparciem wydawały mu się teraz trawy, wiążące błoto swymi korzeniami.

Obejrzał się. Droga, którą przebył, znaczyła się szeroką, spienioną wstęgą. Gazy w dalszym ciągu wydobywały się na powierzchnię błota, poruszonego nogą człowieka.

Poszedł ku brzegowi. Człapał po płytkiej wodzie, przygniatając ostre trawy i już miał stanąć stopą na twardej ziemi, gdy nagle wyrosło przed nim coś na kształt kija. Na końcu kija znajdowała się podłużna gałka. Kij stał, z lekka kołysząc się to w jedną to w drugą stronę. Ałonow mimo woli zrobił krok wstecz.

Olbrzymia żmija z rodziny potwornych amerykańskich żmij mokasynowych, czekała na Ałonowa na brzegu bagna. Na końcu jej trójkątnej głowy drgała gruba rozdwojona niteczka. W płaskiej czaszce tkwiło dwoje zielonych oczu. Nie było w nich spojrzenia — był tylko chłód i odwieczna, tępa nienawiść. Żmija była zła...

Złościła się nie bez przyczyny. Po całym dniu bezskutecznego polowania, udało się jej podkraść do dużego kulika i pokazać mu swoje oczy, ptak zdrętwiał. Piękne stworzenie wzbudzało w żmiji nienawiść i pod jej podniebieniem nabrzmiwały już gruczoły, przygotowując jad dla dwóch długich, odgiętych do tyłu zębów.

Żmija nie spieszyła się, знаła siłę swego wzroku. Ale nagle cień padł na napastnika i na ofiarę. Ptak znikł. Czy żmija zrozumiała, że cień ten rzuciły skrzydła jastrzębia, który odebrał jej zdobycz?

Żmija pozostała z zapasem jadu — pragnęła zabijać. Duże ciało, które nagle zjawilo się przed nią, nie lękało jej. Ten gatunek żmij ma zwyczaj rzucania się na człowieka bez zaczepki i bez widocznej przyczyny.

Ałonow nie chciał strzelać. Odgłos wystrzału mógł go zdradzić. Przerzucił karabin do lewej ręki. Ruch ten mógłby zdziwić żmiję. Była przecież pewna, że to żywe stworzenie powinno tak samo osłupieć pod jej spojrzeniem jak ptak, guseł czy zajac... Ale złość nie rozmyśla. Ałonow wyszarpnął nóż. Podniósł rękę z długą, ostrą klingą i lekko pochylił się, jak gdyby zamierzał skoczyć. Pod nogami miał twarde dno.

Jeszcze przez chwilę spoglądały na siebie dwie pary oczu. Jedna — zielona, lodowata, śmiertelnie wściekła. Druga — szara, mężna i zdecydowana.

Żmija, rozdmывая czerwonawo-żółtą szyję, cofnęła nieco głowę, jak gdyby dla nabrania rozmachu i zaczęła zsuwać się w szorstką trawę.



Nagle rzuciły się ku sobie: żmija i ręka. Spotkały się w powietrzu. Żmija, rozpadła się na dwie części. Błyszcząca oczyma i zębami głowa wpadła do wody i zatонуła jak kamień. Długie i grube cielsko zaczęło się miotać wzbijając pianę w cuchnącej toni...

Ałonow pospiesznie wydostawał się z czarnego parowu. Słońce zachodziło. Wiatr ucichł zupełnie. Ałonow po raz pierwszy w życiu znajdował się na pograniczu stepu i pustyni. Rozglądając się po okolicy w poszukiwaniu swych wrogów, zaczynał odczuwać przygnębiające oddziaływanie dziwnego i ponurego krajobrazu.

Było tu dużo piasku. Rude wydmy, wzmocnione korzeniami uschniętych w czasie upalnego lata roślin, gdzieś pokryte były kosmatymi grzywkami szorstkich traw. Spod ubogiej, suchej gleby wylaniały się płyty czerwonej skały.

Ałonow nigdzie nie mógł dostrzec czterech postaci z garbami worków na plecach. Na piasku obok długiego, spiczastego wzniesienia odnalazł ślady stóp ludzkich. Dalej ciągnął się twardy grunt.

Ostatnie promienie wieczornej zorzy mknęły po szczytach. Za nimi nadciągał mrok. Słońce odcięte do połowy horyzontem rzuciło jeszcze odrobinę światła — i zaczęła się druga noc od chwili spotkania z wrogami.

Ałonow był pewien, że tajemnicza czwórka musiała zatrzymać się o zachodzie słońca, a może nawet wcześniej. — Przecież przebył duży szmat drogi. Z pewnością są porządnie zmęczeni. Nie widział nigdzie drzew. Naprowadziło go to na myśl, że dziś wrogowie będą zmuszeni obejść się bez ogniska. Nie podobał mu się ten nocleg bez ognia. Ognisko mogło doskonale wskazać miejsce ich postoju.

Na kolację zjadł skamieniałe resztki sucharów, wydobyte z dna plecaka. Na jutro pozostała mu menażka zapełniona zeschniętym mięsiwem chleba i pół manierki wody. Nie chcąc, by go męczyło pragnienie, Ałonow nie palił przez cały dzień i teraz także nie pozwolił sobie na papierosa, mimo że miał na to wielką ochotę.

Powietrze ochładzało się, lecz piasek był jeszcze rozgrzany. Ałonow wykopał podłużną jamkę, ułożył się w niej i przysypał piaskiem nogi. Położył się na plecach, aby w razie potrzeby móc szybciej się zerwać. Pod głowę podłożył sobie plecak; strzelbę umieścił na piersi. Zrobiło mu się ciepło i przytulnie. Leżał z otwartymi oczyma. Czuł, że odpoczywa, ale sen nie nadchodził. Powietrze stawało się coraz zimniejsze. Przyjemnie było teraz leżeć nieruchomo w ciepłym, nagrzanym piasku. Ałonow patrzył w czarne, bezdenne niebo. Nie mógł przestać myśleć i to nie dawało mu zasnąć.



Czego szukali ci ludzie w stepie i dokąd szli? Wiedział, że daleko, na południe od rozjazdu kolejowego, przebiega główny kanał. Jednak między rozjazdem i kanałem musi być pusta przestrzeń. Co do tego nie miał — tak jak i poprzednio — żadnych wątpliwości.

Tydzień temu w nocy Ałonow wysiadł z wagonu. Po odprawieniu pociągu, dyżurny ruchu podszedł do pozostałego na peronie samotnego pasażera z psem. Rozmawiali przy świetle dwóch latarń, oświetlających krótki peron przed budynkiem stacji. Kolejarz, miłośnik przyrody, mając przed sobą myśliwego, od razu wyczuł bratnią duszę i przyznał się, że niedawno odmówił, gdy chcieli go przenieść na służbę do innej miejscowości. Mówił o sobie i swej rodzinie: „Synek i córeczka są jeszcze mali, na szkołę za wcześnie. Tu przywykłem polować, dobrze się tutaj czuję. Ot i zdecydowaliśmy się z żoną poczekać. Podrosną dzieciaki — wtedy ruszymy się z miejsca...” Kiedy chodziło o dobre polowanie, kolejarz polecał „pchnąć się“ na północ od toru kolejowego.

Gdy nowy znajomy dowiedział się, że Ałonow przyjechał w innych celach, przygarnął go w swym mieszkaniu na resztę nocy. Rankiem niewielki zespół rozjazdu urządził coś w rodzaju „narady technicznej”. Omawiany był plan Ałonowa, ludzie przedkładali swoje propozycje. Rzeczywiście na północy Ałonow nie miał, co robić. Tereny północne należały do zespołów rolniczych. Za to na południu własność kołchozów przytykała do linii kolejowej stosunkowo wąską wstęgą, poza którą otwierała się szeroko przestrzeń niezagospodarowanego jeszcze państwowego stepu. Tam przydzielenie ziemi dla sowchozu nie mogło napotkać na trudności. Nowi przyjaciele dali Ałonowowi kilka rad. Od nich dowiedział się o istnieniu jedyne go źródła słodkiej wody w lesie i o drodze do niego. Mieszkańcy rozjazdu znali jednak stosunkowo nieznaczną część stepu i szczególnie zwracali uwagę gościa na konieczność zapamiętania drogi, gdyż w stepie nikogo się nie spotyka i można zginąć z pragnienia. I oto właśnie spotkał ludzi — całą grupę, pięć osób... Teraz uzmysłowił sobie, że nawet gdyby na niego napadli, to ich obecność i tak musiała mu wydać się dziwna... .

Czego więc chcą ci bandyci? Ałonow był przekonany, że jest jakiś cel ich wędrówki. Celem tym może być tylko jedno — czynić zło. Nie jest to po prostu wędrowanie po stepie. Idą oni w określonym kierunku.

Usiłował przypomnieć sobie ich twarze i nie mógł. Zamiast twarzy krępego i niskiego człowieka, widział trójkątną głowę żmii z pełnymi nienawiści, lodowatymi, zielonymi oczyma...

Oczy żmii stawały się coraz mniejsze i odpływały, zacierały się. Zamieniały się w dwie kropki, ginęły w aksamitnym mroku nieba wśród kołyszących się gwiazd.

W stepie pokrzykiwały sowy. Ałonow zdrzemnął się. Drzemka przeszła w mocny sen, sen młodości.

Nie słyszał, jak szeleścił piasek, osypujący się po stoiku wzgórza pod czyimiś drobnymi

kroczkami. Ktoś przebiegł w podskokach obok głowy śpiącego. Obudziło go dotknięcie. Ocknął się i otworzył oczy. Zobaczył, że na piersi siego siedzi słupkiem jakieś zwierzątko. Przez sekundę spoglądał na nocnego gościa. Potem zwierzątko, podskoczywszy na długich nóżkach, mocno odepchnęło się od jego piersi i znikło. Zdążył rozpoznać podobnego do wiewiórki skoczka, spokojnego ziemnego zajaczka, żerującego w nocy i śpiącego w dzień. Potem skądś z daleka dotarł ledwo dosłyszalny jęk.

Skrzyżowały się w ciemności czyjeś drogi — i słaby ginie" — pomyślał Ałonow.

Spał zapewne dość długo, gdyż czuł się świeży i wypoczęty. Patrząc na niebo pomyślał, że do rana pozostało już prawdopodobnie niezbyt wiele czasu.

Usiadł i strząsnął piasek z piersi i rąk. Myślał o swojej odpowiedzialności — o tym, że sam jeden idzie śladem wrogów, idzie bez towarzyszy, bez możliwości uzyskania rady czy pomocy.

Zapytywał sam siebie, czy postąpił rozsądnie. Czy nie powinien był wrócić na rozjazd, gdy stwierdził, że jego wrogowie — to bandyci, a może nawet dywersanci? Przyjęto go tam tak życzliwie... Lecz na małym rozjeździe znajduje się zaledwie pięciu czy sześciu mężczyzn, zajętych swoją pracą. W jaki sposób mogli mu pomóc? Opowiedziałyby, jak na niego napadnięto i jak zastrzelił jednego z napastników. Rozjazd połączyłyby się telegraficznie z miastem, a stamtąd natychmiast przybyliby pracownicy milicji i prokuratury. Mogli przylecieć nawet samolotem.

Ale tymczasem ci czterej dokonają swego zbrodniczego dzieła i znikną bez śladu... Step nie zachowuje śladów. Łatwiej jest znaleźć igłę w stogu siana...

Pozostawało jedno słuszne rozwiązanie — to, które wybrał: iść trop w trop za bandytami i wyczekać chwili, gdy dzięki okolicznościom stanie się silniejszy niż tamci czterej. Ałonow rozumiał, że przypadek postawił go wobec poważnej sprawy, w obliczu, której jego osobiste bezpieczeństwo jest bez znaczenia.

Czuł, że jest teraz odpowiedzialny za wielką rzecz, za ochronę tego, co kocha i czym żyje. Ci zaś, co nieśli ze sobą niezrozumiałe i nieznanie niebezpieczeństwo, są gdzieś tu, w stepie, być może zupełnie niedaleko.

A jeżeli już odpoczęli i ruszyli w dalszą drogę? Przecież pod osłoną nocy mogą ujść daleko, może ich później nie znaleźć.

Ta myśl poderwała Ałonowa. Wyrzucał sobie beczynność. Nie miał prawa być beczynny. Rozumiał jednak, że błąkanie się po stepie w ciemności, bez planu, jest bezcelowe. Wspiął się na stromy i długi pagórek, koło którego po raz ostatni widział tajemniczą czwórkę i długo wpatrywał się w nocny mrok. Łudził się, że ujrzy blask ognia. Mogli przecież zgromadzić trawę, suche gałęzie krzewów rosnących na piaskach i rozpaść nad ranem ognisko — chłód był coraz bardziej dojmujący. Ałonow postanowił, że podkradnie się do ogniska i wykorzysta przewagę Strzelca celującego z ciemności do oświetlonego celu.

Ogniska jednak nie było.

Zdecydował, że spróbuje działać, według określonego planu. Trzeba wybrać teren działania i zatoczyć coś na kształt koła, zaczynając od wzgórza i na nim kończąc, tak, żeby nie zbłądzić. Ruszył w mrok. Szedł wolno, licząc kroki. Iść było trudno. Wysokie trawy przybierały czasami kształt ludzi, mrok wypełniał się nieruchomymi, zagrażającymi nocnemu wędrowcy postaciami. Ciemność oszukiwała wzrok.

W pewnej chwili Ałonow upadł, stoczywszy się do niezbyt głębokiej rozpadliny. Zdążył unieść w górę strzelbę i nadstawić niegościnniej ziemi plecy. Upadek przeraził go. Na chwilę zamarł w bezruchu, rozglądając się, dokoła, lecz ciemności były nieruchome — step milczał. Wkrótce po tym znów potknął się i z wysiłkiem zatrzymał się na skraju kamienistej fałdy, poza którą zagęszczał się mrok. Spłoszył stado niewidzialnych ptaków. Uniosły się w milczeniu, łopocząc skrzydłami.

Było ich dużo i łopot skrzydeł odbijał się w uszach Ałonowa jak grzmot. Pomyślał, że cały

step powinien się być poruszyć.

Po tej przygodzie mrok wydał mu się jeszcze gęściejszy i jeszcze bardziej wrogi. Szedł jednak dalej licząc już czwarty tysiąc kroków.

Teraz jednak zrozumiał, że poszukiwania w ciemności nie mogą dać rezultatu. Ma jedną szansę przeciwko — być może — stu. Zawierzać ślepemu trafowi — nie chciał. Trzeba było wrócić do znajomego wzgórza.

Orientując się według Gwiazdy Polarnej, zawrócił. Jeszcze cztery tysiące kroków. Poczł znajomy zapach siarkowodoru. Widoczne było, że znalazł się nad stromym wschodnim brzegiem bagnistego parowu. Zatrzymał się na kilka minut, zastanawiając się, czy wzgórze znajduje się na prawo czy na lewo. W nocy, w nieznanym miejscu, trudno trafić do wyznaczonego punktu. Zdecydował kierować się w lewo.

Wkrótce poczuł pod nogami piasek, ale wzgórza nie było w dalszym ciągu. Pomyślał, że mógł zboczyć i ominąć je. Owładnęło nim nieprzyjemne uczucie stracenia orientacji.

Postanowił usiąść i czekać świtu. Początkowo siedział z otwartymi oczami. W powietrzu czuło się chłód, a piasek już wystygł. Ałonow oparł się na łokciach i przymknął oczy.

Ale natychmiast prawie przenikająca przez powieki jasność zmusiła go do otwarcia oczu. Step rozjaśnił się. Wysoko przez ciemną kopułę nieba mknął stożek zielonego światła. Na ziemię padał odbłask — słaby, lecz wystarczający, ażeby Ałonow mógł dojrzeć swoje ręce. Były martwo-zielone, jak zwiędła trawa.



W mdłym, zielonkawym świetle Ałonow ujrzał wreszcie wzgórze — było zupełnie niedaleko. Wbiegł na nie.

Świetlny stożek ulatywał na południe. Na jego szczycie błyszczało coś jaskrawego.

Wydawało się, że pas światła mknie za przecinającym mrok meteorem...

Lśniaca masa zgubiła się wśród gwiazd i znikła w głębi nieba. Zrobiło się jeszcze ciemniej i jeszcze bardziej pusto i zimno. Ałonow pozostał na wzgórzu. W gęstej ciemności odkrył terasz jasny punkt. Był nieruchomy, żółtawy, jak gdyby gdzieś w dole, przy samej ziemi,

przebito igłą grube sukno mroku.



Część draga

I. DOMEK NA PRZEDMIEŚCIU

Na tydzień przed spotkaniem młodego zootechnika Ałonowa z nieznanymi ludźmi, wczesnym niedzielnym rankiem, na dworcu kolejowym niewielkiego stepowego miasteczka, położonego na południowy wschód od Gór Uralskich, zatrzymał się dalekobieżny pociąg. Z wagonu trzeciej klasy wysiadł niewysoki, tęgi mężczyzna wyglądający na 40 — 45 lat. Nie skorzystał z pomocy tragarza i sam przeniósł przez peron dwie związane pasami, wysłużone czarne walizki i brązową, dobrze wypchaną brezentową torbę podróżną. Pasażer wraz z niewielką grupką ludzi, przybyłych porannym pociągiem, przeszedł przez furtkę znajdującą się przy końcu peronu i wyszedł do miasta, na niewielki plac przydworcowy. Tu, pod drzewami, stały dwa rzędy pomalowanych na zielono ławek. Nikt na nich nie siedział. Pasażer postawił koło jednej z ławek swoje walizki, położył na nich torbę i usiadł.

Zaczął się rozglądać. Patrzył jak powoli, zwiększając stopniowo szybkość, przesuwa się obok peronu długi pociąg, z którego przed kilku minutami wysiadł. Odprowadził wzrokiem ostatni wagon. Potem spojrzenie jego zatrzymało się na kominach i halach dużych zakładów fabrycznych, które widać było za dworcem.

Rozpoczął się upalny dzień. W zastygłym bez ruchu powietrzu unosił się kurz i charakterystyczny zapach kolei. Pasażer powstał, i zdjął wytarte, szare palto. Potem zsunął na tył głowy czapkę i kraciatą, jedwabną chustką wytarł pot z czoła poprzecinanego długimi, niezbyt głębokimi zmarszczkami. Usiadł znowu i rozglądając się na wszystkie strony posiedział jeszcze kilka minut. Ożywienie wywołane przybyciem pociągu kończyło się.

Wczesna godzina dyktowała swoje prawa — plac opustoszał. W oddali dozorca zamiatał chodnik. Kilka kobiet głośno, z ożywieniem rozmawiających szło z koszykami na pobliski rynek. Zza rogu ulicy wytoczył się samochód z zieloną cysterną i rozpuściwszy długie wąsy strug wodnych ruszył przez plac.

W tym czasie niewielka kolejka ludzi, która zebrała się po przybyciu pociągu przy przechowalni bagażu, zdążyła już zniknąć. Pasażer podszedł do przechowalni i postawił walizki na okuty blachą parapet.

— Oho! — powiedział staruszek — kolejarz ciągnąc walizy w głąb pomieszczenia. — A wyście je podnieśli z taką łatwością. Macie widocznie krzepę, co?

— Książki... — niedbale odpowiedział podróżny. — Dajcie, sam wejdę i postawię je na miejsce — zaproponował.

— Nie, nie, jesteśmy przyzwyczajeni. Zresztą osobom postronnym nie wolno tu wchodzić — odparł staruszek wciągając z wysiłkiem na półkę ciężki bagaż. — Czy torbę też zostawiacie? — zapytał otwierając kwitariusz.

— Tak, tylko coś z mej wyjmę — odpowiedział podróżny. Wyciągnął kluczyk, otworzył zamek torby i wyjął z niej grubo wypchaną teczkę z wytartej brązowej skóry.

— Jak nazwisko? — spytał kolejarz wypisując pokwitowanie — Sudariew? Zapiszemy. Su — da — riew. Numer dowodu? Sześćset osiemdziesiąt pięć sto dwadzieścia jeden — powtarzał uważnie wypisując cyfry kopiającym ołówkiem — Czy będziecie ubezpieczać? Nie?

Właściwie... Po co niepotrzebnie tracić pieniądze... Od tyłu już lat nie mieliśmy na naszej kolei żadnych pretensji pasażerów...

Staruszek przyglądał się, jak pasażer pieczołowicie chowa kwit do portfelu i zapina na guzik wewnętrzną kieszeń marynarki.

— Słusznie — przytaknął. — Im dalej, tym lepiej. A... czy nie jesteście czasami... uczonym?...

Staruszkowi chciało się widocznie pogawędzić z przybyszem, ale ten nic nie odpowiedziawszy skinął głową i ruszył w stronę dworca

Człowiek, będący według dowodu osobistego Sudariewem, wszedł do pustej jeszcze sali restauracyjnej i usiadł przy stoliku koło ściany. Zamówił setkę wódki, wypił, zakąsił kanapką z czerwonym kawiolem i cebulą. Potem poprosił o herbatę. Pijąc ją uniósł kilkakrotnie głową przypatrując się dużemu obrazowi, wiszącemu na przeciwległej ścianie restauracji.

Malarz przedstawił na tym obrazie dwie postacie: człowieka i wilka. Pędzel artysty umiejętnie wydobyl je z granatowego mroku zimowej, nocnej zawieruchy. Przez pustynne pole brnął potykając się oficer hitlerowskiej armii. Z trwogą oglądał się na wilka skradającego się jego śladami. Drapieżnik nie zdecydował się jeszcze (rzucić na człowieka. Czekał. Widać było, że wkrótce hitlerowiec ostatecznie opadnie z sił...

Sudariew zawołał kelnerkę i spytał:

— Co to za obraz?

— Ten? Nazywa się „Drapieżcy”. Mówią, że na dworcu w Kujbyszewie jest taki sam, tylko większy. Dobry obraz, podoba się wszystkim podróżnym. Hitlerowiec jest dobrze namalowany, a o wilku wszyscy myśliwi mówią, że jest jak żywy. — Młoda dziewczyna

chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Sudariew przerwał:

— Czy w kuchni jest coś gorącego?

— Dopiero przygotowują. Jeszcze za wcześnie — odpowiedziała kelnerka. — Ale zaraz się dowiem.

Po chwili wróciła oświadczając, że zup jeszcze nie ma, ale kotlet wieprzowy lub smażoną rybę można otrzymać za kwadrans. Sudariew wybrał kotlet.

Cierpliwie zaczekał, potem powoli, ze smakiem jadł soczystą, w miarę tłustą wieprzowinę. Zapil szklanką czerwonego wina. Mijał czas. W restauracji pojawili się goście. Przy sąsiednim stoliku usiedli czterej kolejarze i zamówili piwo. Sudariew zapłacił i wyszedł na plac.

Główna ulica zaczynała się za rynkiem. Łagodnie wznosząc się na niewielkie wzgórza biegła do centrum miasta. Sudariew szedł powoli, jakby na spacer. Rozglądał się wokół, prześlizgiwał wzrokiem po murowanych dwu — i trzypiętrowych domach, po sklepach.

Wkrótce znalazł się w miejskim parku i ruszył środkową aleją.

Wiał lekki, ciepły wiaterek, robiło się coraz upalniej — Sudariew wybierał ocienione miejsca. Płaszcz przerzucił przez rękę. Aleja doprowadziła przybysza na teren letniego teatru zastawionego długimi ławkami przed półkolem estrady.

W pobliżu wyjścia, z drugiej strony parku, przybyły zauważył strzelnicę. Tłoczyła się wokół niej grupka młodych ludzi, zapalonych miłośników sportu strzeleckiego. Sudariew podszedł bliżej i zaczął przyglądać się strzelcom.



Chudy młodzieniec, dopingowany przez dwóch kolegów, długo celował do narysowanego na tarczy wazonu z kwiatami — ale mimo to spudłował. Kierownik strzelnicy nabił karabinek i znów zaproponował go młodzieńcowi. Ale po karabinek wyciągnęła się inna ręka.

— Czekaj, ja ci pokażę, jak się strzela!

Karabinek wziął wysoki, chudy, z lekka przygarbiony mężczyzna, mogący mieć około 35 lat. Lewą ręką odgarnął spadające na czoło długie, ciemne, pretensjonalnie uczesane włosy, oparł się łokciami o parapet strzelnicy i zaczął celować. Sudariew dokładnie widział jego plecy z uniesionymi w górę ramionami i fałdę skóry na chudej szyi nad kołnierzem niebieskiej koszuli. Po strzale figurka niedźwiedzia przewróciła się.

— Dawaj, powtórzmy — powiedział wysoki.

Zestrzeliwszy jeszcze dwa cele, wywołał burzliwy zachwyt wśród chłopców, których zawsze jest pełno wokół strzelnicy. Ale za czwartym strzałem spudłował, chociaż ktoś nawet orzekł, że kulka uderzyła tuż koło jabłka. Wysoki, nie zraziwszy się „pudłem”, zwrócił karabinek z

powiedział do młodzieńca:

— Tak trzeba strzelać! Najważniejsze: myśl o tym, że chcesz mu wpakować kulę prosto w serce. Zabić, żeby nie laził po świecie! Wtedy trafisz... A to, że za czwartym razem spudłowałem, to rezultat wczorajszego — dodał po chwili. — Czy pójść „na klina”? — zadał sam sobie pytanie.

Miał ostre rysy twarzy; gęste czarne brwi schodziły się nad długim, chudym nosem. Oczy o lekkim zezie były podobnie jak u ptaka bardzo blisko siebie położone. Sudariew zauważył, że zręczny strzelec u lewej dłoni nie miał małego palca. Stwierdziwszy, że chudy młodzieniec, pomimo rad doświadczonego Strzelca, znów spudłował, Sudariew ruszył w dalszą drogę.

Po wyjściu z parku, zawahał się nad wyborem kierunku. Wydawało się, że stara się przypomnieć sobie znane niegdyś, lecz zapomniane obecnie miejsca. W rzeczywistości tak jednak nie było, Sudariew był w tym mieście po raz pierwszy. W pociągu skorzystał z przypadkowego spotkania z człowiekiem dobrze znającym miasto a dokładnie wypytał go o wszystko. Uprzejmy współtowarzysz podróży nie mając nic lepszego do roboty narysował mu nawet plan głównych ulic, ale Sudariew polegając na swej pamięci nie uważał za potrzebne zachować rysunku...

Na ulicy nie było prawie przechodniów. Zresztą przypadkowy znajomy Sudariewa z pociągu mówił: „Dzielnica położona za parkiem, nad rzeką — to najcichsze i najspokojniejsze miejsce wypoczynku, zupełnie jak w uzdrowisku”.

Sudariew zatrzymał się na chwilę przyglądając się spokojnemu, sennemu przedmieściu. Nie chciał nikogo pytać o drogę. Przeszedł się po placu, przypatrując się odnowionym niedawno tabliczkom z nazwami dochodzących do placu ulic. Szybko odnalazł potrzebną ulicę i ruszył nią, licząc w pamięci skrzyżowania.

Minąwszy szóste skrzyżowanie, skręcił na lewo, do cichego, niebrukowanego, zarośniętego trawą zaułka. Tu jeszcze bardziej zwolnił kroku. W zaułku nie było żywej duszy. Sudariew zatrzymał się przy bramie domu oznaczonego numerem 7. Na słupie wysokiej bramy była przybita tabliczka z napisem: „ul. Wesoła” i numerem domu. Samego domu nie było widać — zakrywał go wysoki, mocny płot. Koło bramy była furtka ze szczeliną skrzynki pocztowej i napisem: „Uwaga! Złe psy”.

Sudariew pociągnął za kółko połączone z wewnętrzną klamką i otworzył furtkę. Ale w tej samej chwili musiał ją zatrzasnąć — na podwórzu rozległo się złe, zjadłe szczekanie.

Usłyszał, jak pies rzucił się na furtkę. Na sąsiednim podwórzu również rozległo się szczekanie. Sudariew odszedł na bok i przysiadł na słupku po połamanej ławce. Na środku zaułka stadko białych gęsi pod wodzą napuszonego gęsiora szczypało trawę...

Po chwili na podwórzu rozległ się zachryply męski głos uspokajający psa. Szczekanie umilkło i furtka uchylała się. Spoglądając spode łba w tę stronę, Sudariew zobaczył jak grubą deskę progu przekroczyła noga w bucie z cholewą i zatrzymała się. Podniósł głowę i spojrzał na wysuwającą się zza płotu postać. Wstał i podszedł do furtki Gospodarz stał bez ruchu, uważnie wpatrując się w gościa. Gdy Sudariew stanął przed nim, usta gospodarza pod gęstymi, rudymi i wąsami szeroko otwały się i zamknęły bez dźwięku.

— No cóż, Klebanowski? Nie raczycie poznać? — spytał Sudariew.

Gospodarz zamrugał powiekami. Wydobył jakiś nieartykułowany dźwięk, jakby się czymś dławił, potem szybko wybąkał:

— Tak, tak... nie poznałem... nie poznałem...

Widząc, że Klebanowski nie rusza się z miejsca, Sudariew rzucił ostro:

— Po co sterczycie przed furtką? Chodźmy do domu!

— Zaraz, zaraz — Klebanowski poruszył się. Wyraz jego twarzy zmieniał się, co chwila. Robił wrażenie człowieka, który został nagle wyrwany ze snu i nie bardzo jeszcze rozumie, co się wokół niego dzieje.

Sudariew przekroczył próg. Wielki, kudłaty pies z zaciekłym ujadaniem rzucił się na

nieznajomego.

Klebanotwski ledwie zdążył go schwycić za obrozę.

— Niech was diabli wezmą z tym psem! Zabierzcie go! Całe miasto postawi na nogi! — ze złością zawołał Sudariew.

— Nic, nic, nie bójcie się, ja go zaraz... Nic... — powtarzał gospodarz przerywanym głosem, starając się odciągnąć psa w kąt podwórza. — Spokój! — krzyczał przewlekając gruby łańcuch przez kółko obroży. — Spokój! Leżeć!

Wielki brytan położył się. Z gardła wydobywało mu się bulgocące, groźne warczenie. Gospodarz podszedł do Sudariewa Stojącego na środku podwórza. Borykając się z psem zdołał widocznie wrócić do równowagi. Średniego wzrostu, gruby, ale szybki w ruchach, kręcąc w palcach postrzępione rude wąsy stanął przed Sudariewem, przyglądził ręką najeżone włosy i powiedział:

— Proszę, wejdźmy do domu!

Dom był niewielki, kryty zardzewiałym, blaszanym dachem. Ganek z trzema stopniami pod daszkiem prowadził do mocnych drzwi. Niski płotek oddzielał podwórko od gęstego, zaniedbanego sadu. Budynek z jednej strony prawie dotykał ogrodzenia, tak, że między ścianą i płotem pozostawało tylko wąskie przejście. Trzy niewielkie okna, wychodzące na podwórko, były zamknięte.

Sudariew, prowadzony przez gospodarza, przeszedł przez sień do mieszkania. Znalazł się w pomieszczeniu, które służyło za kuchnię; z prawej strony wznosił się obszerny rosyjski piec. Duży stół zajmujący środek pokoju zastawiony (był brudnymi naczyniami, zarzucony skórkami od Chleba, kośćmi, główkami Śledzi, łupinami dyni i arbuzów z wetkniętymi w nie niedopałkami papierosów. Na środku stołu stały puste butelki po wódce i winie. Kilka bezładnie rozstawionych krzeseł i zwykły kredens stanowiły resztę umeblowania.

— Są jeszcze dwa pokoiki — powiedział Klebanowski wskazując na niskie drzwi wiodące w głąb mieszkania.

— Połóżcie się, odpocznijcie — ciągnął dalej — przecież jesteście prosto z podróży... A ja bym tymczasem zrobił porządek... prześpijcie się trochę. Tu jest zupełnie cicho, cichutko — zaczął nadszakać. Chcąc by zaproszenie jego brzmiało jak najbardziej przekonująco, w słowie „cicho“ rozciągnął nawet dźwięk „i“. Widocznie pragnął choćby na chwilę odsunąć oczekującą go rozmowę z gościem.

— Ja wam raz — dwa przygotowuję posłanko — namawiał.

Po chwili milczenia Klebanowski, zrozumiałszy widocznie, że nieuniknionej rozmowy nie uda się odłożyć, podsunął Sudarielowi krzesło i sam usiadł nie czekając aż gość spocznie. Obaj milczeli, lustrując się nawzajem wzrokiem. Wreszcie Sudariew spytał:

— Czy tu spokojnie? Sąsiedzi... i tak dalej?

— Jak w szczerzej pustyni. Jeżeli ktokolwiek dotknie się płotu Bury zaalarmuje... Poza tym — no cóż... Pracuję jako towaroznawca w punkcie skupu. Żyję spokojnie, w oczy nikomu nie włożę, nikogo nie ruszam...

— A co to znaczy? — Sudariew wskazał na bałagan w pokoju. — Hulacie?

— Zabawić się chyba można — zaoponował Klebanowski. — Wczoraj wpadli do mnie towarzysze. Przy sobocie. Miasteczko maleńkie, szczególnie ciekawych rozrywek nie ma...



— Słuchajcie, Klebanowski. Nie róbcie z siebie durnia. Dużo pijecie? Mówcie prawdę — krzyknął Sudariew.

— Ledwie — ledwie, w miarę... Raz na tydzień, nie częściej. W powszednie dni — ani kropelki. Pozwalam sobie zresztą tylko w domu — Klebanowski tłumaczył się urażonym tonem. — Za kogo mnie bierzecie? Doskonale rozumiem: miasteczko małe, wszystko widać jak na dłoni, więc nie rozhulasz się zbytnio. Mam trzech — czterech przyjaciół. Więc tylko z nimi. Dobre chłopaki. Po całym mieście ich zbierałem...

— Dom jest wasz?

— Mój, pełnoprawna prywatna własność.

— To dobrze. Sprawa wygląda tak: zatrzymuję się u was. Pomieszkam tu może tydzień, rozejrzę się. Potem pójdziemy w step. Poprowadzicie wy. Nie na długo: na siedem, może dziesięć dni, nie więcej. W ciągu bieżącego tygodnia trzeba spośród waszych przyjaciół wybrać trzech. Są wśród nich odpowiedni?

— Są.

— To dobrze. Pokażecie mi ich. To wszystko.

— Trzeba będzie was zameldować. Jak z tym będzie? Chociaż nie jest tu zbyt ostro, ale jak to się mówi — lepiej nie kusić licha — powiedział gospodarz.

Sudariew spojrzął na niego i wyjął z portfela dowód osobisty. Klebanowski go korciło zajrzeć do dowodu — koniecznie chciał się wreszcie dowiedzieć, pod jakim nazwiskiem przybył doń nieoczekiwany gość. Ale Sudariew nie dał mu na to czasu. Wstał z krzesła i spytał:

— Gdzie można odpocząć?

Klebanowski otworzył jedno z dwojga niskich drzwi, wiodących do dalszych pokoi, i poprowadził gościa. Mały pokój o nagich, dawno niebielonych ścianach posiadał skromniejsze meblowanie: dwa krzesła i wąskie łóżko, niechlujnie zasłane szarą kołdrą. Leżała na niej poduszka w brudnej powłoczce. Klitka robiła nieprzyjemne wrażenie.

— Zaraz przyniosę pościel — powiedział Klebanowski i wyszedł.

Sudariw przewiesił płaszcz przez oparcie krzesła, na drugim położył teczkę i czapkę. Gdy gospodarz pościelił łóżko, gość zdjął marynarkę, rozwiązał kolorowy jedwabny krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli i ściągnął ją przez głowę.

— Dajcie się umyć! — rozkazał Sudariw zrezygnował z zmycia nad brudnym zlewem w kuchni i nachylił się nad miską w sieni. Silnie tarł i namydlał grubą szyję, obrośnięte plecy i muskularne ręce, również zarosnięte gęstym włosom. Obok stał Klebanowski, podawał gościowi wodę i co chwila biegł do kranu z pustym dzbankiem. Skończywszy mycie Sudariw rozcierając ciało ręcznikiem powiedział:

— Wieczorem pójdziemy na dworzec. Po rzeczy.

Klebanowski nic nie odpowiedział. Sudariw spytał:

— A gdzie wy śpicie?

— W tamtym pokoju — Klebanowski pokazał drugie drzwi. Wszedł za Sudariwem do przeznaczonych dla gościa pokoi i stanął przy drzwiach.

Sudariw usiadł na łóżku i powiedział:

— Wiecie, co, Klebanowski? Macie bardzo złą pamięć.

— Dlaczego tak sądzicie?

— Widzę to. Zaczynacie zapominać...

— Niczego nie zapominam.

— Kłamstwo! — Sudariw podniósł głos. — Zapominacie! A ja wam to przypomnę...

Siadajcie nareszcie. Czego sterczycie przy drzwiach? — I Sudariw, z lekka pochyliwszy się ku siadającemu naprzeciw niego Klebanowskiemu, zaczął mówić.

— Wyście trzy lata służyli hitlerowcom. I służyliście dość dobrze — mówił powoli. — W chwili zakończenia wojny potrafiście się znaleźć poza strefą zajęta przez komunistów. Była to jedyna wasza zasługa... Na podstawie porozumienia z bolszewikami powinniście byli zostać wydani. Ale nie wydano was. A co by się stało gdyby was wydano? No, co? — Sudariw przeciągnął ręką po gardle.

Klebanowski spojrzał na niego i odwrócił głowę. Sudariw ciągnął cichym, ale wyraźnym głosem:

— Pozwolono wam żyć. Później dano wam inne nazwisko i przerwano do Rosji. Zaczęliście pracować dla nas. Niezbyt dobrze, ale w każdym bądź razie pracowaliście. Następnie, gdy przez wasze błędy i niedoświadczenia znaleźliście się w trudnej sytuacji, znów was uratowano. Zrobiono z was Klebanowskiego i umożliwiono wam wyjazd z centralnych obwodów. Mieszkacie tu cztery lata. Żyjecie sobie w spokoju. Kiedyście służyli Niemcom, nie żyliście tak spokojnie...

Sudariw zrobił długą przerwę. W małym domku panowała głucha, lepka cisza. Z podwórza dolatywało ćwierkanie wróble skaczących po okiennej futrynie. W kuchni trwoźnie brzęczała wielka zielona, „trupia” mucha. Zwabiona zapachem resztek jedzenia wleciała do domu i wpadła w pajęczynę. Milkła tracąc siły i znów zaczęła rozpaczliwie brzęczeć i szarpać się w zdradliwej, lepkiej sieci...

Sudariw ciągnął:

— Wiecie dobrze, że tylko my możemy zacierać wasze ślady. Wystarczyłoby nam odsunąć rękę... — nie skończył zdania. Mucha, zabrzęczawszy po raz ostatni, umilkła... Tylko nieokielznane wróble nie przestawały się kłócić za oknem.

— Podajcie rękę — rozkazał Sudariw. Ścisnął w swojej garści przegub ręki Klebanowskiego. Zaciskał palce, dopóki gospodarz nie skrzywił się z bólu.

— Spił się! Spuchł! Zdechłak! Bydlę! — Sudariw ordynarnie wymyślał. — Po co was tu posłano? Potrafiście się dostać do fabryki? Nie!... Zebraliście o niej informacje? Prawie nie! Ilu macie ludzi? Trzech? Mało! Jeszcze pokażecie mi tych ludzi!... Oczywiście pojedynczo. Step poznaliście dobrze?

— Przysięgam: jak własne podwórko! — zapewniał Klebanowski przyciskając obie ręce do

piersi.

— Sam się o tym przekonam! I pilnujcie się! A teraz idźcie. I dobrze nad wszystkim pomyślcie!...

Klebanowski wstał. Jego zapuchnięta twarz wyraźnie pobladła. Niepewnym głosem powiedział do Sudariewa:

— Czy można was spytać?

— O co?

— Czy prędko będzie wojna?

— Na cóż wam ta wiadomość?

— Jak to? Ciekawe... Oby się jak najprędzej zaczęło!

— Zgłupieście do szczętu! — krzyknął Sudariew wściekłym głosem — Co was to obchodzi?!... Co — w tej dziurze staliście się z nieróbstwa politykiem? Macie wykonywać rozkazy i nie wchodzić w sprawę gospodarzy!...

Klebanowski szybko wyszedł. Rozmowa z Sudariewem podziałała na niego jak smagnięcie biczem. Energicznie zabrał się do sprzątanía kuchni i wkrótce się z tym uporał. Potem wyciągnął ze spizarki kawał mięsa. — Aby psy były złe, trzeba je karmić surowym mięsem. Gdy Klebanowski zjawił się na ganku, pies zerwał się i nastawił uszu. Gospodarz rzucił mu kawałek baraniny z kośćmi. Bury postawił na mięsie łapę i warknął na swego pana...

Nad cichym, stepowym miasteczkiem zapadał mrok. Klebanowski uchylił drzwi pokoju, w którym spał gość. Ostrożnie naciskał klamkę. Nienasmarowane zawiasy przeciągle zapiszczały. Klebanowski zmarszczył się, zawahał przez chwilę, wreszcie zdecydował się i wsunął głowę do pokoju. Sudariew leżał na plecach, założywszy ręce za głowę. Okno, ocienione drzewami sadu wychodziło na zachód, tak, że zachodzące słońce dawało jeszcze dostatecznie dużo światła, by Klebanowski mógł zobaczyć, że leżący ma otwarte oczy.

Śmiało otworzył drzwi i powiedział:

— Czas wstawać. Jak się spało?

Nie odpowiedział, ani słowa Sudariew szybkim, zręcznym ruchem podniósł się i usiadł, szukając stopami butów. Klebanowski przekreślił kontakt i zapalił żarówkę zwisającą na sznurze z sufitu, po czym wyszedł zamknąwszy za sobą drzwi.

Ubierając się Sudariew usłyszał trzask zamykanych w domu Okiennic. Na oknie w jego pokoju zamknęły się dwie połówki okiennic, o deski uderzyła żelazna listwa i przez dziurkę przesunął się metalowy trzonek.

Wszedłszy do kuchni Sudariew od razu zauważył rzucające się w oczy zmiany. Podłoga była zamieciona, zdaje się, że nawet wymyta. Nie widać było żadnych śladów pijatyki. Kuchnia, służąca równocześnie za jadalnię, w jaskrawym elektrycznym świetle wyglądała zupełnie przytulnie. Stół przykryty był płócienną serwetą. Umieszczono tu — jedno naprzeciw drugiego — dwa nakrycia. Do stołu przystawiono dwa krzesła; pozostałe ustawione były w równym szeregu pod ścianą. Po środku stołu stały talerze z zakąskami, przykryte białą serwetką.

Sam gospodarz małego domku również się zmienił. Nałożył granatowy garnitur, skromny, z niedrogiej wełny, ale uszyty starannie i dobrze dopasowany. Jaskrawy krawat był fantazyjnie zawiązany na grubym węzle. Gładko wygolona twarz z przypudrowanymi z lekka policzkami i rozczesanymi węsami nie wydawała się już opuchnięta, ale świadczyła o zasobnym życiu jej posiadacza. Rozczesane i podkręcone wąsy nadawały jej dziarski wyraz. Zmieniły się także maniere Klebanowskiego.

— Broszę do stołu — zaprosił gościa i uprzejmie podsunął mu krzesło. Sudariew usiadł.

Plecione siedzenie krzesła zaskrzypiało pod ciężarem jego potężnego ciała.

Klebanowski odrzucił z szykiem serwetkę i ukazał zakąskę przygotowaną starannie, z pewną nawet wytwornością: cienkie plasterki białego i czarnego chleba, masło i czerwony kawior, kiełbasa, ser. Na środku stołu widniała wysoka butelka wina, otwarta już, ale z wetkniętym w

szyjkę grubym korkiem.

Gospodarz rozlał do cienkich kieliszków na wysokich nóżkach jasne, aromatyczne, ale mocne zarazem, środkowo - azjatyckie wino.

Sudariew pił wino małymi łykami, ze znanstwem oceniając jego smak. Po przekąsce Klebanowski zmienił talerze i podał brytfannę z parą apetycznie przyrumienionych kaczek, nadzianych pieczonymi jabłkami. Na deser gospodarz zaproponował gościowi kawałek dojrzałego arbuza i postawił na stole wazę pełną owoców.

Obiad minął w zupełnym milczeniu, które, jak się wydawało, ani trochę nie krępowało jedzących. Sudariew jadł chętnie i dużo, lubując się samą czynnością jedzenia. Klebanowski bez zbytniego pośpiechu, taktownie spełniał rolę gościnnego gospodarza, zadowolonego z wyśmienitego apetytu gościa.

Skosztowawszy kilku dużych, zielonożółtych i ciemnoniebieskich śliwek, gość położył sobie na talerz rumiane jabłko i kilka wybranych po dłuższym namyśle gruszek, po czym skinął ręką. Domyślny gospodarz szybko sprzątnął ze stołu wszystkie naczynia i znów usiadł spoglądając na gościa. Sudariew spytał:

— Jakich macie ludzi?

Klebanowski nie spiesząc się odpowiedział:

— Ludzie są niezli... Poszedłem w ciągu dnia, uprzedziłem jednego. Zobaczycie go dzisiaj. Pozostałych pokażę jutro lub pojutrze, kiedy będziecie chcieli.

— Kogo dzisiaj zobaczę?

Klebanowski wziął papierosa z metalowej papierośnicy z wytłoczonym na wierzchu rysunkiem Kremla, zapalił i otwartą papierośnicę położył przed rozkoszującym się soczystą gruszką gościem. Potem zwięźle i ściśle zreferował:

— Przed wojną karany za chuligaństwo w miejscu publicznym i pobicie administratora kina. Odsiedział karę. Został powołany do wojska. Za dyscyplinarne przekroczenie miał kilkakrotnie ostre nagany. Ranny na froncie... — w tym miejscu Klebanowski porozumiewawczo uniósł brwi — sam się postrzelił, ale umiejętnie. Po wojnie zdemobilizowany. Pociągnięty do odpowiedzialności sądowej w sprawie napadu rabunkowego na warsztaty krawieckie i zabójstwo dwóch dozorców. Z powodu braku dostatecznych dowodów wykreślił się dwoma latami z zakazem zamieszkiwania w dużych miastach. Pracuje, jako ślusarz spółdzielni remontowej...

Klebanowski zakończył:

— Dokarmiam go dwa lata. W pewnych sprawach — użyteczny. Umie się świetnie obchodzić z bronią. Co do reszty — sami odsądźcie.

— Nie próbowaliście go urządzić w fabryce?

— Nic z tego nie wyszło — machnął ręką Klebanowski.

— Dalej!

— Dalej — z grubsza wygląda tak... Drugi również odsiadywał karę — za Służenie Niemcom w czasie okupacji Krymu. Trzeci pochodzi z rodziny byłych kupców, potomek można powiedzieć. Miał jakieś tam sprawy natury gospodarczej. Teraz zmyliwszy ślady zadekował się tutaj...

Zapadła noc. Sudariew od czasu do czasu spoglądał na wskazówki wiszącego na ścianie zegara i gdy zaczęły się one przybliżać do godziny dziesiątej, zapytał:

— Czy już nie czas?

— Jeszcze nie — odparł Klebanowski.

Sudariew wstał i spytał:

— Gdzie można schować teczkę?

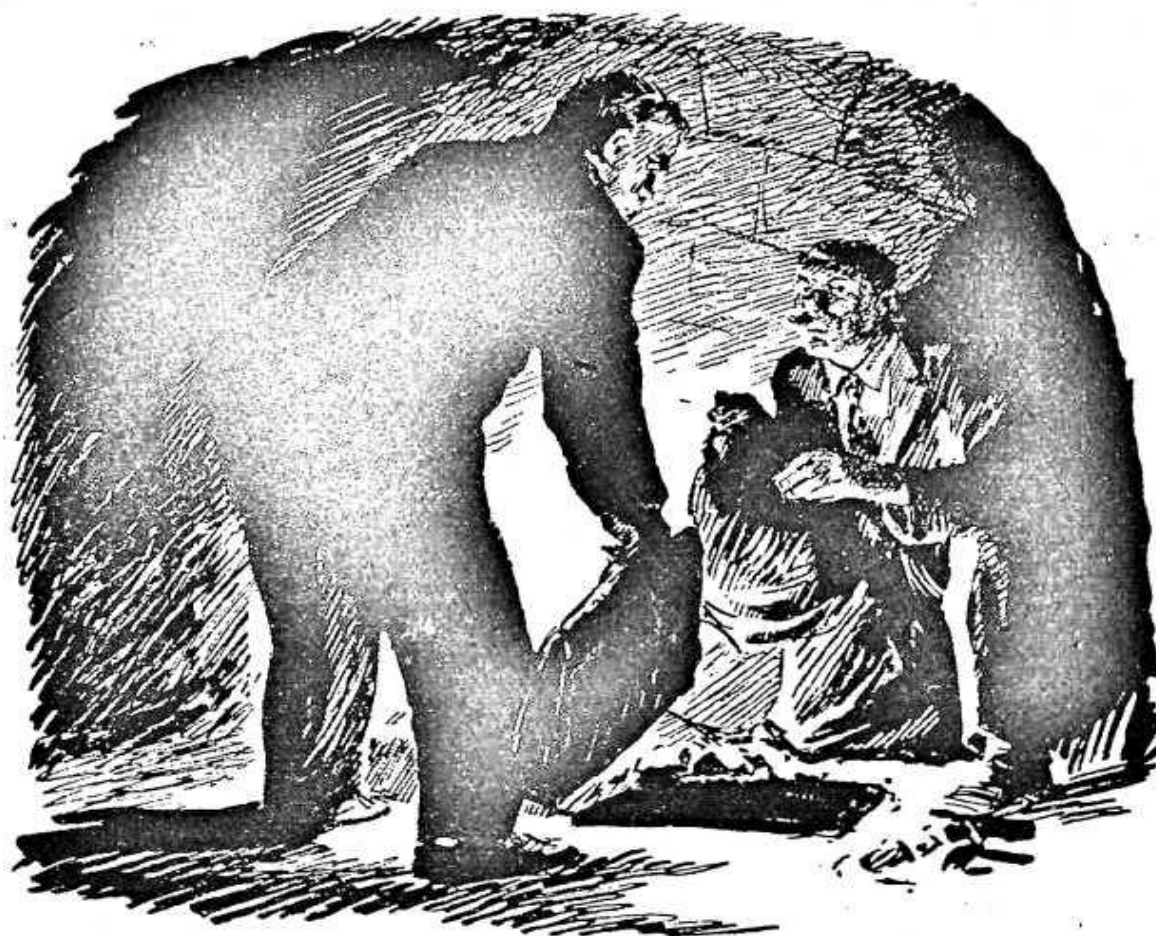
— Mam pewne miejsce — odpowiedział Klebanowski. Poszedł w róg kuchni, uniósł pokrywę zamykającą wejście do piwnicy, urządzonej pod podłogą, jak to zwykle bywa w małych domach — i poprosił Sudariewa, by zszedł na dół.

W pustej piwnicy stały skrzynie na warzywa. Pachniało wilgocią. Ściany piwnicy zbudowane były z ustawionych pionowo grubych, oślizgłych dębowych bierwion. Klebanowski przyświecał silną lampką elektryczną. W pewnej chwili oddał ją Sudariewowi i ze słomy, którą jedna ze skrzyń napełniona była prawie do połowy, wyciągnął krótki łom z płaskim, zagiętym końcem, potem obszedł ściany opukując je. Drzewo odpowiadało wszędzie jednakowym, głuchym dźwiękiem.

Spojrząwszy na Sudariewa, jakby oczekując od niego słów uznania, Klebanowski podważył łomem jedno z bierwion i wyjął je. Sąsiedni okrągłak odsunął ręką. Do powstałego w ten sposób otworu można było wsunąć się bokiem. Dalej otwierało się długie, niskie pomieszczenie o półkolistym pułapie z ciosanych kamieni i podłogą wyłożoną brązowo czerwonymi, bardzo dużymi, starodawnymi ceglami. Klebanowski wyjaśnił:

— Od starych mieszkańców słyszałem, że nad brzegiem był ongiś klasztorok...

Pozostałość ozy to części klasztornych piwnic, czy też jakiegoś podziemnego przejścia kończyła się zawałiskiem pokruszonych cegieł, kamieni i ziemi. Powietrze było tu ciężkie, duszne, zgniłe. Klebanowski odszukał na ścianie znak rozpoznawczy: zżarty przez rdzę żelazny hak — i wpatrzył się w podłogę. Po chwili wsadził koniec łomu w szparę między ceglami i nacisnął go. Duża płyta z cegieł złączonych mocną zaprawą odsunęła się, obnażając grubą deskę z kółkiem. Pod deską była skrytka, w której leżały zawinięte w przetłuszczoną tkaninę jakieś długie przedmioty. Była to broń. Klebanowski pochylił się i wy dostał pusty gumowy worek.



— Wilgoć — wyjaśnił, wkładając do worka teczkę Sudariewa. — A tak i po roku nie zawilgnie, co dopiero po miesiącu...

Gdy Klebanowski z Sudariewem wyszli na podwórze, Bury brzęknął łańcuchem i pomimo obecności gospodarza wściekle zawarczał. Idąc w stronę furtki Sudariew słyszał, jak w ciemności pies szarpał łańcuchem. Klebanowski zatrzymał się, by spuścić krwawego stróża z łańcucha. Pies natychmiast rzucił się ku bramie i furtce, obwąchując ziemię, po której przeszły nogi obcego człowieka. Głucho warcząc i wciągając powietrze pies starał się wsunąć głowę pod zamkniętą bramę. Sudariewa nie dziwiło zachowanie się psa. Nie lubił zwierząt, a one zwykle odpłacały mu tym samym.

Klebanowski poprowadził gościa do dworca krótszą drogą: słabo oświetlonymi ulicami, omijając park, skąd dobiegały dźwięki orkiestry. Czas obliczył dobrze — do przechowalni podeszli akurat po przyjeździe wieczornego pociągu pasażerskiego.

Gadatliwy starszek skończył już swoją zmianę, Sudariew otrzymał rzeczy od młodej, silnej kobiety. Spieszyła się i nie zwróciła uwagi na ciężar walizek. Tak samo szybko otrzymali trzeci kufer, który był nadany na bagaż. Ważył 49 kilogramów, a więc była to prawie maksymalna waga bagażu, jaki można nadawać przy bilecie

Klebanowski z Sudariewem wracali przez ciemne bezludne targowisko między długimi rzędami pustych stoisk. Przy wyjściu z targu, z ciemnego zaułka wyszedł im na spotkanie jakiś wysoki człowiek. Widać było, że ich oczekiwał

— Dajcie, pomogę wam — powiedział odbierając od Sudariewa ciężką walizę. W ciemności nie można było rozróżnić twarzy, ale głos wydał się Sudariewowi znajomy. Szli w milczeniu. Przed bramą domu Klebanowskiego, Sudariew, w świetle żarówki oświetlającej numer, poznał zręcznego strzelca, którego widział w parkowej strzelnicy.

W domu strzelec zachowywał się bardzo powściągliwie. Nie odmówił wypicia szklaneczki wina, zaproponowanej przez Klebanowskiego, ale od drugiej kolejki mężnie się powstrzymał:

— Wystarczy tego, co było wczoraj — powiedział kładąc na stół ręce pokryte niebieskim tatuażem. U lewej dłoni brakowało małego palca. Zauważywszy, że Sudariew przygląda się temu, wysoki oświadczył:

— Myśmy też wojowali — obrócił rękę pokazując długie, głębokie blizny. I otwarcie, z cynizmem świadczącym o tym, że wie, iż nie ma potrzeby krępować się wobec gościa swego przyjaciela, ciągnął dalej:

— Nie miałem za kogo walczyć... Trzeba było samemu starać się o poparcie. Bo wiecie, gdy „messery” siekają z karabinów maszynowych i wałają się bomby — to nie przelewki. A ta „historia” mimo wszystko Sańce Figumowowi nie przeszkadza w życiu, — Mówiąc to zademonstrował świetną giętkość i posłuszeństwo pozostałych czterech palców.

Sudariew z uwagą przyglądał się przybyłemu, który rozumiejąc, że go taksują i oceniają — trzymał się trochę sztywno. W głosie jego wyczuwało się lęk pomieszany z zuchwalstwem.

Wreszcie Sudariew spytał Figumowa, czy dobrze zna okolice miasta i step. Figumow ożywił się:

— Dużo miejsc znam doskonale... Przecież w tutejszym związku łowieckim jestem uważany za jednego z najlepszych strzelców. Na zawodach zawsze zdobywam nagrody. A tu, co drugi człowiek ma w domu strzelbę, więc zdobyć nagrodę nie jest znowu tak łatwo — podkreślił chętnie. — Wprawdzie na ptactwo nie lubię chodzić. Nie ma to jak zając. Jak zacznie śpiewać... — Zezwolone nieco oczy Figumowa rozblęsnęły. Z zapalem ciągnął dalej: — Strzelam do szaraków o każdej porze roku. Wystarczy odjechać stąd nieco na wschód — step pusty, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Co prawda, nie można wówczas polować, dlatego też letnie zające wypuszczam. Nie biorę ich ze sobą do miasta, żeby się nikt niepotrzebnie nie czepiał. Strzelam — od tak, dla zabawy...



...a ta „historia” Figumowowi nie przeszkadza w życiu...

Sudariew nie zadawał więcej pytań. Klebanowski mrugnął na Strzelca. Figumow zrozumiał i powstał:

— A zatem, życzę wam przyjemnego snu — zwrócił się do Sudariewa. — Więc ja... — zaczął i urwał nagle, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia. — Jednym słowem... — Figumow wskazał głową w kierunku gospodarza. — On mnie zna... Jestem gotów każdego dnia, o każdej porze, jak bagnet.

W ciągu następnych dni właściciel małego domku na przedmieściu przedstawił Sudariewowi jeszcze dwóch swoich przyjaciół.

Sudariew z uwagą przyglądał się przybyłemu, który rozumiejąc, że go taksują i oceniają — trzymał się trochę sztywno. W głosie jego wyczuwało się lęk pomieszany zuchwalstwem.



...Chripunow nie nosił wąsów i był nieco młodszy...

Wreszcie Sudariew spytał Figumowa, czy dobrze zna okolice miasta i step. Figumow ożywił się:

— Dużo miejsc znam doskonale... Przecież w tutejszym związku łowieckim jestem uważany za jednego z najlepszych strzelców. Na zawodach zawsze zdobywam nagrody. A tu, co drugi człowiek ma w domu strzelbę, więc zdobyć nagrodę nie jest znowu tak łatwo — podkreślił chełpliwie. — Wprawdzie na ptactwo nie lubię chodzić. Nie ma to jak zając. Jak zacznie śpiewać... — Zezowate nieco oczy Figumowa rozbliły. Z zapalem ciągnął dalej: — Strzelam do szaraków o każdej porze roku. Wystarczy odjechać stąd nieco na wschód — step pusty, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Co prawda, nie można wówczas polować, dlatego też letnie zające wypuszczam. Nie biorę ich ze sobą do miasta, żeby się nikt niepotrzebnie nie czepiał. Strzelam — od tak, dla zabawy...

Sudariew z uwagą przyglądał się przybyłemu, który rozumiejąc, że go taksują i oceniają — trzymał się trochę sztywno. W głosie jego wyczuwało się lęk pomieszany z zuchwalstwem.

Wreszcie Sudariew spytał Figumowa, czy dobrze zna okolice miasta i step. Figumow ożywił się:

— Dużo miejsc znam doskonale... Przecież w tutejszym związku łowieckim jestem uważany za jednego z najlepszych strzelców. Na zawodach zawsze zdobywam nagrody. A tu, co drugi człowiek ma w domu strzelbę, więc zdobyć nagrodę nie jest znowu tak łatwo — podkreślił chełpliwie. — Wprawdzie na ptactwo nie lubię chodzić. Nie ma to jak zając. Jak zacznie śpiewać... — Zezowate nieco oczy Figumowa rozbliły. Z zapalem ciągnął dalej: — Strzelam do szaraków o każdej porze roku. Wystarczy odjechać stąd nieco na wschód — step pusty, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Co prawda, nie można wówczas polować, dlatego też letnie zające wypuszczam. Nie biorę ich ze sobą do miasta, żeby się nikt niepotrzebnie nie

czepiał. Strzelam — od tak, dla zabawy...



...Machmet — ogły był słusznego wzrostu...

Machmet — Ogły był słusznego wzrostu. Ten człowiek o potężnym cielsku był milczący i w rozmowie bardzo zwięzły. Wydawało się, że wydusza z siebie słowa, wysuwając do przodu ostry podbródek, poruszając krzaczastymi brwiami i silnie sterczącymi uszami. Ich obu, tak samo jak pierwszego, Sudariew uznał za odpowiednich.

W następną sobotę wieczorem pięciu ludzi wyjechało lokalnym pociągiem w kierunku wschodnim.

Jesienny sezon myśliwski był w całej pełni. W tłumie myśliwych pięciu ludzi w myśliwskim rynsztunku z karabinami w pokrowcach nie zwróciło na siebie niczyjej uwagi.

O trzeciej w nocy wysiedli z ostatniego wagonu na głuchym rozjeździe i pograżyli się w mroku. Wprost z nasypu nie czekając świtu, ruszyli w step, na południowy wschód. Grupę prowadził Klebanowski, według ustalonej przez siebie marszruty.

II. CZWÓRKA PRZY PRACY

Gdy zgasł ognisty ślad, pozostawiony na niebie przez meteor, step stał się jeszcze ciemniejszy. Tylko oczy nocnego zwierzęcia lub ptaka, posiadające właściwości przenikania ciemności, mogłyby rozróżnić w mroku zarys wzgórza z wrośniętą weń sylwetką człowieka... Przez kilka sekund Ałonow wpatrywał się w żółty punkt migocący w mroku, po czym — grzęznąąc głęboko w osypującym się piasku — zbiegł w dół. Tu spotkało go rozczarowanie:

świecący punkt znikł. A był już przekonany, że to ognisko wrogów. Wrogowie prawdopodobnie tak jak i on zaskoczeni byli widokiem ognistego meteoru, który przemknął przez niebo. Ałonow sam siebie przekonywał o słuszności swych domysłów, chciał upewnić się, że odnalazł zagubioną w stepie grupę ludzi i bał się choćby na chwilę stracić cel z oczu. Znow wbiegł na wzgórze. Płomień migotał na tym samym miejscu, co poprzednio. W nocy nie można dokładnie określić odległości i Ałonow — wiedząc o tym — nie starał się nawet dociec, jak daleko znajduje się obozowisko wrogów. Daleko czy blisko — czasu w każdym razie tracić nie można. Niebo na wschodzie zaczęło się już ledwie dostrzegalnie rozjaśniać. Ałonow wyobraził sobie, jak czwórka tajemniczych osób dygoce z chłodu, który dziś szczególnie dawał się we znaki. Trzy czy cztery razy wspinał się na przecinające mu drogę fałdy ziemne, będąc za każdym razem przekonany, że ujrzy przed sobą — już nieświecący punkt, ale jasną plamę ogniska. Jasnej plamy jednakże nie było... Obejrzawszy się mógł już rozróżnić w mroku wyżynę, na której znajdował się niedawno. Stąd, z południa wydawała się ona dość wysoka. Bardziej na południe teren nieco się obniżał.

Ałonow szedł szybko. Dzień jednak nadchodził szybciej. Teraz już zupełnie wyraźnie widział ziemię pod nogami. Wyrzucał sobie, że zmarnował tyle czasu. Teraz nie ma mowy o zaskoczeniu bandytów. „Wszystkiemu winne to przeklęte błoto — myślał z wściekłością Ałonow. — Tyle czasu straciłem na próżno”.

„Nie śpiesz się. I tak już byś teraz nie mógł do nich dojść niepostrzeżenie” — uspokajało go bladoniebieskie niebo z ostatnią gasnącą gwiazdą. Ałonow dostrzegał już swoje ręce, podłużny rowek między lufami strzelby...

Jeszcze chwila — i ukazało się słońce. Wczoraj śmiało rzucało swoje promienie — rześkie, silne, gorące. Dziś zawisło nad stepem jakby martwe. Inny był dziś wschód słońca.

Nieruchome powietrze stało się ciężkie, chłodne, jakby zasnute pyłem. Słońce po chłodnej nocy pojawiło się smutne, zmęczone, obojętnie patrząc na ziemię.

Zmienia się szeroki step. Na drzewach i krzewach zagajników pojawiają się żółte liście, zielone korony kurczą się, przeredzają, łodygi traw wiotczeją, więdną, tracą ostatnie soki. Stepowe rośliny nie patrzą już na słońce, nie odwracają do niego swych pędów.

Ptaki i zwierzęta jakby gdzieś znikły — ani dźwięku, ani ruchu. Skończyła się wczesna jesień — piękna: pora dojrzewania płodów.

Zaczął się drugi okres — późna jesień

— więdnienie, zamieranie, starość...

Ałonowowi nie było chłodno — szybki ruch go rozgrzewał, ale ten smutny ranek wprowadził go w jakiś ciężki, przygnębiający nastrój.

Ałonow czuł się bardzo samotny. Zupełnie sam... Przyroda jakby się od niego odwróciła.

Będą jeszcze, będą jasne dni, promienne słońce, spływające z wysokiego, bladego, jesiennego nieba... Ale cała przyroda jest już zajęta przygotowaniami do zimy.

Ałonow nieraz obserwował, jak zmiana pogody i pór roku działa na żywe istoty. Uważał, że jest to zupełnie naturalne. Milcząca przyroda przygotowywała się do snu i nie miała zamiaru traktować Ałonowa w jakiś szczególny sposób. Odwróciła się od niego, zajęta swymi sprawami. Był sam. Gdybyż mógł spotkać kogoś! Choćby jednego człowieka. Jak łatwo, w kilku słowach potrafiłby się z nim porozumieć. Strach go ogarnął, strach samotności.

Przyspieszył kroku. Biegł prawie. Walcząc ze strachem powtarzał sobie, że nie może stracić śladów. Przecież jest sam, sam jeden. I nikt mu nie pomoże.

Wbiegał na wzgórze, pochylony jak na polowaniu na grubego zwierza. Starał się, aby go nie dostrzeżono. Strach dodał mu sił do tego samotnego pościgu za wrogiem. Dośćgnąć ich, za wszelką cenę dośćgnąć! Choćby nawet trzeba było ścigać ich dzień, dwa, tydzień, miesiąc.

Nareszcie... Ałonow obejrzał się. Tak, z tyłu na horyzoncie rysowało się wzniesienie z piaszczystym grzbietem, skąd prawdopodobnie widać to miejsce, gdzie stał obecnie. Ałonow

miał przed sobą Ślad nocnego postoju. Była to dość głęboka kotlina, z czystym drobnym piaskiem. Widniały na nim ślady wielu nóg. Na przeciwległym stoku zwisały girlandy krzewów. Osypujący się piasek obnażył ich grube korzenie.

Poniżej znajdowało się miejsce, w którym nocą płonął ogień. Ałonow podbiegł do wygasłego już dawno ogniska, padł na ziemię i spojrział na północ. Grzbiet wyżyny znikł. Ale gdy Ałonow powstał, znów ujrzał na horyzoncie znajomą sylwetkę wzgórza. Stamtąd właśnie widział to ognisko. Nie ma mowy o omyłce.

Rozglądając się na wszystkie strony, Ałonow zauważył coś w rodzaju ścieżynki wydeptanej w piasku nogami ludzi. Ścieżynka ta powiodła go pod suchymi korzeniami zwisającymi ze zbocza kotliny i wyprowadziła na jej skraj. Dalej — ścieżka skręcała w lewo, a kilka szeroko rozrzuconych śladów — w prawo. Ślady te gubiły się wśród ostrej trawy. Ałonow pobiegł w prawo.

Teren zaczął się wznosić. Piasek porastała darń i rzadkie krzewy z nagimi gałęziami. Między krzewami widniały kamienne płyty, podobne do tych, jakie widział Ałonow na wschodnim stoku błota. Jeszcze trochę w górę — i oto otwarła się przed Ałonowem przestrzeń zarośniętego ostnicą stepu, równa — z pasami pochylonych miotelek wysokiej, szlachetnej trawy. Tu — niezbyt daleko, w odległości jakichś dwóch kilometrów Ałonow ujrzał te same znajome cztery sylwetki, z których jedna była wyraźnie wyższa od pozostałych. To oni!!!

Bandyci byli niedaleko. „Z pewnością nie więcej jak pół godziny marszu dzieli ich od miejsca nocnego postoju” — pomyślał Ałonow.

Bandyci nie kontynuowali marszu. Rozeszli się po stepie w różne strony. W tej chwili do uszu Ałonowa doszedł huk wystrzału, powtórzony natychmiast. „Strzelali z broni myśliwskiej” — stwierdził. Widział, jak najwyższy z bandytów odbiegł od grupy. Widocznie szukał zabitego ptaka czy innej postrzelonej dziczyzny.

Równy, porośnięty ostnicą step stwarzał wyjątkowo dobre warunki do obserwacji.

Ałonowowi wydawało się, że wrogowie się nie spieszą — a więc ma dość czasu. Może teraz wrócić na poprzednie miejsce i szukać odpowiedzi na pytanie: dokąd prowadzi wydeptana przez nich ścieżka?

Nieznana droga wydaje się zawsze dłuższa od drogi znanej. Z tego czy innego powodu — w każdym razie Ałonowowi wydawało się, że bardzo szybko wrócił do piaszczystej kotliny, w której nocą błyszczał wyznaczający mu drogę punkt.

Ruszył teraz ścieżką w lewo, ale natychmiast zatrzymał się, przełamał strzelbę i wyjął z luf gilzy z ołowianymi (kulkami. Wymienił je na słabe, nabite śrutem ładunki, które przygotował wczoraj. Zdawał sobie sprawę, że jeśli sam ledwo mógł dosłyszeć wystrzały wrogów, to jego słabego wystrzału nikt na pewno nie usłyszy.

Ruszył ścieżką nachylaną, z bronią ku przodowi. Ścieżka skręciła, wiodła go przez krzewy i zaprowadziła do drugiej znacznie głębszej kotliny. Skaliste podglebie jakby tu osiadło tworząc coś w rodzaju lejka, na którego dnie jaskrawo zieleniły się trawy. Silna zieleń krzykliwie kontrastowała z ogólnym odcieniem więdnącego stepu, na który przed chwilą patrzył Ałonow. Szedł teraz jeszcze ostrożniej niż dotąd, opuszczając się po szerokich stopniach, tworzących coś w rodzaju płaskiego amfiteatru.

Domysły jego okazały się słuszne. Zrobił jeszcze z dziesięć kroków, gdy z dołu uniosły się z krzykiem spłoszone przezeń szare kuropatwy. Strzelba, jak wydawało się strzelcowi, szcęknęła ledwie dosłyszalnie, ale od stadka oderwały się dwa ptaki. Ałonow skoczył naprzód i schwytał dziczyznę. Potem nabił strzelbę, zrzucił z ramion plecak i schował w nim zdobycz.

Nie wątpił, że poprzedni jego domysł również okaże się słuszny. Istotnie, prawie w centrum kotliny dostrzegł malutkie zwierciadło wody. Było nie większe od biurka w jego pokoju w sowchozie.

Woda miała lekko żelazisty smak, co zresztą zupełnie nie umniejszało jej zdatności do picia.

Była o wiele lepsza niż błotnista woda ze stepowego lasku. Ałonow nie skończył jeszcze pić, gdy upewnił się, że jego nieokreślone dotąd podejrzenia były słuszne.



Oczywiście wrogowie znali miejscowość! Byli świetnie obznajomieni ze stepem. Potrafili bez błędzenia odnaleźć źródło, a co za tym idzie — droga ich nie była przypadkowa.

Teraz już Ałonow zrozumiał, dlaczego wczoraj stracił ich z oczu. Przypuszczał naiwnie, że postój wrogów wypadnie tam, gdzie zaskoczy ich zachód słońca. Okazuje się jednak, że kontynuowali marsz w ciemności. Teraz jest to zrozumiałe. Chcieli dojść do dobrze im znanego źródła. Tak, bandyci czuli się w stepie jak u siebie w domu. Wiedzieli nie tylko, dokąd i po co idą, ale także którądy należy iść...

Ałonow pozwolił sobie na kilka minut odpoczynku. Zjadł śniadanie, spożywając część wyschniętych do ostateczności sucharów, mało dostępnych nawet dla silnych, młodych zębów. Potem napełnił manierkę źródlaną wodą i ruszył tam, skąd poprzednio dojrzał tajemniczą czwórkę.

Znów przeszedł ścieżkę wydeptaną nogami wrogów. Nie chciał zostawiać śladów: bandyci mogli wrócić, by uzupełnić zapas wody.

Do uczucia odrazy i wstrętu, które opanowały Ałonowa, mimo woli dołączyło się teraz wzrastające wciąż zainteresowanie poczynaniami bandytów. Czy nie trafi mu się przypadkiem coś ważniejszego niż Okazja do dobrego, celnego strzału? Czy nie okaże się tym razem, że prawdziwym zwycięstwem jest wykrycie zamiarów wroga?

Znalazłszy się na skraju trawiastego, porośniętego ostnicą, masywu Ałonow przypuszczał, że odległość między nim i bandytami znacznie się zwiększyła. Omylił się jednak i to go zaskoczyło. Bandyci prawie się nie oddalili! Dzielilo go od nich niewiele więcej niż dwa kilometry. I jeszcze jedna rzecz rzuciła się w oczy Ałonowowi: nie miał już przed sobą zwartej grupy, którą tworzyły dotąd te cztery, bez przerwy posuwające się naprzód postacie. Teraz rozciągnęły się one wśród ostnicy w tyralierkę i pozostawały w dość znacznej od siebie odległości.

Z początku wydawało się Ałonowowi, że cała czwórka stoi w miejscu. Przyjrząwszy się jednak dokładnie zauważył, że każdy z tych czterech wykonuje tę samą czynność: postępuje kilka kroków, zatrzymuje się i pochyla tak nisko, że znika prawie wśród wysokiej trawy. Te jednakowe, regularne ruchy następowały jeden po drugim. Czasem, ktoś tam prostował się i Ałonowowi wydawało się, że bandyta ogląda się wokół. Dziś byli znacznie ostrożniejsi niż wczoraj...

Zarysy sylwetek bandytów jakoś się zmieniły. Nie mieli już na plecach plecaków!...

Ałonowa naprawdę zainteresował widok dokonywanej przed jego oczyma pracy. Nie ulegało wątpliwości, że bandyci pracowali!

Ale co oni robią? Szukają czegoś? Czy zbierają coś? Co mogą zbierać? Rzadkie okazy traw? Może znajdują się tu jakieś rośliny swoiste tylko dla tego miejsca i nieznane nikomu? Ałonow zadawał sobie pytania i szukał na nie odpowiedzi.

Czy nie zachowała się tu jakaś osobliwa, starodawna „święta” roślina w rodzaju legendarnego wschodniego korzenia żeńszeń? Ałonowowi przypomniały się ulubione stronicze książki Arseniewa i zachwycające go od dzieciństwa opowiadania Priszwina. Patrzył na step. Trawy wydawały mu się wspanialsze i świeższe niż dotąd. Istotnie, może znajduje się tu jakiś osobliwy korzeń, łądoga czy cebulka rośliny. I roślina ta musi być pewnie bardzo cenna, jeśli poszukuje jej aż czterech bandytów. Szajka złodziei! To jest pewne!

Wydawało mu się, że rozwiązał zagadkę. Utwierdzał go w tym widok czterech postaci.

Wrogowie pracowali według planu. Badali step, tak jak się to powinno robić w czasie dokładnych poszukiwań. I oczywiście znajdowali to, czego szukali. W przeciwnym razie po cóż by się tak często i tak regularnie nachylali?

Bystra i wyteżona w tej chwili wyobraźnia Ałonowa zapełniała jakimiś dziwnymi roślinami porośnięty ostnicą masyw — „barbas“ jak nazywają zwarte połacie stepowych traw rosyjscy chłopcy, którzy przyjęli to dźwięczne słowo od Kazachów.

Dziewiczy step był taki sam jak przed tysiącami lat. Nie dotknęła go nigdy ani starodawna socha, ani współczesny pług. Rosyjska przyroda otoczyła ten skrawek stepu niezwykle umocnieniami obronnymi. Oderwała masyw urodzajnej ziemi i przeniosła go na południe.

Wyryła obronną fosę i wpuściła w nią wartę z pustyń, stworzyła pułapki zgniłych błot.

Powierzyła obronę tej fortecy jadowi złośliwych żmij.

Ale dla tego, kto potrafił przejść przez wszystkie próby, matka-ziemia przygotowała czarę swej wody, by mógł — wedle starego ruskiego zwyczaju — napić się jej przestępując próg.

Jakże kochał w tej chwili swój step Ałonow!

„A oto masz ich — wilkołaków!” — myślał Ałonow patrząc na czterech ludzi, zbierających plon, którego nie siali, rabujących dobro należące do narodu.

Czwórka bandytów stopniowo, bardzo powoli oddalała się, pracując bez wytchnienia. Minęła już co najmniej godzina, jak Ałonow obserwował ich. A oni wciąż coś tam kradli. Trwał zorganizowany rabunek jakichś cennych dóbr. Ałonow ma obowiązek dowiedzieć się, co oni kradną.

Ale w tej chwili myśli, Ałonowa potoczyły się innym torem. Cztery postacie zeszyły się razem. Wyglądały teraz jak słupki i z dużej odległości nie można było rozpoznać ich ruchów. Później dwa słupki znikły. „Napracowali się i położyli się, by odpocząć” — pomyślał Ałonow z pogardą. Dwaj pozostali powoli ruszyli z powrotem — w kierunku miejsca skąd

obserwował ich Ałonow.

W trawie można się łatwo ukryć. Ałonow przykucnął w ostnicy. Czapkę dawno już zdjął i schował do kieszeni. Głowę przykrył pękiem ściętej trawy, który trzymał w lewej ręce.

Wiedział, że teraz nie można go zauważyć nawet w odległości stu kroków, a od zbliżających się (bandytów dzieliło go przecież, co najmniej dwa kilometry).

Bandyci zatrzymali się w chwili, gdy Ałonow zaczął wyraźnie rozróżniać, że jeden z nich jest wyższy od drugiego. Podnieśli coś z trawy. Ałonow widział, jak znów nakładali dobrze mu znane plecaki. Ale tym razem bandyci nie włożyli plecaków normalnie — na plecy. Zarzucili po jednym na każde ramię i znów odwrócili się plecami do obserwatora. „Wszystkie plecaki były złożone w jednym miejscu i tych dwóch posłano, by je przynieśli” — wywnioskował Ałonow. Jeden z bandytów, niższy — upadł, zaczepiwszy widocznie o coś nogą. Drugi ruszył dalej nie czekając na towarzysza, a ten, który upadł, długo się grzebał podnosząc plecaki. Widocznie — jak na jednego człowieka — ciężar był niemały.

Dwójka bandytów dostarczyła plecaki na miejsce odpoczynku i wkrótce Ałonow ujrzał, jak cztery postacie znów rozciągnęły się w tyralierkę.

Siedząc w trawie, Ałonow nie spiesząc się oskubywał kuropatwy. Doszedł



do wniosku, że cała czwórka pracowała według określonego schematu i planu. Plecaki są ciężkie i przeszkadzają im w poruszaniu się. Jasne jest, że bandyci zostawiają je w trawie.

Ałonowowi błysnęła myśl — czy nie warto by się podkraść do plecaków? Bezczyńność męczyła go. „Ale co będzie dalej?” — myślał. — Potrafi dotrzeć do plecaków, ale nie będzie mógł ich wszystkich zabrać ani zniszczyć. „A jeśli zabiorę tylko jeden to tym samym zdradzę swą obecność”. Jak bardzo chciało mu się rozpocząć otwartą walkę! Młodzieńczy zapał pchał go do boju. Znużyły go te postacie, wstrętne w swej upartej, zachłannej pracy.

Lecz właśnie teraz, choć sam nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, zaczynało się jego zwycięstwo, prawdziwe zwycięstwo, do którego doprowadziły go dwie pełne przeżyć doby — zwycięstwo opanowania i cierpliwości. Czy miał prawo wystąpić w charakterze sędziego i zgładzić ich? Bandyci mieli swoje tajemnicze cele. Teraz zaczynają je odsłaniać. Ale co to za jedni? Skąd się wzięli?

I myśląc tak Ałonow zwyciężał samego siebie. Umiał podporządkować rozumowi swój gniew, swe gorące oburzenie, swą niecierpliwość i nienawiść do wrogów — bandytów.

Jednoczył te uczucia i zmieniał je w ostrą broń rozsądnego, rozumnego działania: obrony ojczystej ziemi. W ten sposób z młodzieńca przekształcał się w dojrzałego mężczyznę. Klęcząc wśród wysokiej trawy spokojnie patrzył na małe, gorliwie pracujące postacie. Czują się bezpieczni?... Dobrze! Są pewni siebie?... Dobrze! Należą teraz do niego — i on potrafi doczekać się chwili, gdy będzie wiedział o nich wszystko i okaże się silniejszy od nich!... Był pewny, że bandyci będą pracowali do wieczora. W każdym razie — ma godzinę wolnego czasu. Wycofując się ostrożnie skrył się za stokiem i pośpieszył do źródła. Miał do dyspozycji dwie duże kuropatwy, a jeść chciało mu się bardzo.

III. CO BYŁO W OSTNICY

Ałonow liczył na to, że znajdzie gdzieś w pobliżu zaciszne miejsce, by przyrządzić sobie obiad. Schodząc do źródła po spadzistym stoku rozglądał się wokoło. Przestrzeń między wznoszącym się na horyzoncie wzgórzem o piaszczystym szczycie, gdzie odpoczywał i błąkał się nocą, a kotliną, która służyła za nocleg bandytom — stanowiła zagłębienie o szerokości mniej więcej 7 kilometrów. Zagłębienie rozciągało się z zachodu na wschód. Ten swego rodzaju rów zmieniał porośniętą ostnicą płaskowyż w wyspę. Dziś rankiem Ałonow przeszedł całą tę przestrzeń — początkowo w ciemności, później w niepewnym świetle świtu. W dodatku spieszył się. Dlatego też dopiero teraz zagłębienie terenu ukazało się mu w całej swej niezwykłości. Jakby jakiś olbrzymi, strug o nierównym ostrzu ściał z powierzchni grube strużyny gleby, odsłaniając piaski i kamienie. Ałonow stał na południowym brzegu suchego rowu. Brzeg ten był wyższy od północnego. Ałonow domyślał się tylko istnienia fałd ziemnych, które pod koniec nocy, gdy zbiegł z wzniesienia północnego brzegu, zasłaniały przed nim ognisko bandytów. Niedaleko źródła znalazł dogodne miejsce między rozpadliskiem na wpół zasypanych piaskiem kamiennych płyt. Nałamał garstkę suchych witek z krzewów i rozpałił maleńkie ognisko. Witki płonęły prawie bez dymu, ale Ałonow na wszelki wypadek stał nad ogniem i Wymachiwał zdjętą kurtkę, rozganiając ledwo dostrzegalny dymek. Woda była pod ręką, kuropatwy szybko się ugotowały w menażce. Nie było zupełnie soli. Mimo to Ałonow zmusił się do wypicia całej menażki bardzo niesmacznego bulionu i zjadł prawie całą kuropatwę. Pozostała mu jeszcze jedna kuropatwa i garść zeschniętych sucharów. Na jutro był zaopatrzony. Tropienie wrogów i związane z nim wzruszenia spalały Ałonowa. Przez cały czas był w ruchu, przez cały czas mimo woli się spieszył. Przygotowując posiłek szybko krzątał się przy ogniu. Potem jadł spiesznie, parząc wargi. Przez cały czas Ałonow myślał tylko o jednym, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że odkrył już tajemnicę bandytów. Poszukują jakiejś cennej i nieznannej rośliny, znajdują ją i zbierają. W miejskim muzeum krajoznawczym Ałonow pewnego razu dowiedział się, że w południowo-wschodniej części obwodu gdzieś zachowały się okazy flory z okresu przedlodowcowego. Niegdyś całe obszerne terytorium na wschód od gór Uradu zajmowało morze. Na tym niezbyt głębokim morzu znajdowały się wyspy. Na szeregu tych wysp, które stały się teraz oddzielnymi wyżynami, zachował się osobliwy gatunek starodawnych drzew iglastych. Ałonow Widział je na rysunkach. Koślawe, rozłożyste, z grubymi pogiętymi gałęziami — sosny te wyglądały dziwacznie i ponuro. Step, na którym pracowali teraz wrogowie, wznosił się nad poziomem okolicznych ziem. Nie było na nim starodawnych sosen. Ale dlaczego ten step, który również kiedyś był wyspą, nie może kryć w sobie jakichś roślin — rówieśnic „świętych” sosen, być może jedynych w świecie, wyróżniających się jakimiś osobliwymi cechami i szczególnie cennych?

O tym wszystkim powinni opowiedzieć bandyci. I dla kogo pracują — także powiedzą... Skończywszy posiłek Ałonow wrócił na poprzednie miejsce. Cztery postacie zdążyły już odejść daleko. Należało zmniejszyć odległość. Wrogowie byli obrócenii do Ałonowa plecami. Ałonow postanowił trzymać się drogi, którą przeszli bandyci. Gdy wracali po swe plecaki, zauważył miejsce, w którym je złożyli — było to w pobliżu małej kępki wiklinowych krzewów, zagubionych wśród ostnicy, Stepowe trawy nie zachowały śladów ludzi, którzy szli w luźnym szyku. Ale Ałonow pragnął odszukać ich ślady. Być może na drodze, którą szli bandyci, mógłby znaleźć — jeśli nie rozwiązanie zagadki, to choćby jakąś drobną wskazówkę, mówiącą o celu ich wyteżonej pracy.

Miejsce, w którym leżały plecaki, Ałonow odnalazł po niezbyt długich poszukiwaniach. Duży i zabierający wiele miejsca ciężar, dreptanie ludzi na jednym miejscu, upadek jednego z nich — wszystko to zostawiło wyraźne ślady wśród usychających źdźbeł wysokich traw.

Nagle Ałonow zauważył w trawie pod nogami coś czarnego. Nie podnosząc się z klęczek wyciągnął rękę i podniósł swą własną lornetkę w czarnym skórzanym futerale. Uradowany wyjął ją z futerału, otarł połą kurtki i skierował szkła na wrogów.

Nie posiadał drogiej, silnej lornetki pryzmatycznej. Zadowalał się ojcowską, podarowaną przez kogoś leśnikowi w dawnych, niepamiętnych dla syna czasach. Ale szkła tej starej, oklejonej zrudziałą skórą lornetki, były dobre i czyste. Stara przyjaciółka pomogła teraz Ałonowowi w obserwacji: wrogowie tak jak poprzednio schylali się i prostowali pracując z niezwykle uporem, jak maszyny. Ale tego, co tam znajdowali na pokrytej trawą ziemi, nie mógłby wykryć nawet astronomiczny teleskop.

Słońce minęło zenit znacząc drugą połowę dnia...

Ałonow przeniósł się bliżej wrogów. Ci wolno oddalali się i po pewnym czasie musiał powtórzyć swój manewr. Udało mu się podążać za nimi prawie tą samą drogą, którą przeszli; wkrótce znów znalazł miejsce ze śladami leżących w trawie plecaków.

Ponieważ zbliżał się już wieczór, Ałonow ograniczył swój plan dzienny do określenia miejsca prawdopodobnego noclegu wrogów. Nie chciał się znów oderwać od nich.

W myśli przeprowadzał od miejsca, w którym się znajdował, proste linie. Jedną kierował na północ. Wiedział, że przetnie się ona z linią kolei. Drugą prostą wyobrażał sobie, jako ustawioną pod kątem do pierwszej. Kierowała się ona na północny zachód i powinna była przeciąć linię kolejową w miejscu, w którym znajdował się znany Ałonowowi rozjazd kolejowy.

Długości tych linii Ałonow nie mógł jednak określić z dostateczną pewnością. Od rozjazdu do błotnistej laski było jakieś trzydzieści jeden kilometrów. Była to jedyna bezspornie dokładna cyfra. Obliczał odległości odcinków drogi, które przeszedł w ciągu drugiego dnia pościgu — wypadło czterdzieści kilometrów. Ale w tym mógł się już mylić o kilka kilometrów.

Jeśli idzie o odległość od linii kolejowej to — być może — wcale się nie zwiększyła — przecież wrogowie przez cały czas szli na wschód, a więc droga ich powinna być równoległa do magistrali kolejowej.

Od tych obliczeń oderwał Ałonowa lekki dymek, który ukazał się na linii wyznaczonej przez postacie czterech członków szajki. Przyłożył lornetkę do oczu; Dymek zmienił się w gęsty słup dymu. Ałonow dobrze widział, jak cała czwórka zbiegła się w miejscu, skąd unosił się dym, jak gdyby starając się stłumić płomień. Dym znikł i szajka znów rozeszła się tworząc linię, która oddalała się wolno i prawie niedostrzegalnie. Bandyci uparcie prowadzali zbiór nieznanych roślin.

Pojawienia się ognia Ałonow nie potrafił sobie w żaden sposób wyjaśnić. Trawa, najwidoczniej, zapaliła się przypadkiem — w przeciwnym razie bandyci nie tłumiliby pożaru. Na wszelki wypadek starał się dokładnie zaobserwować wysoki „zależ” (tak nazywają

mieszkańcy stepów połać porośniętą szczególnie gęstą trawą), koło którego pojawił się słup dymu.

Pod wieczór wrogowie znajdowali się już w odległości prawie dziesięciu kilometrów od źródła. Całą tę przestrzeń przeszli prowadząc bez przerwy swe poszukiwania.

Ałonowowi udało się dotrzeć do miejsca, w którym wybuchł pożar. Ogień wypalił poszarpane koto o średnicy czterech do pięciu metrów. Można się było domyśleć, że płomień buchnął nagle dużą siłą: wierzchołki wysokich traw wokół wypalonego miejsca były osmalone. Popiół był wydeptany, a trawy wygniecione przez bandytów tłumiących ogień.

Wieczorem Ałonow zauważył, że wrogowie idą z powrotem. Zatrzymali się na chwilę, podnieśli z ziemi plecaki, załadowali je na plecy i zaczęli się zbliżać.

W odległości 50 m od miejsca, przez które powinni byli przejść, Ałonow ukrył się w wysokiej ostnicy, tak by zachodzące słońce świeciło zbliżającym się bandytom w oczy i by go nie zdradził blask szkielec lornetki.

Teraz Ałonow mógł dokładnie obserwować wszystkich czterech. Szli gęsiego z opuszczonymi głowami, powłócząc nogami. Na przodzie kuśtykał człowiek średniego wzrostu, z dużymi wąsami. Za nim niski, który wydawał się bardziej rzeński. Trzeci, wysoki, z trudem powłóczył nogami. Ostatni włókł się człowiek takiego wzrostu jak pierwszy, ale bez wąsów. Wysoki niósł znany Ałonowowi krótki karabinek z cienką lufą. Kołysał mu się on na piersi, zawieszony na długim rzemieniu. Niski niósł swą broń na prawym ramieniu i Ałonow nie mógł dostrzec, jaka to była broń. Pierwszy i ostatni mieli broń w pokrowcach.

Zwracając głowę w ślad za wrogami Ałonow zauważył nagle, że plecaki ich znacznie się zmniejszyły. Jakże mógł nie zauważyć od razu tego dziwnego faktu? Plecaki były teraz, co najmniej dwukrotnie mniejsze. A plecak niskiego przybrał nawet rozmiary normalnego plecaka wędrowca, który pragnie spędzić dwa, trzy dni w stepie. Było to bardzo dziwne. „Ale co się stało z zebranymi przez nich roślinami? Gdzie oni je podziali i co powyrzucali ze swych plecaków?” Ałonow uświadomił sobie, że wszystkie jego hipotezy, określające cele bandytów, przyjęte już przezeń za bezsporną prawdę, mogą się okazać po prostu fałszywym domysłem. Wszystko może wyglądać inaczej. Ale przecież oni coś tam zbierali? To fakt. Nie można nie wierzyć własnym oczom.

Ściemniło się. Na noc ukrył się na skraju „barbasa”, w pobliżu wysuniętego w step języka pustyni. Od noclegu bandyckiej szajki dzielił go nie więcej, jak kilometr.

Wrogowie wrócili na stare miejsce dlatego, że dalej nie było łatwo dostępnego źródła wody. Tak określał Ałonow przyczynę ich powrotu. Jeśli jutro ruszą w dalszą drogę z powrotem — to ujrzy ich w pustynnym zagłębieniu. Jeśli natomiast — jak poprzednio — pójdą na południowy wschód, Ałonow ujrzy ich, gdy będą przecinali porośniętą ostnicą płaskowyż. W każdym razie już ich z oczu nie straci. Musi wykryć ich tajemnicę. A potem trzeba będzie obmyślić, jak ich złapać i pociągnąć do odpowiedzialności. Przed udaniem się na spoczynek Ałonow podkraść się bliżej obozowiska bandytów.

Leżąc na lewym boku położył głowę na plecaku, podkładając dłoń pod policzek i podgiął kolana. Palce lewej ręki uchwyciły szyjkę strzelby. Wkrótce napięte mięśnie osłabły, ale palce pozostały zwarte na broni.

Usnął. Dzikie trawy nie chroniły go przed chłodem październikowej nocy. Wrogowie byli oddaleni od niego o kwadrans drogi. Spał czujnie, budził się często, przysłuchiwał się nocnym szmerom i znów zasypiał z myślą o zagadkowym zachowaniu się nieznajomych ludzi.

IV. ODKRYCIE

Nad ranem temperatura powietrza znacznie się obniżyła. Zbudziwszy się Ałonow postrzegł, że jego ubranie i trawa wokół niego pokryły się gęstą rosą. Strzelba była zimna, a na lufach

osiadła wilgoć.

Był przedświt. Niebo pobladło. Na wschodzie przez słabe, różowawo-zielonkawe odcienie prześwitywała żółcizna dnia.



Ałonowa zdumiała rześistość rosy. Z dużym zainteresowaniem myślał o wilgoci zawartej w powietrzu. Rosa w stepie zależna jest od zasobności okolicy w wodę, która paruje w ciągu dnia. Na pewno — rozmyślał Ałoniow — w pobliżu znajdują się duże tafle jezior lub bagna. Chłodna noc zwróciła ziemi ich parę wodną. Przypomniał sobie jeszcze, że zależa ostnicy, wśród których wrogowie przez cały wczorajszy dzień prowadzili swą niezrozumiałą pracę, wydawały się bardziej świeże i zielone niż trawy stepu, z którego tu przyszedł w ślad za nimi. Gdziekolwiekby nie uciekały jego myśli, zawsze jednak natychmiast łączyły się w jego świadomości z główną, nie milknącą ani na chwilę troską: dociec celów szajki...

Ałonow wyspał się dobrze. Wewnętrzna wiara w swe siły i w słuszność swej sprawy dały mu możliwość spokojnego spędzenia nocy. Noc po pierwszym spotkaniu z bandytami była znacznie cieplejsza, wtedy jednak skostniał, zmęczony koszmarnym snem.

Na ziemi panowała jeszcze zupełna ciemność. Można było bez obawy podnieść się i przeprowadzić poranną gimnastykę. Swobodne ruchy rozgrzały Ałonowa i dodały mu rześkości.

Postanowił czekać nie opuszczając wygodnego, ukrytego w trawie miejsca. Na śniadanie zjadł część zimnej gotowanej kuropatwy i zapił pozbawione smaku niesolone mięso wodą ze swej pojemnej, aluminiowej manierki. Pomyślał przy tym, że każde zło ma swoje dobre strony. Przecież po ugotowanym według wszelkich prawideł mięsie bardziej chce się pić. „Pragnienie wciąż o napój prosi, aby kotletów zalać żar...”

— błysnęły mu w pamięci dźwięczne strofy wierszy. Jak będzie dalej z wodą, nie wiedział.

Słońce nie weszło jeszcze, ale było już zupełnie jasno, gdy oczom Ałonowa ukazała się bandycka szajka. Jeden po drugim wychodzili 'bandyci z kotliny. Cała czwórka zebrała się w komplecie i ruszyła naprzód. Znow w tym samym kierunku! Znow na południowy wschód! A więc wczoraj nie ukończyli jeszcze swej pracy?...



Ałonow odczekał, aż bandyci odejdą na dostateczną odległość, wrócił do źródła, napił się dowoli i napełnił manierkę świeżą wodą. Słońce już wstało, gdy wychodził z kotliny. Z południa pociągnął wiaterek, przeczesując miotłki ostnicy. Szara dal stepu zaczęła lekko falować. Bandyci byli już dość daleko. Ałonow widział ich dobrze przez lornetkę. Ruchy szybko idących ludzi wyraźnie zaznaczały się na równej powierzchni stepu. Płaski step stwarzał dogodne warunki dla obserwacji, ale znacznie mniej dogodne dla niedostrzegalnego posuwania się w ślad za wrogami.

Ałonow usiadł wśród traw i zaczął splatać z ostnicy długie powrośla. Splótł kilka dużych wianków ze sterczącymi na wszystkie strony siwymi miotłkami. Chciał się całkowicie przystosować do barwy stepu, uczynić się niewidzialnym.

Oplótszy się trawami ruszył śmiało za wrogami. Pochylił się, niosąc broń nisko nad ziemią. Wrogowie zatrzymywali się kilkakrotnie i Ałonow nieruchomiał wtedy na miejscu.

Zauważył, że bandyci rozglądają się. Postoje te były zresztą bardzo krótkie.

Oczekiwał, że wrogowie ponowią swe wczorajsze poszukiwania na nowym miejscu, ale szli dalej naprzód. W czasie krótkich postojów nikt spośród nich nie zwracał najmniejszej uwagi na ziemię pod nogami. Szli grupą, wyraźnie kierując się do jakiegoś nowego celu...

„Wiedzą dobrze, dokąd idą — myślał Ałonow. — Step widocznie nie jest im już potrzebny”. Słońce doszło już do zenitu, gdy zauważył, że postacie bandytów zaczynają się stopniowo zmniejszać. *Zdarza się tak, gdy poziom miejscowości obniża się równomiernie, a obserwator jest w dość dużej odległości od obiektu obserwacji. Wrogowie najwyraźniej schodzili gdzieś w dół, chowali się już za linię horyzontu. Ałonow przyśpieszył kroku. Teraz nad trawą widział tylko głowy. Wkrótce za linią horyzontu, który stał się już znacznie 'bliższy, kropki głów zniknęły zupełnie.*

Ałonow szedł teraz spieszenie, pragnąc jak najszybciej osiągnąć bliską linię, gdzie wprost za falującym masywem traw rozciągało się błękitne niebo ze strzępami przepływających obok słońca białych obłoczków.

I oto stopniowo nad zupełnie już bliskim horyzontem zaczęły ukazywać się mgliste, miękko zaokrąglone, dalekie i niejasne zarysy ciemnych i jasnych plam.

W końcu horyzont znów odskoczył w niedosięgniętą dal. W dali coś skrzyło się jak stał, wznosząc się w górę i zlewając z niebem. A bliżej — błyszcząły wokół zwierciadła wody.

Nie widząc nigdzie bandytów, Ałonow nie krył się już i szedł śmiało naprzód. Oplątany trawami podobny był do jakiegoś fantastycznego „ducha stepu”.

Zadziwiający i przepiękny widok rozciągał się przed nim. Zrozumiał wreszcie, gdzie się znajduje. Na południu była — me pustynia, lecz coś zupełnie innego. Stałowy pas, zlewający się z niebem, był po prostu kanałem!

Na skraju stepu trawiasta pokrywa ostnicy znikła. Podobnie jak las otoczony jest zaroślami, tak i tu przed bujnym masywem ostnicy ciągnął się kilkudziesięciometrowy darniowy pas drobnych traw. Urywał się dopiero na stromym zboczu, gdzie zatrzymywało go osypisko piasku ze sterczącymi zeń płytami starych kamieni. Po urwisku rozrzucone były mizerne krzewy, wczepiające korzenie w osypujący się piasek.

Ałonow, jak każdy w jego kraju, dobrze zdawał sobie sprawę ze znaczenia rozpoczętych wielkich prac przy budowie kanałów. A oto teraz rozciągał się przed nim daleki brzeg olbrzymiego zbiornika wodnego. Właśnie tam, w dole, obok zbiornika rozłożyła się szajka bandytów.

Nie mógł dojrzeć, co oni robią i po raz pierwszy w życiu pomyślał, że warto by zmienić starą lornetkę, towarzyszkę samotnych polowań, na nową, pryzmatyczną. Odległość między nim i wrogami wynosiła około czterech kilometrów.

Dwie postacie pozostały na miejscu, a dwie inne, jak duże owady, popęzły brzegiem jeziora. Ponieważ obserwował z góry — nie mógł na tle ziemi dostrzec ich ruchów. Wydawało mu się, że poruszają się teraz z tą samą szybkością co wczoraj. Czyżby znów poszukiwali czegoś? Czyżby znów coś zbierali? Gdyby tak można było podejść bliżej! Ale tym razem ziemia nie mogła dać żadnej Oslony. Zejście w dół po zboczu na oczach wrogów, nie miało by sensu.

Słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, gdy dwóch prowadzących poszukiwania bandytów prawie równocześnie ruszyło z powrotem.

Powracający położyli się obok tych, którzy pozostawali na miejscu. Całą czwórkę zakrył długi cień przepływającego po niebie obłoku.

Wkrótce postem bandyci wstali i — jak wydawało się patrzącemu z dala Ałonowowi — zaczęli dreptać na miejscu. Prawdopodobnie zbierali swoje rzeczy. Potem ruszyli w prawo. Doszli do długiego i wysokiego grzbietu rozdzielającego dwie wąskie łachy. Oddalające się postacie znikły wkrótce wśród krzewów. Na początku grzbietu rozciągały się rzadkie, niskie zarośla poprzedzielane polankami Ałonow nie mógł dojrzeć gdzie jest koniec grzbietu. Ginał on gdzieś w zarysach pofałdowanego terenu. Zdecydował, że teraz może śmiało zejść z płaskowyżu bez narażania się na odkrycie.

W jednej chwili znalazł się na dole i pobiegł dalej, mknąc jak na skrzydłach. Postanowił biec, póki mu starczy oddechu. Lekko pokonał te cztery kilometry, które oddzielały go od miejsca ostatniego postoju bandytów.

Dla odpoczynku wybrali oni suche miejsce — mniej więcej w odległości 150 metrów od wody. Znajdował się tu zbity, iłowaty piach, zmieszany częściowo z lessem. Pokrywały go rzadkie, niskie kępy osoki. Nad nimi rozkładały się powyginane łapy łopianu na grubych, łamliwych łodygach.

Czasu do namysłu było niewiele. Ałonow pobiegł w kierunku jeziora.

Nie trzeba było urodzić się tropicielem, czy spędzić całe życie na polowaniu, by znaleźć nad brzegiem ślady stóp tych, którzy byli tu przed chwilą i zajmowali się swą tajemniczą pracą. Zbity, gliniasty piasek zachował wyraźne odciski podeszew. Ałonow ruszył po śladach. Pochylił się i patrzył uważnie — już nie na same ślady, ale wokół nich. Starał się znaleźć gdzieś — tu właśnie, w bezpośrednim otoczeniu śladów — rozwiązanie zagadki. Nie mógł jednak odkryć niczego. Ani jednego śladu po wyrwanym z ziemi korzeniu, czy zerwanej roślinie! Jedyną rzeczą, jaką zauważył, to fakt, że ślady stóp znajdowały się zawsze na terenie, gdzie woda nigdy nie docierała, nawet gdy osiągała najwyższy poziom!... I to wszystko!...

Ruszył dalej, stąpając dokładnie po śladach wrogów. Może tak będzie łatwiej czegoś dociec? Nogi jego w miękkim obuwiu, ściśle obejmującym stopę, nie wypełniały śladów pozostawionych przez wrogów mających ciężkie buty.

Zrobiwszy w ten sposób dwa kroki Ałonow stwierdził, że wróg, podobnie jak to obserwował wczoraj, postępował naprzód, zatrzymywał się, rozstawiał nogi po czym nisko się nachylał. Zrobił znów dwa kroki do miejsca, gdzie ponownie zatrzymał się bandyta, rozstawił nogi w jego śladach i nachyliwszy się sięgnął ręką do ziemi. Tak właśnie powinien był nachylić się bandyta. W tej chwili zauważył nowy szczegół — z wewnętrznej strony śladu lewej, wysuniętej do przodu nogi, widniał jeszcze jeden niezbyt wyraźny ślad. Było to odbicie podeszwy, ale jakieś krótkie, zamazane. Ałonow uklęknął i zaczął rozgrzebywać palcami przydeptane miejsce. Ręce mu drżały, ale zmuszał się do spokoju. Przypadł piersiami do ziemi i rozdmuchiwał piasek, starając się oczyścić miejsce. Zachowywał ostrożność archeologa, dotykającego tysiącletniego pyłu na powierzchni nowoodkrytego zabytku — pomnika zamierchłej przeszłości.

Ukazały się brzegi okrągłego otworu. Takie precyzyjne okrągłe norki robi zwykle pająk — tarantula. Ale przecież ten jadowity rodzaj kosmatych pajaków gnieździ się znacznie dalej na

południu... Bardziej prawdopodobne było, że otwór ten został zrobiony końcem grubej laski. Ałonow ostrożnie grzebał palcami, poszerzając i pogłębiając otwór. Po upływie kilku sekund na głębokości siedmiu lub ośmiu centymetrów natknął się na jakiś dziwny przedmiot. Był on wielkości dużego palca grubej męskiej ręki. Jeden jego koniec był wyraźnie rozdęty i tworzył dość prawidłową, kulistą wypukłość. Drugi koniec natomiast był ścięty i zamknięty czymś w rodzaju wieczka, szczeliny przylegającego do ścianek i lekko wgniecionego do środka. Wyciągając ten dziwny przedmiot z ziemi, Ałonow zauważył, że był on zwrócony ściętym końcem do góry. Przedmiot wykonany był z jakiejś masy plastycznej. Ałonow ścisnął go palcami — bez rezultatu.

Położył go więc na kolbie strzelby, wyciągnął nóż i spróbował rozciąć. Ręce mu drżały. Ostra klinga z wysokogatunkowej stali ześliznęła się pozostawiając tylko rysę na wypolerowanej powierzchni. Ałonow ujął teraz nóż w garść i nacisnął rękojeścią. Ścisnięta między twardym drzewem kolby a nacięciem głowicy rękojeści twarda powłoczka pękła wzdłuż. W tej chwili ze ściętego końca wyskoczyła jak korek okrągła płytka. Skorupka nie była gruba — nie miała więcej jak milimetr. Elastyczny, a równocześnie twardy materiał, z którego była sporządzona, w miejscach pęknięć miał ostre, ząbkowane brzegi. Ałonowowi wydawało się, że jest to chitynowy pancerzyk — w rodzaju tych, jakie posiadają wielkie pokrywoskrzydłe żuki, ale znacznie, znacznie silniejszy.

Pod skorupką znajdowało się coś podobnego do miękkiego skórzanego woreczka. Trzymając ten woreczek na dłoni, Ałonow rozciął go wzdłuż nożem. Woreczek zawierał jakby jakieś posklejane ze sobą ziarna, mniej — więcej cztery razy dłuższe i sześć lub siedem razy szersze od ziaren ryżu czy pszenicy. Ułożone były wzdłuż — w trzech rzędach. Część z nich została przecięta ostrzem noża. Z przeciętych ziaren wydostawała się buro-żółta, śluzowata, pokryta żyłkami masa.

Z dreszczem wstrętu, jaki budzi się w człowieku, który dotknął czegoś obrzydliwie brudnego, Ałonow rzucił ohydny przedmiot i wytarł dłoń oraz nóż o czystą ziemię.

Nie szedł już dalej. Pobiegł z powrotem po swoich i obcych śladach. Zatrzy-



mywał się na każdym miejscu, gdzie noga wroga wdeptała ten niezwykły siew; nie zachowując już żadnej ostrożności rozgrzebywał piasek i wydobywał te dziwaczne płody. Zebrał w ten sposób dziesięć czy dwadzieścia sztuk — nie liczył ich, wysypał z pudełka

tytoń, włożył w nie swą zdobycz i schował do kieszeni.

Potem zaczął biec, jakby go kto ścigał. Zaszły się w krzaki na lewym brzegu łąchy, siadł na ziemi, skręcił grubego papierosa i zapalił, starając się opanować i skupić.

Siedział - nieruchomo. Wykonywał wszystkie ruchy, jakie wykonuje palący papierosa człowiek: podnosił go do ust, zaciągał się i wypuszczał dym, ale nie czuł przy tym ani smaku, ani zapachu tytoniu.

Część trzecia

I. WITAMY CIĘ, GENERALE!

Pociąg pośpieszny, zgrzytając hamulcami, wpadł pod oszklony dach dworca.

Na skraju peronu stał kolejarz wskazując podniesioną ręką miejsce, w którym powinna zatrzymać się lokomotywa. Ale parowóz minął go, wionął kłębem pary i zatrzymał się dopiero przy końcu toru. Z okienka lokomotywy wysunęła się głowa w czarnej furazerce ze złotą lamówką.

Pociąg składał się z czterech wagonów: bagażowego, dwóch wielkich pulmanów i eleganckiej salonki, umieszczonej między wagonami pulmanowskimi. Okna zasłonięte były ciemnymi firankami. Szyba w jednym z okien salonki była rozbita.

Przybyły pociąg witało około czterdziestu osób. Nieobecność kobiet podkreślała oficjalny charakter chwili.

Wzdłuż krytego peronu dworca wyciągnęły się dwa szeregi kompanii honorowej. Według zwyczaju przyjętego w stosunkach międzynarodowych kompania honorowa składa się zawsze z żołnierzy jednostki wojskowej. Ale tu gościa witała policja, uzbrojona w wojskową broń, co nadawało jej dziwny, jak gdyby dwuznaczny wygląd. Poza grupą witających i uzbrojoną policją, na rozległym peronie nie było żywej duszy.

Gdy pociąg zatrzymał się, wśród oczekujących powstało zamieszanie. Spowodował je fakt, że express stanął nie na wyznaczonym z góry miejscu, co naruszyło ułożony plan powitania.

Wszyscy bezładnie biegnąc, pchając się i deptając jeden drugiemu po nogach, rzucili się ku salonce. Wytworna grupa przekształciła się w stado baranów. Elegancko ubrani mężczyźni tłoczyli się, przeciskali się do przodu lub cofali. Szeregi policyjnej warty stały w kamiennym bezruchu.

Kąciki ust maszynisty pociągu pośpiesznego opuściły się w charakterystycznym grymasie. Na lokomotywę jednak nikt w tej chwili nie zwracał uwagi i maszynista nie potrzebował ukrywać swego złośliwego uśmiechu.

Z salonki wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna. Był on w mundurze generalskim z naramiennikami i odznakami. Za nim pojawiło się kilka osób w cywilnych ubraniach.

Z grupy witających na spotkanie generała wysunął się mężczyzna o maleńkich oczach i różowych policzkach. Zdjął kapelusz ukazując obecnym włosy niezwykle intensywnego czarnego koloru i zwrócił się do generała z powitalnym przemówieniem. Mówca pomagał sobie energiczną gestykulacją ale głos miał słaby i piskliwy. Do uszu przysłuchującego się uważnie maszynisty dobiegały tylko oddzielne, nie powiązane ze sobą słowa:

— Oczekiwany gość... przedstawiciel wielkiej Ameryki... wzajemne zrozumienie... sprawiedliwe wynagrodzenie... wspólnota, moralna... odrodzenie prawdziwego narodu... wspólny wróg... groźba ze wschodu... przednia straż zachodniej cywilizacji... jej opoka... ratunek cywilizacji... prawdziwa demokracja...

Zakończenie przemówienia witający podkreślili czymś w rodzaju wojowniczego i przyjaznego zarazem okrzyku:

— Hoch!

Generał odpowiedział krótko, ale dobitnie. Przemawiając poruszał groźnie kanciastym podbródkiem pod haczykowatym nosem. Potem, w otoczeniu wszystkich witających, generał ruszył ku otwartym na oścież drzwiom *wyjściowym*. Kompania honorowa zmieniła szyk, otoczyła i zamknęła pochód.

Ostatnie szeregi pochodu znajdowały się jeszcze przy wejściu na dworzec kolejowy, gdy do parowozu podszedł szybkim krokiem zawiadowca stacji w asyście dwóch żołnierzy w policyjnych mundurach. Zatrzymał się pod oknem lokomotywy i spojrzał do góry — prosto w oczy maszyniście.

— Odprowadzisz pociąg. Zdasz parowóz. Zgłosisz się po pieniądze. I pójdziesz do wszystkich diabłów!...

Głowa maszynisty znikła za oknem. Dodał pary i lokomotywa pobłyskując miedzią na czarnej stali odjechała.

Zawiadowca stacji powoli zawrócił. Rozkaz wykonał, lecz przekleństw, które usłyszał od jednego z ministrów, znajdującego się wśród witających — nie można było cofnąć.-

Rozumiał, że jutro słowa te przekształcą się w służbową naganę i ostrzeżenie. Tak... przecież właściwie nie ma żadnej różnicy między wyrzucanym z pracy maszynistą i zwolnionym zawiadowcą stacji. I jednych, i drugich można niemało znaleźć wśród bezrobotnych. O ileż spokojniej byłoby bez podróżujących generałów! I bez wojowniczych planów!...

Generał schodził po stopniach szerokich, rozległych schodów. Procesja przybrała kształt klina. Jego wierzchołek stanowił generał. Szedł powoli, z godnością.

Przy ostatnim stopniu pięknych schodów stały rzędem samochody. Na placu — szeregi takich samych jak na dworcu żołnierzy-policjantów z karabinami. Za nimi — tacy sami policjanci-żołnierze z gumowymi pałkami. Ludności jednak nie było widać. Nieliczni mieszkańcy, ściśnięci przez policję, toczyli się przy ścianach domów. Tam, zza hełmów policjantów wyglądały kobiece kapelusze i czapki mężczyzn.

Generała ulokowano w wielkim samochodzie. Razem z nim usiadł czarnowłosy mówca i jeden z ministrów. Samochód generała jechał, jako trzeci tuż za dwoma otwartymi - samochodami, pełnymi ludzi przypominających z postawy wojskowych, ale ubranych po cywilnemu.

Z prawej strony placu rozpościerała się obszerna, pusta przestrzeń. Tu, swego czasu, lotnictwo armii generała obracało w perzynę dzielnice mieszkalne przekładając ten rozległy cel nad położone koło dworca zakłady przemysłowe. I tu wreszcie ukazała się ludność! Stali ciasno, jeden koło drugiego zapełniając prawie całe pustkowie. Było tu, co najmniej dziesięć tysięcy osób.

Generał ujrzał zaciśnięte pięści wzniesione nad tłumem za plecami policjantów.

Równocześnie nad głowami ludzi pojawiło się kilka długich pasów materiału, rozpiętego na laskach. Na jednym z nich widniały wypisane wielkimi literami słowa:

„Generale! Zabieraj się do domu! Precz z wojną!”

Tłum zgodnie skandował:

— Za-bie-raj się! Precz! Do do-mu!

Czarnowłosy mówca zabawiał generała poufną rozmową. Nagle rozmowa została zakłócona. Na samochód posypały się jakieś przedmioty. Jeden z nich wpadł przez otwarte okno i rozprysnął się na zwiędłym policzku mówcy, roztaczając wokół fetor zgnitego jajka.

Generał, jak przystało na prawdziwego żołnierza, nawet nie drgnął pod obstrzałem. Mówca pośpiesznie otarł chustką twarz. Nie przestając mówić, udawał, że nic się nie stało i starał się bez powodzenia zetrzeć żółte, oślizgłe plamy z rękawa i klapy palta.



Samochody minęły niebezpieczne miejsce i znikły w oddali. Łańcuch policjantów, wykonawszy po wojskowemu „w tył zwrot” rzucił się na tłum. Uniosły się do góry ciężkie pałki, spadając gradem uderzeń na głowy i plecy ludzi. Tłum, broniąc się, zużył resztki zapasu zgniłych jajek, głabów kapuścianych i kartofli, po czym puścił w ruch laski i kamienie z ruin. Transparenty upadły na ziemię i zostały podeptane.

W dwadzieścia lub trzydzieści minut po przejeździe generała, plac i pustkowie doprowadzono do zupełnego porządku.

Stu siedmiu aresztowanych... Pięćdziesięciu trzech ciężko rannych... Siedmiu zabitych,,
Wielu lekko rannych, którym udzielono pomocy w domach prywatnych, nie zostało zarejestrowanych.

Generała oczekiwał stary, bardzo nawet stary człowiek. Zarówno życie, jak i sam wiek nauczyły go cierpliwości, dlatego też zawsze gotów był czekać, nie tracąc spokoju nawet w wyjątkowych wypadkach. Zresztą całe swoje życie spędził na oczekiwaniu.

I wreszcie doczekał się.

Posiadał zręcznie ponawiające kontakty wśród amerykańskich, angielskich i francuskich rekinów finansowych i działaczy państwowych. Dzięki temu cierpliwy starzec stał się „głową rządu”, operetkowym kanclerzem, parodią prezydenta w parodii państwa.

Czekał teraz na generała. Człowiek w szerokim czarnym surducie i pasiastych spodniach, który przemierzył truchcikiem dywan zaścielający gabinet, nachylił się nad „głową rządu”.

— Demonstracja. Transparenty z obraźliwymi napisami. Samochód został obrzucony zgniłymi jajkami!... — i wybiegł z gabinetu.

Prezydent przyjął nieprzyjemną wiadomość, nie mrugnawszy okiem. Meldunek nadszedł w porę. Zdąży teraz wykorzystać nienawiść narodu dla swoich celów... Drzwi gabinetu otwierały się już przed wchodzącym generałem.

Gospodarz ruszył na spotkanie gościa ze słowami powitania.

— Witaj, witaj generale!

Generał rzucił rękawiczki na stół i powiedział dość gburowato:

— Mam nadzieję, panie prezydencie, że nie wszystkie szczegóły mego powitania zostały przygotowane przez pana!

Prezydent udał zdziwienie.

— Banda idiotów wrzeszczała i obrzucała mój samochód jakimś paskudztwem! — wyjaśnił generał jędrnym, żołnierskim językiem. Prezydent na znak współczucia podniósł w górę starcze ręce i miękkim, przypoehlebnym głosem urzędnika nawykłego do rozmów z wpływowymi ludźmi zawołał:

— Niezmiernie żałuję, generale! Proszę mi wierzyć, niezmiernie! Z całego serca żałuję, że niezasłużenie stał się pan świadkiem, nie śmiem powiedzieć: ofiarą — swoistych rezultatów fałszywej polityki.

Rozdrażniony generał nie zrozumiał o czyjej polityce mowa.

— Nie są mi potrzebne pańskie wynurzenia, panie prezydencie — powiedział ostro — ani pańskie współczucie! Powinniście umieć działać!

Jak doświadczony fehmistrz przyjmuje pierwszy cios, odbija go, myli przeciwnika pozornym wypadem i przechodzi do ataku, tak i prezydent podchwycił słowa generała:

— Właśnie generale!.. Chcielibyśmy działać, ale wy nam nie dajecie!

Generał odczuł ukłucie i wykrzyknął:

— Jak to?

Prezydent zaczął wyjaśniać.

— Opóźnicie realizację najniezbędniejszych postanowień. Dlatego też mamy teraz istotnie dość dużo ludzi bez zajęcia. — Nigdy nie używał słowa „bezrobocie”. — A gdy ludzie nie mają zajęcia, sto ulegają obcej propagandzie i skłonni są organizować bezsensowne demonstracje. Krzyczą coś tam o pokoju i innych sprawach, wymyślonych przez komunistów.

Cios był celny. Generał raz jeszcze zapytał, ale innym już tonem:

— Jak to? — I z zainteresowaniem spojrzął na prezydenta. Starzec nie był jednak tak niedołążny, jak się to wydawało na pierwszy rzut oka. Prezydent, zauważywszy sukces pierwszej utarczki, kontynuował atak:

— Likwidacja wydatków okupacyjnych. Równoprawne uczestnictwo w wielkim pakcie atlantyckim. Udzielanie pożyczek d całkowita odbudowa przemysłu. Remilitaryzacja. Dostawy broni. Wówczas ci ludzie, którzy pozwolili sobie dziś na dzikie wybryki, staną się żołnierzami naszych sojuszniczych sztandarów. I oni właśnie poniosą te sztandary przeciwko Rosji!...

Przez dwie lub trzy sekundy prezydent patrzył na generała, maskując swój triumf.

Rozkoszował się swym „zwycięstwem”. W chwilę potem nagle przestraszył się. Może jednak powiedział za dużo? Zakrzętnął się wokół gościa z miłym uśmiechem. Schwycił ze swego olbrzymiego stołu teczkę z wytłoczonym na niej herbem i podał ją generałowi ze słowami:

— Proszę się przekonać, wszystko już mamy przygotowane!

Na karcie tytułowej było napisane: „Sztab generalny”. Generał przeglądał długie wykazy stanowisk, stopni i nazwisk. Pełno tu było znajomych nazwisk generałów i oficerów sztabowych wslawionych porażkami, odwrotami, ucieczką i kapitulacją na wszystkich frontach, a w szczególności na wschodnim. Nazwiska te miały również inne powody do sławy: wslawiły je takie piękne fakty, jak masowa zagłada spokojnej ludności, niszczenie miast, mordowanie zakładników, grabież na wielką skalę i drobne złodziejstwa...

Gdy generał zatrzasnął teczkę, prezydent wskazał jeszcze inne podobne do pierwszej.

Zajmowały one pół stołu.

— Wszystko gotowe. Sformowaliśmy korpus oficerski wszystkich sztabów i jednostek naszej armii. Sformowaliśmy korpus podoficerski i przewidzieliśmy kadry szeregowców. Pozostaje tylko podpisać — i mobilizacja armii zostanie przeprowadzona w terminie, który zadziwi cały świat. Zawsze byliśmy narodem zorganizowanym.

Generał odpowiedział:

— Tak. Możemy zacząć!...

Prezydent, który w młodości polubił pewne zwyczaje pedantycznych pruskich urzędów, nie uznawał dzwonek elektrycznych. Potrząsnął srebrnym dzwoneczkiem i rozkazał sekretarzowi:

— Prosić!

Otworzyły się oba skrzydła drzwi. W grupie ministrów, przemysłowców i członków parlamentu pojawił się znów czarnowłosy mówca.

Po wzajemnej prezentacji, wszystkich obecnych zaproszono na śniadanie wydane na cześć gościa. Obok generała posadzono człowieka, który widocznie nie potrzebował mu się przedstawiać. Uścisnęli sobie nawzajem dłonie, jak starzy, dobrzy znajomi:

— Jestem rad, że cię widzę, panie profesorze. Jak się masz? — żartobliwie, półgłosem spytał generał.

— Świetnie! A jak twoje sprawy, panie generale? — odpowiedź utrzymana była w tym samym ciepłym tonie.

— Pierwszorzędnie! Chciałbym cię jak najszybciej odwiedzić. Czy wiesz o tym, że bardzo się interesują twymi pracami?

— Bardzo się cieszę z zapowiedzianej wizyty. Będę z niecierpliwością jej oczekiwać. Kiedy?

— Powiedzmy... jutro rano. Jak myślisz?

— Czekam!

II. DOM ESKULAPA

Następnego dnia, tuż po godzinie dziesiątej rano, samochód generała zatrzymał się przed

ogromną bramą, wtłoczoną w wysoki, ceglany mur.

Na francie bramy widniał biały, marmurowy posąg Eskulapa, syna Apolla. Pod posągiem, wzdłuż całego frontonu biegły wypukłe, połączane litery napisu: „Mens sana in corpore sano”, czyli „W zdrowym ciele — zdrowy duch“.

Emblematy i symbole świadczyły, że fabryka znajdująca się za wysokim murem ma na celu jedynie humanitarną troskę o zdrowie ludzi.

Uzbrojeni dozorczy otworzyli bramę i samochód wjechał na dziedziniec wielkiej fabryki farmaceutycznej.

Profesor Jeremiasz A. Berteridge przywitał generała na podwórzu. Generał, wybierając się tu, nie włożył munduru, lecz cywilne ubranie. Wizyta nie miała oficjalnego charakteru.

Generał, minąwszy bramę, poczuł się prawie jak we własnym domu. Zakłady farmaceutyczne wchodziły w skład przedsiębiorstw skonfiskowanych przez armię amerykańską, a generała z dawien dawna łączyły z Berteridge' m więzy przyjaźni.

Specjalnością naukową Berteridge'a była entomologia. Jako syn bardzo bogatych rodziców nie potrzebował troszczyć się o zarobek, niemniej jednak zgodził się na objęcie w rodzinnym stanie kierownictwa laboratoriami powołanego do walki ze szkodnikami rolnictwa — ta gałąź gospodarki miała na jego terenie znaczenie podstawowe.

Jednakże Berteridge nie zdobył swych tytułów naukowych i autorytetu pracami o sposobach niszczenia szkodników rolnych, ale szczegółowymi i niezwykle głęboko sięgającymi badaniami rudych i czarnych karaluchów. Interesowały go problemy rozwoju i zwiększenia zdolności lotnych tych „ciekawych” owadów.

Berteridge zajmował się zresztą nie tylko domowymi owadami z rodziny tęgopokrywych.

Pewnego dnia z jego laboratorium wyleciały muchy nieznanego gatunku, które sprawiły niemało kłopotów okolicznym ludziom i zwierzętom. Innym razem wiele strat na sąsiednich polach wyrządziła wydostająca się skądś chmara robaków. Rozwścieczeni farmerzy podnieśli krzyk, że ściągane z nich podatki zostają wydatkowane „diabli wiedzą, na co” i chętnie zlinczowałiby ciekawskiego uczonego...

Ale, na szczęście, robaki podobnie, jak i muchy okazały się utworzeniami niezbyt żywotnymi, a towarzystwa ubezpieczeniowe pokryły straty tym, którzy przedłożyli polisy.

— No, i co słyhać w Stanach? — powitał Berteridge generała. Uczony nie oczekiwał zresztą odpowiedzi na to konwencjonalne pytanie. Od razu przeszedł do sedna sprawy:

— Od czego zaczniemy? Co?

Generał niespokojnie wciągnął powietrze szerokimi nozdrzami swego haczykowatego nosa.

Na podwórzu fabryki panował wstrętny, słodkawy zapach zgnilizny.

— Co tu tak śmierdzi, Jerry? — spytał.

Berteridge, dorównujący generałowi wzrostem, posiadał dużą, okrągłą twarz o szyszkwatym nosie. Głośno, starannie wytarł nos i również wciągnął powietrze. Na jego twarzy pojawił się wyraz przestachu. Patrząc na przyjaciela, odpowiedział:

— Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Jak sądzisz? A może czujesz zapach dymu?

Mam stałe halucynacje powonienia!

— Nie! Dymu nie czuję — uspokoił go generał. — Po prostu śmierdzi jakimś świństwem.

— To głupstwo! — zawołał Berteridge — Nie zwracaj na to uwagi. Przestraszyłem się, czy się czasami nie pali? Na skutek używania w czasie doświadczeń pewnych odczynników, nabawiłem się chronicznego kataru. Co robić? — Trzeba poświęcać się dla nauki. A pożaru to się boję! Ale teraz czujesz po prostu zapach produkcji. Chodźmy, zaczniemy od samego początku — od kuchni. Postaram się, byś się nie nudził!

Generał i uczony skierowali się w głąb podwórza w stronę trzypiętrowej hali fabrycznej. W zakładach farmaceutycznych oddziały te noszą nazwę ekstrakcyjnych.

Berteridge' m, który wyrzucił z gmachów przedsiębiorstwo produkujące środki lecznicze, kierowały nie tylko dyrektwy amerykańskich firm, pragnących zniszczyć konkurenta. I

bynajmniej nie wysoki mirr, świetnie izolujący teren starej fabryki, skusił uczonego. Oddział ekstrakcyjny — oto „prawdziwy cukierek”, jak go profesor ocenił na pierwszy rzut oka! Berteridge, stojąc w olbrzymiej sali drugiego piętra, chełpił się przed generałem:

— Spójrz, co tu posiadam! U nas nie otrzymałbym nic podobnego!...

Rzeczywiście, było na co popatrzeć. Z prawej i lewej strony wznosiły się olbrzymie aparaty próżniowe. Były to wielkie kotły, opancerzane grubą warstwą pomalowanej na biało masy izolacyjnej. Masa ta miała za zadanie utrzymanie stałej temperatury, koniecznej dla sprawnego przebiegu procesu ekstrakcji, czyli wydobywania z roślin substancji leczniczych. Tu, na drugim piętrze, aparaty próżniowe były w jednej trzeciej swej wysokości zagłębione w podłogę, opuszczając na pierwsze piętro swoje okrągłe brzuchy.

Uczony zaproponował generałowi, by zajrzał do jednego z aparatów. Nad otworem zapłonęła żarówka, rzucając promień światła do wnętrza kotła. Generał ujrzał pęczniejącą, pokrywającą się dużymi pęcherzami, masę brunatnego koloru.

— Po gotowaniu w próżni — wyjaśnił Berteridge — zawartość idzie na prasy i do dalszej przeróbki

— Co tu gotujesz? — spytał generał szeptem, nie chcąc by go usłyszał operator przy kotłach. Jednak Berteridge nie krępował się tu nikogo. Kroczył pomiędzy wielkimi aparatami i wskazywał na nie długim palcem, pokrytym plamami od kwasów i odczynników chemicznych.

— Tu są źdźbła pszenicy! — mówił — Tam — kukurydza, dalej — żyto!

Berteridge stanął, schwycił generała za guzik marynarki i ciągnął dalej:

— Owies, jęczmień, buraki wraz z liśćmi i nać kartoflana, źdźbła prosa, gryka...

Berteridge wyliczał rośliny uprawne i wiele roślin dzikich, oszalałając generała niekończącym się wykazem nazw. Na szczęście dla gościa nagie przetrwał sam sobie:

— Czekaj! Popatrz! — zawołał — Zaraz będą opróżniać ten aparat.

Operator, po zakończeniu cyklu przeróbki roślin, zaczął obracać koła sterownicze, tkwiące na długich trzonach w różnych miejscach kotła. Ze świstem wdarło się powietrze, wypełniając próżnię w kotle. Potem aparat uniósł się do góry, otworzył się i obrócił. Gorąca, parująca masa zaczęła się wylewać do wagonetki, która odwiezie ją do dalszej przeróbki w oddziale pras. Aparat wrócił na dawne miejsce i do jego otwartej paszczy zwała się z rury, która wysunęła się z sufitu, nowa porcja roślin.

— Ot, jak pracujemy! Prawda, że dobrze? Gałą dobę, bez chwili przerwy! — mówił Berteridge prowadząc generała na trzecie piętro. Tam znaleźli się w jakimś dziwnym składzie. Wysoko, pod sam dach wznosiły się wielkie sterty różnych roślin i mocno wypchane brezentowe worki. Pozostawiono tylko labirynty wąskich przejść dla ludzi i wózków. Powietrze było przepojone zapachem suchych traw i liści. Wywoływało to wrażenie dobrobytu, ciepłej jesieni, zbioru urodzaju...

— Wilgoć powoduje fermentację i cenne rośliny zaczynają się wówczas psuć. Wszystko musi być utrzymane w stanie suchym — powiedział Berteridge. — Dlatego właśnie tak obawiam się pożaru!

Profesor wprowadził generała do pokoju kierownika oddziału. Było to oszklone, czyściutkie, przytulne i dość przestronne zarazem pomieszczenie. Z chwilą pojawienia się gospodarza z gościem, wyszedł stamtąd człowiek w białym kombinezonie. Ukłonił się i znikł między stertami roślin, pozostawiając przybyłych samych.

— To jest moje ulubione miejsce wypoczynku! — rzekł Berteridge, pozostawiając drzwi otwarte. — Pomimo wstrętnego kataru, czuję tu przyjemny zapach traw. Pamiętasz, Vick, nasze wycieczki za dawnych czasów? Co? Jak wspaniale pachniały wtedy lasy, pola i łąki... Berteridge, nie przestawając gadać i śmiać się, wy dostał z białej apteczki butelkę whisky, niewielkie talerzyki, kilka cytryn i miseczkę z pieczonymi migdałami. Ze stojącej w rogu elektrycznej chłodni wyjął dwie szklanki z kawałkami lodu. Rozstawał wszystko na szklanym

blacie stołu, nalał whisky, uniósł swoją szklankę i zawołał:

— Za naszą młodość! .

Przyjaciele siedzieli w lekkich, plecionych fotelach. Berteridge znów podniósł szklankę do ust. Mocny napój wprowadził go widocznie od razu w dobry nastrój. Serdecznie, po przyjacielsku, zaczął mówić:

— Słuchaj, Vick! Radzę ci szczerze, jak stary przyjaciel: spędź u mnie dzisiaj cały dzień!

Wiem, masz sprawy najwyższej państwowej wagi i tak dalej... Ale pluń na to wszystko chociaż na jeden dzień! Twoi doradcy świetnie sprawią się ze starą mumią — prezydentem i jego bandą.

Bystrzejszy i bardziej pojętny Berteridge zawsze — w dzieciństwie, w latach młodości i później — miał duży wpływ na swego przyjaciela. A równocześnie przyjemny, aromat suchych traw i liści rozmarzył odpoczywającego generała. I „staruszek Vick“ skinął twierdząco głową w odpowiedzi na zaproszenie „staruszka Jerry“.

— Zgadzam się, Jerry! Ale chyba pokażesz mi coś ciekawszego od swej trawiastej kuchni? I dokładnie mi wszystko wytłumacz. Naturalnie wiem, o co chodzi, ale muszę się przyznać, że tylko z grubsza. Zlecono mi zainteresować się twoją pracą. Przecież ty razem z tą całą fabryką kosztujecie niemało! Prawda, że to wszystko idzie na rachunek wydatków okupacyjnych, ale jednak... No więc, słucham!

— Nie jesteś, Vick, studentem, a ja nie jestem twoim profesorem. Nie mam potrzeby ciebie uczyć. Zresztą, nie potrzebujesz tego. Potem sam wyciągniesz wnioski. Teraz opowiem ci tylko o mojej idei!

Berteridge zjadł jeden migdał, oparł się o stół i zaczął mówić:

— Charakterystyczną cechą każdego żywego stworzenia jest siła, pragnienie żyda, możliwość przystosowania się do warunków zewnętrznych — iw wyniku tego wszystkiego: zdolność do szybkiego rozwoju i rozmnażania się. Skąd się to wszystko bierze? Z pokarmu! Trzeba więc umieć dostarczyć stworzeniu takiego pożywienia, które da mu siłę i pozwoli na rozwinięcie w daleko wyższym stopniu pozostałych właściwości. Wówczas stworzenie stanie się zdolne do wielu rzeczy. Czy mnie rozumiesz?

— Tak — odpowiedział generał.

— A więc właśnie, dlatego przerabiam tu codziennie prawie dwieście ton roślin siedemdziesięciu dwóch gatunków i w wyniku rozkładu i destylacji otrzymuję prawie trzynaście funtów eliksiru życia! Olbrzymia ilość! I pomyśleć tylko, że tutaj właśnie przez prawie sto lat zajmowano się idiotycznymi, marnymi lekarstwami, by podtrzymywać przy życiu chuderlawe pokraki!

Pod wpływem wypitej whisky generał był w doskonałym humorze.

Odpowiedział:

— Naturalnie — jeżeli położyć te twoje trzynaście funtów na wadze — to będzie prawie nic. Ale jeżeli jest to naprawdę eliksir życia, to podaruj mi go choć troszeczkę.

Berteridge skrzywił się:

— Vick, nie żartuj! Powiedz, czy jasno wyraziłem swoje myśli? Wówczas pójdziemy dalej!

— Zrozumiałem wszystko. Ale jeżeli chodzi o podarunek, to wcale nie żartuję! — poważnie powiedział generał.

— W takim razie zrozum pierwszy wniosek. Jest on jednocześnie ostatnim. Elixir ten dla ludzi się nie nadaje! Potrzebny jest on, dla kogo innego. Lecz dla nas i dla naszych przyjaciół — jest to eliksir władzy!

— Władzy! — zawołał generał.

— Tak, władzy!... A teraz chodźmy. Jesteś dostatecznie przygotowany.



Do budynku oddziału ekstrakcyjnego przylegały dwa długie bloki, tworzące jakby jego skrzydła.

— Pójdziemy teraz do oddziału selekcyjnego, Vick! — zaprosił generała Berteridge skracając w prawo. Na dziedzińcu znów owionął generała ciężki, nieprzyjemny zapach. Berteridge ujmował już klamkę ciężkich drzwi wiodących do prawego skrzydła, gdy nagle zatrzymał się: — Stój! Zupełnie zapomniałem! Pójdziemy się przebrać!

Wrócili do specjalnego pomieszczenia na pierwszym piętrze oddziału ekstrakcyjnego.

Berteridge podał gościowi komplet odzieży wraz z bielizną i obuwiem. Przebijając się pośpiesznie, tłumaczył:

— Tam jest jeszcze silniejszy zapach. Wszyscy musimy się tu przebierać, bo zapach przenika odzież. Nie można się go później pozbyć...

Gdy weszli do bloku selekcyjnego uderzył ich tak silny fetor zgnilizny, że generał aż się zatoczył. Berteridge chwycił go pod rękę i powiedział uspokajająco:

— Nie bój się, Vick! To tylko w pierwszej chwili, jak wchodzisz ze świeżego powietrza. Zaraz przejdzie. Spójrz! Wyrzuciłem stąd wszystkie farmaceutyczne głupstwa i przerobiłem całą halę.

Generał opanował wstręt i z zainteresowaniem rozglądał się po obszernej hali. Na podłodze, pokrytej białymi fajansowymi płytkami, stało wiele rzędów długich, masywnych stołów. Nie miały więcej jak pół metra wysokości. Na stołach były umieszczone skrzynki z grubych płyt szklanych, połączonych aluminiowymi żeberkami. Wzdłuż stołów ciągnęły się podesty, na których stali pracownicy, nachyleni nad skrzynkami przypominającymi terraria; zanurzali w nie ręce i wydobywali zawartość.

Wszyscy byli tu ubrani tak jak generał i Berteridge — mieli na sobie kombinezony z gęstej tkaniny kremowego koloru, płócienne buty na gumowej podeszwie i czapki-pilotki na głowach. Ponadto pracownicy oddziału selekcyjnego mieli jeszcze na rękach długie, grube rękawice o mankietach zachodzących wysoko na rękawy.

Przez grube szkło bocznej ściany najbliższej skrzyni generał dojrzał zieloną masę drobno pociętych traw i witek. Były to niedawno skoszone, świeże jeszcze rośliny. Zielona masa jak gdyby się poruszała. Słysząc było słaby chrzęst.

Berteridge wszedł na podest przy jednym ze stołów i pociągnął za sobą generała:

— Chodź tu, Vick! Stąd, z góry, lepiej widać!

Generał nachylił swą wysoką postać nad skrzynią. Teraz odróżniał "już wyraźnie grube i długie owady zielono- liliowego koloru. Było ich wiele i wszystkie znajdowały się w nieustannym ruchu. Ze skrzyni dochodził wyraźnie ów chrzęst. Owady silnymi szczękami chrupały liście i gałązki. Mieszkańcy szklanej skrzyni pochłaniali je śpiesznie, bez przerwy, jakby opanowani nienasyconą żądzą.

— Poczekaj Jerry! — zawołał generał z radością w głosie. Przecież to szarańcza! A więc to tak wygląda!

— Przyjemne stworzonka! — zgodził się Berteridge. Ale ton jego głosu nie wykazywał bynajmniej zadowolenia z zachwytych wysokopostawionego gościa i przyjaciela.

Owady były w ciągłym ruchu i nie przestawały poruszać szczękami.

Generał nagle zawołał:

— Ho — ho! Przecież one się nawzajem pożerają!

— No co, Vick? Ciekawe? — spytał Berteridge. — Wydaje mi się czasami, że to jest obraz naszego życia: - Jak na giełdzie — kiedy w krytycznym momencie wszyscy rzucają się na siebie i bodą jak byki. Wprawdzie tam na oczach wszystkich nikt nikogo nie pożera, ale — na jedno wychodzi!

— Wyobraź sobie, że ja również pomyślałem o tym... Dodałbym tylko, że twoje zuchy mają ponadto instynkty dobrych żołnierzy. Chyba się z tym zgodzisz — Jerry? — odpowiedział

generał, zachwycony taką zbieżnością myśli.

Berteridge wziął pod rękę generała, podnieconego widokiem tej wstrętnej bitwy.

— Chodźmy — powiedział uczony — nie ma już na co patrzeć. Teraz będzie się wciąż powtarzało to samo. Zwycięzcom dadzą trochę odpocząć, a potem z kolei zwycięzcy będą walczyć ze sobą. Spośród pięćdziesięciu tysięcy owadów zaledwie pięćdziesiąt sztuk, wybranych przy pomocy tego niezawodnego sposobu, idzie każdego dnia do inkubatorów. Dopiero one zdolne są dać dobre potomstwo. Chodźmy, Vick, odpocznijmy trochę. Przecież jeszcze nie skończyliśmy... Mam nadzieję, że się nie nudzisz? To chyba lepsze od towarzystwa tej starej mumii — prezydenta?

— Tak, Jerry! Muszę ci przyznać, że wszystko jest tu u ciebie diabelnie interesujące! Ale odpocząć, istotnie, trzeba! — odpowiedział generał.

III. ENTOMOLOG W ROLI BOGA

Tusz, jak wszystko, czym rozporządzał Berteridge, urządzony był według najnowszych wymogów techniki. Generał chrząkał i podskakiwał wśród strug wodnych, bijących ze wszystkich stron. Woda, jak ręce doświadczonego masażysty, masowała jego ciało. Poddając się jej strumieniom generał przeżywał jeszcze ostanie wrażenia.

Wyszedł z mokrych objęć tuszu świeży i odmłodzony.

— A jednak, Jerry, jestem przekonany, że pokażesz mi jeszcze coś interesującego — zawołał wesoło w stronę swego przyjaciela, wychodzącego równocześnie z nim z sąsiedniej kabiny.

— Oczywiście, oczywiście — odpowiedział Berteridge. — Przecież pozostał nam jeszcze cały inkubator.

Na inkubator przeznaczone było lewe skrzydło byłej fabryki farmaceutycznej.

Praca tu była o wiele przyjemniejsza niż w oddziale selekcyjnym — zgnięty zapach był znacznie słabszy. Generał i Berteridge pojechali windą na najwyższe piętro.

Berteridge wprowadził generała do pokoi nazywanych „kamerami odpoczynku”.

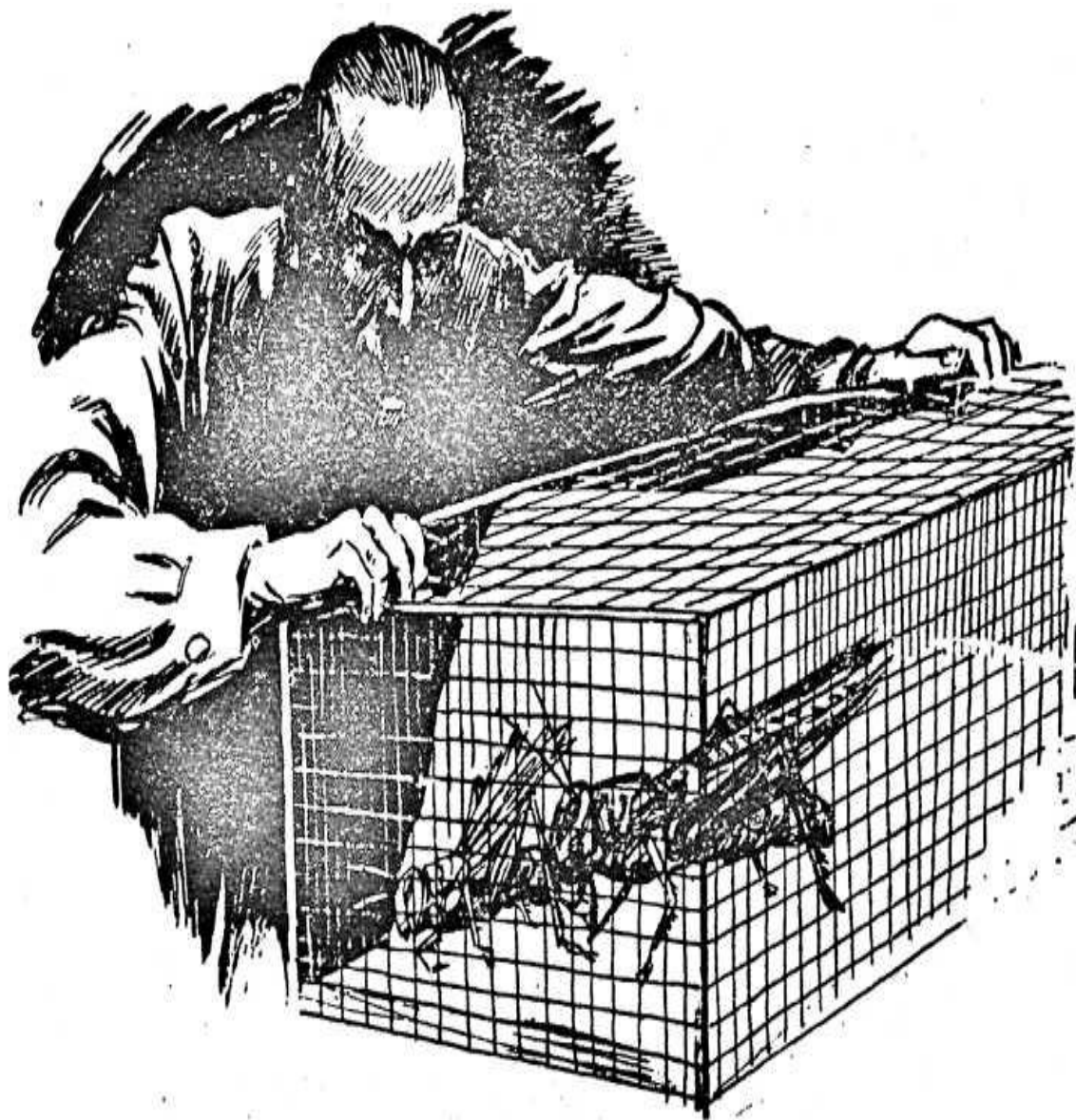
— Rozumiesz, Vick — wszystkie moje owady, które w oddziale selekcyjnym zdołały przejść przez wszystkie piętra i wygrały ostateczne walki, muszą odpocząć i doprowadzić się do porządku przed tym nim staną do wykonania swego ostatecznego, wielkiego zadania — przedłużania gatunku. Prócz tego dokarmiam je tu dodatkowo swym ekstraktem. To jest właśnie pomieszczenie dla samców.

— A propos twego ekstraktu, Jerry. Wyjaśnij mi dokładniej, na czym ta cała rzecz polega? — spytał generał.

— Poddaję ekstrakcji siedemdziesiąt dwie rośliny — uczony zaczął szczegółowy wykład. — Krótko mówiąc — prawie wszystkie rośliny uprawne, część drzew owocowych i szereg roślin dzikich. Trzeba ci wiedzieć, że długo pracowałem nad tym ekstraktem. Droga, jaką do niego doszedłem, składa się z tysięcy etapów, a ogrom mej pracy dałby mi dostęp do katedr uczelni całego świata. Ale sam chyba dobrze rozumiesz — na razie muszę jeszcze ukrywać swe sukcesy...

— Oczywiście — potwierdził generał.

— W końcu — mówił dalej Berteridge — uzyskałem potrzebny mi produkt. Produkt ten poważnie wpływa na zwiększenie wzrostu mojej szarańczy i sprzyja jej szybszemu dojrzewaniu. Jakiś uczony materialista — zaznajomiwszy się z moimi pracami,



prawdopodobnie zadowoliliby się tym ograniczonym wynikiem. Ale ja walczyłem o znacznie ważniejszą sprawę. Ekstrakt Berteridge'a zmienia instynkty moich owadów... Jak ci się to podoba? Ekstrakt wywołuje u szarańczy Berteridge'a niezaspokojoną żądzą pożerania. A ponieważ ekstrakt mój składa się z olbrzymiej ilości roślin, to żądza ta i towarzyszące jej pragnienie niszczenia rozciągają się na całą bez wyjątku florę. Ale przecież żadna z roślin nie zawiera wszystkich składników ekstraktu. Dlatego też moja szarańcza skazana jest na bezustanne, wściekłe poszukiwanie przedmiotu swej żądzy. Niezależnie od tego, co będzie pożerała stale będzie ją męczył niezaspokojony głód. Widziałeś przecież w oddziale selekcyjnym, że moja szarańcza nawet na sekundę nie pozostaje bezruchu. Zaspokoiwszy głód — nadal siecze swymi szczękami wszystko, na co natrafi. A w paszy, którą jej daję rozpylone są drobiny mego ekstraktu — to właśnie wywołuje u szarańczy ten niezaspokojony głód i zmusza ją do stałej pogoni za nowym pokarmem. Wciąż jednak jest go za mało. I to z kolei zmusza ją do pożerania wszystkich rodzajów roślin. Czy jasno tłumaczę swe myśli, Vick?

— Zupełnie jasno — oświadczył generał. — Zawsze umiałeś się ściśle wyrażać, Jerry.

— Nie znudziłem cię?

— Ależ nie — zapewnił generał swego przyjaciela.

— A więc pozwól, że będę kontynuował... Powinieneś wiedzieć, że moje owady nigdy prawie nie odczuwają zmęczenia. Ich organy ruchu mają swoistą budowę. Dlatego też ich zdolność do stałego, intensywnego wysiłku jest równie olbrzymia jak ich siła. W ogóle, jeśli już o tym mówimy, to muszę zaznaczyć, że owady są znacznie wytrzymalsze od kręgowców i zwierząt ciepłokrwistych. Gdybyśmy, na przykład — my dwaj — wzięli noże i zaczęli ciąć nimi trawę i gałązki przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, to mimo wszystko nie zdołalibyśmy dorównać pracy, jaką wykona sześć sztuk moich zuchów — zakończył uczony.

— Mówisz, że poruszają się bez przerwy, Jertry. Istotnie, tak było poprzednio — powiedział generał. — Ale tu te twoje stworzenia zachowują się dość spokojnie. Powiedz, dlaczego?

— Dlatego, że tu po raz pierwszy w swym życiu otrzymują do syta mego ekstraktu — odpowiedział Berteridge. — Pomaga im to w całkowitym oddaniu się sprawie przedłużania gatunku. Pójdziemy do następnej kamery, Vick — zaprosił uczony.

W sąsiednim pokoju, w takich samych klatkach również siedziały owady. Ale karmy na gładkich podłogach klatek prawie nie było, a same owady były, co najmniej dwukrotnie większe od olbrzymich samców.

— Przecież to są słonie! — wykrzyknął generał. Był wstrząśnięty i zachwycony. Olbrzymie osobniki szarańczy Berteridge'a wyglądały już nie jak owady, lecz jak jakieś fantastyczne twory.

Ale niewątpliwa szczerota pochwały przyjaciela nie wiadomo dlaczego dotknęła

Berteridge'a. Zachmurzył się tak, aż mu się zmarszczył jego szyszkowaty nos i odpowiedział:

— Nie słonie, a po prostu samice, które osiągnęły pełną dojrzałość. Są one większe od samców — jak zwykle u owadów.

Generał spojrział na swego niezadowolonego przyjaciela, a Berteridge skierował wzrok na robotnika w kremowym kostiumie, który kręcił się w pobliżu i właśnie wkładał do klatki przyniesioną przed chwilą samicę.

— Szybko tam skończycie? — krzyknął niecierpliwie uczony do robotnika. Ten postawił Iciatkę na miejsce i obejrzał się na przełożonego.

— Proszę was, wyjdźcie, zamknijcie drzwi i poczekajcie na korytarzu — rozkazał Berteridge.

— I niech na razie nikt tu nie wchodzi.

Gdy za robotnikiem zamknęły się drzwi, Berteridge zwrócił się do swego przyjaciela:

— Vick! Ty, mam nadzieję, nie myślisz chyba, że my się tu przechadzamy po jakiejś głupiej wystawie rolniczej?

— Oczywiście, że nie. Znam przecież cel twojej pracy! — oświadczył generał, zaskoczony wybuchem swego przyjaciela. — Nie przyjechałem tu do ciebie dla rozrywki. Co za mucha cię ukąsiła? Czyż nie jestem twoim przyjacielem?

— Tym lepiej, Vick, tym lepiej — powiedział surowo Berteridge. — Ale jednak muszę cię poprosić — właśnie jako swego starego, wiernego przyjaciela, żebyś pamiętał, że znajdujesz się w świątyni nauki. Jako twój przyjaciel w najmniejszym stopniu nie poczułem się dotknięty twym żartem. Wiem, że nigdy nie zechciałbyś mnie obrazić. Siedzę tu już trzy lata, nie ruszając się ani na krok. Trzy lata żyję tu, jem, piję i śpię, nie wychodząc prawie za bramę fabryki. Wczoraj po raz pierwszy w ciągu czterech tygodni wybrałem się do miasta, po to tylko, by ciebie powitać. Pamiętasz, powiedziałeś mi wczoraj, że masz obowiązek zainteresować się moją pracą? A dziś powiedziałeś mi, że wart jestem niezłej sumki. Czy myślisz, że nie zrozumiałem tego? Nie, mój drogi. Dobrze wiem, skąd wiatr wieje...

Berteridge pociągnął generała ku oknu. Usiedli obaj na szerokim parapecie. Uczony mówił dalej:

— Powiedziałeś — słonie. A to nie są słonie, to pigmeje. Tak! Przez wiele lat kręczę

kołowrotem żyda. W domu, w Stanach, wykonywałem drobne prace. Ale równocześnie derpliwie hodowałem protoplastów tych stworzeń, które tu widzisz. Co prawda nie mogłem wtedy rozwinąć tej pracy. Ale swoją szarańczę pielęgnowałem jak matka dziecko.

— Zaczynałem od najzwyczajszej szarańczy azjatyckiej — ciągnął uczony. — Ta fabryka umożliwiła mi rozpoczęcie pracy na rzeczywiście szeroką skalę. Zwiększyłem już wagę mojej szarańczy dziesięciokrotnie, jej zdolność do pożerania powiedzmy — tysiąc razy, a zdolność do rozmnażania się — pięćdziesięciokrotnie. Vick, czy rozumiesz, co to znaczy?

Generał, czując, że Berteridge nie oczekuje odpowiedzi, nie rzekł ani słowa. Poprzez szpary okna dolatywał ciężki fetor z sortowni. W Matkach siedziały, jakby odlane z zaśniedziałego brązu, wybrane samiczki. Berteridge ciągnął dalej swoją spowiedź:

— Oznacza to, że żywotność szarańczy Berteridge'a i wszystkie jej, utajone dotąd, wspaniałe zdolności zostały odkryte i powiększone pięćset tysięcy razy... Tak, potrafiłem stworzyć nowy gatunek. Ale czy na tym koniec? Nie.

Mogę doprowadzić szarańczę Benteridge'a do rozmiarów kota, psa... Niech to wszyscy diabli! Szarańcza Berteridge'a będzie zdolna do przegryzania drzew!

Oczy profesora płonęły. Wstał z krzesła i mówił dalej tubalnym głosem:

— Osiągnąłem już to, że jajeczka mojej szarańczy wytrzymują największy mróz, a larwy rozwijają się również na wiosnę, nie obawiając się przymrozków. Ale chcę dojść do tego, aby larwy rozwijały się na śniegu. Zimą, jak mi Bóg miły! Dojdę i do tego, że będą się one odżywiać igłami jodły i sosny, których te kanalie nie chcą jeszcze dotychczas żreć. A co myślą nasze tępaki? Jak ci się podobają ich zarozumiałe gęby? W końcu marca czy też na początku kwietnia — w każdym bądź razie jakiś miesiąc temu — złożyła mi wizytę pewna: parka: gruba świnia senator Donnaly i chudy kombinator Halles. Wpadli w cielęcy zachwyt i powiedzieli: „Wszystko w porządku — osiągnął pan swój cel, szanowny profesorze”. Ale w ich idiotycznych mózgownicach utkwiło: „Dosyć. Na tym można poprzestać”. Sam też jestem winien! — wrzasnął Berteridge i wałnął się pięścią po głowie. — Zbytньо się przechwalałem. Sam się wygadałem, że mam czterysta pięćdziesiąt milionów jajeczek, gotowych w każdej chwili do użytku...

Generał poruszony zdenerwowaniem uczonego, z trudem zdołał go uspokoić. Berteridge, odzyskawszy równowagę ducha, zaczął prosić generała.:

— Vick, kochany przyjacielu, musisz mi obiecać, że natychmiast po powrocie do Stanów osobiście wyjaśnisz wszystko prezydentowi. On musi stanąć po mojej stronie. Przecież nie na darmo pchaliśmy go przez tyle dat do góry. Mojej rodzinie zawdzięcza on bardzo dużo. Czy obiecujesz, że umożliwisz mi dalsze doskonalenie mego dzieła?

Generał podzielał myśli przyjaciela. Uczciwie i szczerze, głosem, któremu można było wierzyć, odpowiedział:

— Tak, Jerry. Przysięgam ci. Możesz spać spokojnie. Zrobię dla ciebie wszystko; Już obecnie setka czy dwie twojej szarańczy nie jest gorsza od ciężkiego czołgu. Będziesz kontynuował swoją pracę...

IV. PO RAZ PIĘTNASTY

Weszli do pracowni uczonego, która znajdowała się na pierwszym piętrze oddziału inkubacyjnego. Gabinet profesora przypominał bibliotekę, ściany były zastawione pełnymi książek szafami.

Berteridge pokazał generałowi zielone pudełko. Zostało ono wykonane z nieprzezroczystego celuloиду. Wieczko było oklejone taśmą z tkaniny przesyconej jakimś preparatem.

— Nie warto się trudzić i otwierać — powiedział Berteridge. — Jest w nim dwa tysiące jajek. Znajdują się one w tak zwanych osłonkach, jak u zwykłej szarańczy. Różnica polega tylko na

tym, że moja szarańcza umie wykonywać dla swego potomstwa bardzo silne i duże osłonki. Licząc się z tym, że nie przewidzę wszystkiego, wyrój owadów dojść mogą do 50%, możemy jednak przyjąć, że za dziesięć dni pięćset par szarańczy zacznie się zajmować płodzeniem i składaniem jajek. Co dalej? Policzymy. Moja szarańcza wylęga się w dobę po złożeniu jajek. A więc w ciągu dwudziestu jeden dni, licząc od pierwszego wylęgu, pięćset pary przy uwzględnieniu tego samego procentu strat, przekształci się w dwadzieścia pięć tysięcy par. Nie będę cię nużył dalszymi obliczeniami — mówił to z naciskiem — podam ci tylko jeszcze jedną liczbę: licząc po trzy metry kwadratowe ziemi zniszczonej przez jednego owada w ciągu doby — potomstwo jednego pudełka może codziennie w okresie miesiąca zniszczyć piętnaście kilometrów kwadratowych pól, lasów, stepów i łąk. A po dwóch miesiącach — czterdzieści siedem tysięcy kilometrów kwadratowych Ziemi będzie z dnia na dzień zamieniało się w pustynię.

— Tak, Jerry — stwierdził poważnie generał, — Twoja szarańcza ani na jotę nie jest gorsza, od napalmu...

— Przyznaj mi, Vick! — przerwał Berteridge — Co tam napalm!... A czy moja szarańcza nie jest lepsza od waszych bomb atomowych? Nie zapominaj, że moje obliczenia dotyczą jednego tylko pudełka. A takich pudełek mogę wypuszczać tysiące.

— Nie zapominam o tym, Jerry! Ale do rzeczy — rzekł generał d wykazując, że nie na próżno stracił czas na oglądanie fabryki, zapytał:

— A jak one sobie poradzą na wolności bez twego eliksiru?

Uczony był przygotowany na to pytanie:

— Prowadzę obserwacje nad kontrolnymi okazami mej szarańczy. Zdobyte dzięki mojemu eliksirowi cenne właściwości zachowywane są jeszcze przez wiele pokoleń. Co prawda, progresywny rozwój szarańczy, po pozbawieniu jej eliksiru, zostaje natychmiast zahamowany. W warunkach naturalnych, przystosowując się do bardziej surowego życia, pójdzie ona po tej samej drodze, co każde zwierzę hodowlane, pozbawione pomocy człowieka. Niemniej ten regresywny proces będzie trwał przez wiele pokoleń. Przez ten czas szarańcza Berteridge'a zdoła dokonać swego!

— To jest oczywiste... — przeciął generał. Widać było, że opanowała go już jakaś nowa myśl.

— Zwróć uwagę na to — mówił dalej Berteridge — że pudełka są z celuloidu. Postawiono mi takie żądanie, by łatwiej było je zniszczyć od razu po wykorzystaniu. To już nie moja rzecz. Ale mnie się ten, celuloid nie podoba. Zbyt łatwo się poddaje. To już jest ich sprawa. Skończyłem. Opowiedziałem ci wszystko. Wiesz wszystko.

Generał w roztargnieniu kiwnął głową. Berteridge spojrzał na zegarek. Była szósta wieczór. Profesor podniósł się z fotela, ale generał wyciągnął rękę, jakby prosząc o chwilę uwagi.

— Czas na obiad, Vick! — powiedział uczony. — Chciałbym jeszcze tylko, żebyś porozmawiał z jednym człowiekiem, i będziemy wolni

Generał odmownie pokręcił głową. Twarz jego stawała się coraz bardziej ponura.

— Jerry! — powiedział. — Przeżuwam teraz i układam w głowie wszystko, co mi tu dziś powiedziałeś. Powiem ci szczerze — duży to ciężar! Znacznie poważniejszy niż myślałem... A przecież bądź co bądź jestem wojskowym i ten bagaż nauki jest dla mnie nieco przyciężki. Poczekaj trochę — niezbyt mi się jeszcze chce jeść... Chociaż nie wymówiłbym się od kielicha lekkiego wina i dwóch, — trzech biszkoptów. Ja... — ciągnął dalej generał, ale przerwał, bo na dzwonek Berteridge'a do gabinetu weszła, bardzo piękna kobieta. Generał wstał, uklonił się i, podczas gdy Berteridge wydawał dyspozycje, nie spuszczał z niej oczu. Odprowadził ją wzrokiem, gdy wychodziła.

— Kto to jest? — spytał.

— Moja sekretarka. Nie widziałeś jej? Przechodziliśmy poprzednio obok niej i ukloniła ci się wtedy.

— Tak? Wiesz, gdy mam głowę zaprzątniętą, czym innym, machinalnie odpowiadam na ukłony...

Przyjaciele siedzieli w milczeniu, dopóki nie podano lekkiego posiłku. Generał wychylił od razu dwa kielichy musującego napoju.

— Tak, więc — rozpoczął, stawiając pusty kieliszek na srebrną tacę — mam jeszcze jedno pytanie: jak zachowa się twoja szarańcza, gdy ją wypuścisz na świat i co może z tego w końcu wyniknąć? Tyś chyba więcej myślał o tym niż ja, Jerry?

— Tak, Vick. Masz rację. Myślałem o tym od wielu lat. Będzie to wyglądało tak: Zwykła szarańcza idzie Stadem, najpierw po ziemi, później, gdy wyrosną jej skrzydła, leci razem, nie rozbijając się na grupy. Dlatego też przy współczesnej technice — samoloty, spryskiwanie żrącymi płynami itd. — może ona istnieć tylko gdzieś w stepach — w Indiach, Afryce, Iranie, Afganistanie i innych zacofanych krajach.

Szarańcza Berteridgeta będzie się łączyć w duże stada tylko w okresie rozmnażania, po czym będzie się znów rozlatywać, normalnie składać jajka na terenach swej wędrówki. Moja szarańcza może przelatywać z miejsca na miejsce z szybkością 70 km. na godz. Może się ona przenosić, nie jakimiś przypadkowymi drogami, z wiatrem na przykład, ale promieniście. Moja szarańcza będzie się rozlatywać na wszystkie strony. Dziś pojawi się tu, a jutro ukaże się w miejscu odległym o 300 lub 400 km.

— Przypuśćmy, że szarańcza zacznie znosić jaja wiosną na obszarze położonym gdzieś na pograniczu Europy i Azji. Pod jesień szarańcza Berteridge'a sięgnie na północy — granic tundry, na południu

— wybrzeży mórz: Śródziemnego, Czerwonego, Czarnego i Oceanu Indyjskiego, na zachodzie — Oceanu Atlantyckiego, na wschodzie Pacyfiku. W następnym roku rozmnoży się ona tak, że pożre wszystko, co jeszcze pozostało na tym olbrzymim terytorium... Krótko mówiąc po dwóch latach pozostanie jej tylko pożerać samą siebie.

— Nie, Jerry. Zagalopowałeś się — przerwał generał. — A chemia, a płyny żrące, a gazy, a ogień?

— Nie, Vick. Nie, nie i nie! — zapalił się Beiteridge. — Przeprowadziłem wszystkie możliwe obliczenia. Nie ma i nie będzie takich sił produkcyjnych, które by pozwoliły skoncentrować na całej powierzchni Europy i Azji potrzebną ilość środków Obronnych. Prócz tego musisz sobie zdać sprawę, że środki trujące będą działać nie tylko na szarańczę, ale i na ludność. Nic z tego nie wyjdzie. Moja szarańcza zwycięży wszystko. W ciągu jednego lata rozsypie ona swe jajka wszędzie. Jajka te wytrzymają mrozy. A na wiosnę szarańcza znów wyjdzie na świat — setki tysięcy, miliardy, biliony, tryliony.

— W każdym razie jednak napalm da sobie radę z twoją szarańczę — nie poddawał się generał.

— Nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą — zgodził się uczony. Jednakże przy zastosowaniu napalmu trzeba będzie wypalić całą powierzchnię kontynentu. Powiedz mi, jaka będzie wobec tego różnica w ostatecznym wyniku? Tak, czy inaczej — nie pozostanie nic. Jeśli masz dostatecznie dużo napalmu, samolotów i wojska, by wprowadzić je w akcję — działaj, oproszę bardzo! Ja ci w tym będę najmniej przeszkadzał. Zaczynaj choćby jutro!...

Generał nie znalazł odpowiedzi na te słowa przyjaciela i wrócił do szarańczy.

— No, a co się stanie z twoją szarańczę, gdy zakończy już ona podbój? Powiedz.

— Do nas się nie dobierze. A Europa i Azja zostaną obrócone w perzynę i odrzucone o 300 lat wstecz. No i bardzo dobrze. W tym względzie całkowicie się zgadzam z Hooverem.

Generał uniósł się na krześle, oparł się obiema rękami o stół, nachylił się ku Berteridge'owi i powiedział:



— Karty na stół, Jerry... I przestań mi zawracać głowę swoją nauką i swoim poświęceniem dla spraw nauki. Nie jestem dzieckiem. Jako twój przyjaciel spokojnie wysłuchiwałem tu twych tyrad — ostatecznie przyzwyczajony jesteś do swego żargonu i nie mam o to do ciebie pretensji. Ale człowiekowi, który zna się na organizacji jednej choćby dywizji piechoty — to jest subtelna rzecz, nie gorsza od twojej nauki — wystarczy jeden waz przejść się po twojej fabryce, by zrozumieć dlaczego jesteś tak bardzo zainteresowany w przeciąganiu swej pracy bez końca. Masz tu niezły dochód, wielu mogłoby ci pozazdrościć... Poczekaj!!! — generał powstrzymał uczonego, który chciał się zerwać z fotela. — Poczekaj. Jestem twoim przyjacielem, nie chcę ci przeszkadzać i nie mam zamiaru wglądać w twoją buchalterię. Nie jesteś głupi i na pewno masz tam wszystko w porządku. Przyznaję ci, że twoja szarańcza, to Wielka siła. I twoje propozycje stoją na pewnym gruncie. Zawsze umiałeś wszystko logicznie ocenić. Ale nauka — to jedno, a interes — to rzecz poważniejsza — musi mieć polityczną podbudowę. Co myślisz o tym wszystkim — nie jako uczonego, ale jako człowieka interesu? Berteridge był nieprzyjemnie zaskoczony tym apodyktycznym tonem swego starego towarzysza. Vick chce pokazać swoją władzę? Dobrze. Powie mu teraz, co o tym sądzi.

— Zaraz się dogadamy, Vick — oświadczył. Weźmy na przykład pakt atlantycki. My niby odpowiadamy za nich. A czy oni odpowiadają za nas?

Generał był zaskoczony.

— A cóż ma z tym wspólnego pakt atlantycki?

— Chciałeś mieć polityczną podbudowę — oświadczył Berteridge. — A polityka — to wzajemne zobowiązania. Te właśnie zobowiązania powinny być wyraźnie określone. Sprawy są sprawami, a pieniądze — pieniędzmi. Przy współpracy za każdą rzecz odpowiadają dwie strony. Ale jeśli jedna strona ponosi całą odpowiedzialność, a druga tylko bierze i niczego wzajem nie daje — to już nie jest współpraca, lecz szantaż. Ileż to pieniędzy oni wzięli od

nas, a co nam za to dali?

— Wzięli miliardy, a nie dali ani centa — szczerze przyznał generał.

— No, widzisz, a ty boisz się mojej szarańczy — pochwycił Berteridge.

— Ale przecież oni są naszymi sojusznikami — sprzeciwił się generał.

— Czy lokaj jest twoim sojusznikiem, Vick? Służy ci tak długo, jak długo mu płacisz — uśmiechnął się Berteridge.

— Uparcie nie chcesz zrozumieć tej sprawy — powiedział ponuro generał. — Na moje barki włożono określone obowiązki i ja muszę dołożyć starań, by się z nich wywiązać.

— Przecież ci tłumaczę, jak najlepiej będziesz się z nich mógł wywiązać — odpowiedział Berteridge. — Nie miałbym nic przeciwko temu, by poczekać, aż moja szarańcza osiągnie wielkość wrony, a szybkość rozmnażania dorówna bakcylozm dżumy czy cholery. Ale do tego potrzebne jest jeszcze jakieś pięć, a może nawet osiem lat. Obawiam się, że wtedy może już być za późno...

Generał pomyślał: „Jerry skłonny jest zrezygnować ze swoich dochodów... sprawa jest poważna...” — Ta myśl podziałała na niego silniej niż długie wywody Berteridge’a. Mimo to nadal się upierał:

— Nie wierzę, że wszystkie środki zostały już wyczerpane. Poczekamy jeszcze.

Teraz Berteridge zaczął dobywać ze swego kołczana najostrzejsze, zaprawione palącym jadem strzały.

— Słuchaj, Vick — mówił — ty mnie podwójnie zadziwiasz. Po pierwsze — chcesz mnie przekonać, że nie masz oczu, ani uszu, ani nosa. Po drugie — znając mnie od dzieciństwa, sugerujesz mi, że ja również mogę nic nie widzieć, nic nie słyszeć, o niczym nie wiedzieć.

— Nie rozumiem ciebie i nawet nie chcę rozumieć — próbował przechytrzyć swego przyjaciela generał, zdając sobie sprawę, że przygotowuje on jakąś zasadniczą i niezbyt przyjemną pigułkę. Nie omylił się.

— Powiedz mi, Vick — zapytał uczony — jak przyjmowano cię w Paryżu? No? Jak wyglądał bankiet? Jak cię obwozili po mieście? Spacerowałaś może po ulicach? Upajałeś się wspaniałymi bulwarami? Przyjmowałaś defiladę? I co wykrzykiwali wdzięczni Francuzi? Po każdym pytaniu generał coraz bardziej się czerwienił, a Berteridge nadal uderzał w najboleśniejsze miejsca, drażnił niezabliźnione rany generalskiej pychy.

W końcu generał nie wytrzymał:

— Dlaczego ty, mój stary przyjaciel i wiemy towarzyszu, któregoś zawsze lubił i szanował, dlaczegoś ty zebrał to całe błoto i rzucił mi je w twarz?

Berteridge objął generała:

— Nie, Vick, nie. Bardzo źle mnie sądzisz. Gdybym ciebie nie lubił, śmiałybym się z ciebie za twoimi plecami, tak jak śmieją się z ciebie inni. Ja nigdy bym cię nie zdradził. Jako twój przyjaciel i jako uczony proponuję ci gorzkie, ale konieczne lekarstwo. Wierzę w ciebie. Dlatego daję ci broń, którą zwyciężysz.

Głos profesora uspokoił generała. Berteridge mówił bez przerwy. Korzystał z okazji, by zniszczyć swych konkurentów. Radził, aby nie dawać pieniędzy na doświadczenia mikrobiologom, tym bardziej, że nawet Japończycy nie osiągnęli oczekiwanych rezultatów w pracach nad bakcylozami dżumy.

Berteridge przyjaźnie poklepywał generała po plecach, częstował go papierosami, podawał ogień i występował nawet przeciwko takim znanym i uznanym środkom jak bomba atomowa. Tylko szarańcza, znakomita szarańcza Berteridge’a mogła jeszcze uratować sytuację.

Spustoszona i napół wymarła, będzie się w końcu musiała poddać ta straszna Eurazja. Głód jest najsilniejszą bronią. W wygłodniałych miastach, na pustych polach pokonanych krajów za kęsek chleba pracować będą posłuszne i niekosztujące ręce.

W tym miejscu generał znów wybuchnął:

— Dość już tych bzdur. Niech wszyscy wyzdychają z głodu! Niech diabli wezmą całą ziemię!

Ale ja, co ja z tego będę miał? Po kiego diabła twoja szarańcza ma być potrzebna właśnie mnie?

Zachowanie się generała wyraźnie wykazało Berteridge'owi, że wszystko jest gotowe i można już przystąpić do głównego punktu.

Uczony wsunął ręce do kieszeni, zbliżył się do zdenerwowanego generała i rzekł do niego spokojnym głosem:

— Wyobraź sobie dzień, gdy w prasie pojawią się pierwsze wiadomości o zjawieniu się mojej szarańczy w Rosji. Nikt nie wyciągnie z tego faktu natychmiastowych wniosków, ale my dwaj będziemy wiedzieli, co należy robić. Ktoś powiedział, że pragnąłby, choć raz w życiu wiedzieć, jakie będą kursy nazajutrz na giełdzie. A my obaj będziemy je znać na kilka miesięcy naprzód. Kiedy spekulanci zrozumieją, co się zaczęło dzieć w Rosji, powstanie olbrzymi boom. Wszyscy rzucą się na akcje przedsiębiorstw żywnościowych, zaczną je skupywać i zawierać transakcje na produkty rolne. Ceny na artykuły spożywcze pójdą w górę, co spowoduje ogólną hauszę. Wówczas nadejdzie nasza godzina! Wiedząc naprzód o wszystkim, staniemy się królami giełdy. Morgan i Rockefeller będą przy nas karłami. Oto dlaczego nazwałem mój ekstrakt — eliksirem władzy!



Generał wyciągnął rękę do Berteridge'a:

— Z tobą na życie i śmierć, Jerry! — zakrzyknął triumfująco.

— Jesteś moim gościem, Vick, powiedz, więc otwarcie, czy możesz jeszcze pół godziny wytrzymać do obiadu? Zdążylibyśmy załatwić już wszystkie sprawy!

— Mogę nawet godzinę, ale po takim dniu nie chciałbym przeciągać obiadu do nocy! — odrzekł mężnie generał.

— Nie dłużej niż trzy kwadranse! — zapewnił Berteridge i nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

Do gabinetu bez meldowania wszedł tęgi, ruchliwy mężczyzna. Generał zaraz go poznał.

— Jak się masz, Banning! — powitał przybyłego.

— Stawiam się na pański rozkaz, generale!

Był to jeden z kierowników wywiadu amerykańskiego w Europie zachodniej.

— Muszę się poskarżyć na mister Banninga! — odezwał się Berteridge.

Generał skinął na Banninga, aby usiadł i dał znak profesorowi, że może wyłożyć swą skargę na pracę wywiadu.

— Czternaście razy podwładni mister Banninga otrzymali ode mnie materiał, aby dostarczyć go na Wschód i ani razu nie potrafili przemycić go do Rosji! — rzekł Berteridge podniesionym głosem. — Czternaście razy! I za każdym razem były z tego nici.

Banning zatrzęsł się całym swym otyłym cielskiem — zrozumiał, że ten zarzut kierownika „fabryki szarańczy” nie wróży mu nic dobrego.

Miał przygotowane argumenty usprawiedliwiające, ale generał nie dał mu otworzyć ust:

— To bardzo źle, Banning, bardzo niedobrze! — krzyknął urzędowym, ostrym tonem.

Banning zerwał się i zdetonowany począł wyjaśniać, jak trudne jest rozprzestrzenianie szarańczy. Trzeba ją dokładnie w pewnych odstępach zakopywać w ziemi na określonym obszarze.

Nie można jej rozsiewać przy pomocy samolotów, jak na przykład stonkę ziemniaczaną lub zarazki epidemicznych chorób...

— Zawracanie głowy! Dziecinne wymówki! — krzyknął generał. — Profesor Berteridge da panu wskazówki i trzeba się do nich zastosować. Bojowe zadanie, Banning! Jeśli nie będzie wykonane, wyrzucę pana i wszystkich pańskich ludzi. Na co te głupie wykręty! Macie robić to, co wam każe profesor.

Generał umiał być straszny dla ludzi, znajdujących się w jego władzy.

Berteridge żądał, aby osiemset zielonych pudełek zostało dostarczonych do Rosji. Co się tyczy miejsca, to uczony wspominał o nim tylko Banningowi. Punkt był ustalony od dawna i znajdował się mniej więcej na granicy Europy i Azji, na południu od łańcucha gór Uralu. W ten sposób szarańcza Berteridge'a mogła bez przeszkód prowadzić dzieło zniszczenia na szerokich terenach rolniczych. Ten złowrogi posiew, kierując się wskazaniem biologii, należało rozpocząć dopiero w drugiej połowie września, aby uniknąć przedwczesnego wylęgu.

Banning zobowiązał się, że wypełni rozkaz, że tym razem uda mu się to na pewno. Teraz nie myśli oszczędzać nikogo! Będzie musiał tam posłać swego pomocnika, doświadczonego w sprawach rosyjskich!

— No, zadowolony jesteś ze mnie, Jerry? — zapytał generał, gdy za przybyłym zamknęły się drzwi. — Z naszym szanownym rządem będę mówił trochę inaczej, ale nie mniej kategorycznie. Nie odkrywając naszych kart, poprowadzę sprawę tak, aby nikt nie próbował nawet mówić o zamknięciu twojej fabryki.

— Dziękuję ci, Yick! Widzę z tego, że jesteś prawdziwym Amerykaninem! — rzekł z przejęciem uczony.

...W ten sposób osiemset pudełek, zawierających milion sześćset tysięcy jajeczek nowego rodzaju szarańczy, wyhodowanej przez Berteridge'a, zostało wyekspediowanych w czerwcu

do Związku Radzieckiego. Miały one być rozsiane w drugiej połowie września w znacznym oddaleniu od siedzib ludzkich tak, aby cała akcja nie była przez nikogo zauważona. Jajeczka szarańczy będą spoczywać w ziemi. Gdy nadejdzie wiosna, przekształcą się w żarłoczne owady, które rosnać będą nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę. A po paru tygodniach szarańcza Berteridge'a runie niszczącym potokiem na cały kraj...

Część czwarta

I. ROZWIĄZANIE

Wrogowie wykonali swe dzieło umiejętnie i sprytnie. Postarali się umieścić „naboje” z szarańczą w różnych miejscach, ale w jednakowo sprzyjających warunkach dla wylęgu szkodników. Miejscowość była doskonale wybrana. W bezludnym stepie owady będą mogły rosnać niezauważone, nabierając niszczycielskich sił. Wiosną wybuchną jak miliony min, założonych w zbrodnym celu unicestwienia życia kraju.

W Kłonowie burzyła się krew. W jego oczach działali najemnicy zachłannego światowego imperializmu. Uprzytomnił sobie w całej ohydzie ich zbrodniczy posiew. Równina, która roztaczała się przed nim, kryła w sobie tysiące podziemnych wrogów. Ałonow — jako zootechnik w czasie swych studiów zainteresował się szarańczą i przeczytał większe dzieło o tych szkodnikach. W Związku Radzieckim od dawna już nie widziano szarańczy, która była postrachem carskiej Rosji, głównie odległych jej krańców.

I teraz Ałonow wyobraża sobie powrót tej plagi. Musi patrzeć, jak bandyci bezkarnie rozsiewają resztki swych życiobójczych zapasów. Widzi pazury wyciągnięte z oddali, które usiłują szarpać jego ojczyznę. Ałonow rozumiał, że powinien jak najprędzej zmiażdżyć te cztery pazury tak, jak unieszkodliwił już jeden.

W powietrzu załopotwały skrzydła ptaków. Stado starych kaczek przeleciało nad jego głową. Jednocześnie Ałonow usłyszał strzały z broni myśliwskiej, dochodzące z tej strony, gdzie znajdowali się dywersanci.

Widocznie ukończyli już swą „pracę” i zabrali się do polowania. Już nie obawiają się, iż zwrócą na siebie czyjąś uwagę. Ale co oni myślą dalej robić? Oczywiście udadzą się do siebie, do domu. Przecież muszą mieć jakieś schronisko, jakiś dach nad głową.

Ałonow czuł, że zbliża się moment decydujący. Wieczór zapadał i do nastania zmroku pozostały najwyżej dwie godziny. Wrogowie na pewno zatrzymają się gdzieś w pobliżu. Mają tu wszystko — wodę do picia i drzewo na rozpalenie ognia.

Trzeba działać! Ałonow zrozumiał, że należy wykorzystać ich postój. Powinien udać się natychmiast w kierunku toru kolejowego i zorganizować pościg chociażby przy pomocy okolicznej ludności. Na pewno znajdą się uzbrojeni ludzie spośród ochrony kolei. Można by również zmobilizować kolchoźników.

Rozmyślenia jego przerwał znowu huk wystrzału. Po chwili, na równej przestrzeni zalanej szkarłatem zachodzącego słońca, Ałonow ujrzał dziką kozę. Za nią biegła para młodych koźląt, wzrostem prawie równych matce. Stara koza skakała na trzech nogach wlokąc prawą tylną.

Naraz stało coś nieoczekiwane — z krzaków wyskoczył jakiś człowiek. Wymachując krótką strzelbą biegł za zwierzyną. Ałonow przypadł do ziemi i ukrył się w zaroślach. Od razu poznał w myśliwym bandytę, którego przy pierwszym spotkaniu ochrzcił mianem „wysokiego”.

„Wysoki” podbiegł do brzegu jeziora, które kończyło się w tym miejscu pasmem czarnego biota. Zatrzymał się, nachylił i wyciągnął coś zza cholewy buta. I wówczas Ałonow znów

ujrzał ranną kozę. Uniosła na chwilę głowę na przeciwległym brzegu. Zwierzę widocznie nie mogło biec dalej i legło na ziemi. A teraz podniosło się, widząc zbliżającego się prześladowcę. Koza posunęła się jeszcze kilka kroków w kierunku błota, skoczyła i znalazła się na jego środku.

W ręku „wysokiego” błysnęło ostrze krótkiego, ale szerokiego — jak język krwi — noża. Nie zwracając uwagi na grząski teren „wysoki” biegł w kierunku zwierzęcia. Ałonowowi wydawało się, że bandyta uderzył już nożem nieszczęsne stworzenie — tyle w nim było wściekłego uporu i dzikiej zawziętości.

Stało się jednak inaczej. Będąc oddalony od kozicy o dwa — trzy kroki, „wysoki” nagle zapadł się w bagno. Błoto sięgało mu już do kolan, a po chwili zaczęło dochodzić do bioder...

II. GODZINA ODWETU

Wysoki bandyta nie zdawał sobie jeszcze sprawy, dokąd go zaprowadził pościg za zwierzyną. W swym zapamiętaniu nie robił większych wysiłków, aby wydobyć się z pułapki. Zgiął się i wysunął swą długą jak u goryla rękę, dosięgając nią krótkiego i szerokiego ogonka zwierzęcia. „Wysoki” przyciągnął do siebie nieruchome ciało kozy i wskutek tego wysiłku zanurzył się jeszcze głębiej, niemal do pasa, w trzęsawisku. Ałonow podniósł do oczu lornetkę i ujrzał jak „wysoki” otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, ale nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. Twarz Jego wykrzywiła się. Ałonow przez lornetkę nie mógł dojrzeć dokładnie wszystkiego, ale w pewnej chwili wydawało mu się, że „wysoki” patrzy prosto na niego obłąkanym wzrokiem... Wargi bandyty poruszyły się i z ust wydobyły się słowa:

— Ale ugrzęzłem...

„Wysoki” przyciągnął kozicę bliżej do siebie. Odbył się to kosztem jeszcze większego pograżenia w oślizgłej mazi. Bandyta, który cały czas starał się nie zanurzać strzelby w błocie, teraz położył ją na powierzchni i oparł się jedną ręką o kolbę, a drugą o grzbiet zwierzęcia. Uczynił gwałtowny ruch całym ciałem, aby wydobyć się z bagna. Ale obydwie podpory znikły wraz z jego rękoma i zapadł się jeszcze głębiej w błotnistą otchłań — aż po piersi. Zdaje się, dopiero teraz dywersant zrozumiał, dokąd go zaprowadziła jego żyłka myśliwska.

Ałonow widział jego długie czarne włosy, policzek i ucho sterczące nad smolistą powierzchnią. Teraz bandyta obawiał się uczynić najmniejszy ruch. Zdobył się jedynie na krzyk — wzywał pomocy.

— Chodźcie tu prędzej... Pomóżcie mi... Ginę!...

Krzyki, które miały zaalarmować jego kompanów zamieniły się w skargi, a później wymysły pod ich adresem. Wreszcie bandyta zaczął głucho jęczeć. Ałonow lekko uniół się w swej kryjówce i w tej samej chwili ujrzał pozostałych trzech, członków szajki. Biegli zwabieni rozpaczliwym wołaniem swego kompana.

Tymczasem tonący, którego tylko tors wystawał z trzęsawiska, wydobył z siebie resztkę sił i skoncentrował je w ochrypłym bełkocie:

— Gdzieście się podzieli, diabły zatracone! Saaxa Figurnow tonie... ginie... a wy... Czegóż stoicie?

Wąsaty dywersant powiedział coś do niższego. Cała trójka zdjęła pasy ze swych strzelb. Następnie połączyli je z paskami od spodni i w ten sposób uzyskali pas długości dobrych siedmiu — ośmiu metrów. Pas trzymał z jednej strony bandyta z wąsami, a z drugiej jego kompan tego samego wzrostu. Obaj podeszli do skraju błota, stąpnęli ostrożnie dotykając podszewkami grząskiego gruntu i zatrzymali się jak na komendę...

Sądząc z ich gestów Ałonow zrozumiał, że targują się ze sobą, kto ma iść pierwszy.

Sprzeczkę tę przerwał Figurnow i zaczął im wymyślać:

— Coście... powariowali? Klótnia wam we łbie? No, na co czekacie? Przez was mam zginąć w tym wstrętnym błocie! Ruszcie się nareszcie!...

Stojący z tyłu niższy opryszek zaczął zachęcać:

— No, Chripunow, ruszaj naprzód.

Ałonow wyobraził sobie następujący, prawdopodobny, ułożony przez bandytów plan ratowania członka ich szajki: jeden z bandytów wejdzie w błoto, wysunie się możliwie najbardziej na przód i postara się dojść jak najbliżej — co najmniej na odległość zaimprovizowanego pasa — do pogrążonego w bagnie Figumowa. Następnie przyłączą się do akcji dwaj pozostali bandyci, którzy zarzucą Figurnowowi pas i będą starali się wspólnymi siłami wydobyć go z bagna.

Wąsaty bandyta pozostał na skraju błotnistej strefy, niższy stał obok niego, a Chripunow zaczął posuwać się z wielką ostrożnością w kierunku pogrążającego się coraz bardziej Figurnowa. Ałonow obserwował okrągłą postać z wydatnym brzuchem wysoko podnoszącą nogi i bojaźliwie stającą po płytkim jeszcze błocie. Widać było wyraźnie, że bandyta przeniknięty jest strachem i jedynie pod przymusem udaje się na ratunek swego kompana. Chripunow zrobił jeszcze kilka drobnych i niepewnych kroków, poczem zatrzymał się i rzekł do Figurnowa:

— Jak mamy ciebie wyciągnąć? Za szyję czy za ręce? Gdzież właściwie są twoje ręce?

Ałonow poczuł zapach dymu z palącego się świeżego drzewa. Rozróżniał również żółty blask ogniska poprzez jeszcze niezupełnie przezroczyste powietrze. Na drodze stał krzak, Ałonow wyminał go i ujrzał zarysowaną się sylwetkę wyprostowanego człowieka. Z prawej strony był drugi — klęczał. Trzeciego nie było widać. Ałonowa dzieliło od bandytów zaledwie dwadzieścia kroków.

Klebanowski klęcząc kontynuował rozmowę:

— Idź po wodę. Napilibyśmy się herbatki na drogę!

Muszka spoczęła na piersi wroga stojącego przy ognisku. Strzelba jak gdyby sama wypaliła.

Słowa Klebanowskiego zagłuszył buk strzału. Chripunow padł bezwładnie na ognisko.

Sudariew nie wstając chwycił za broń.

Ałonow czuł jeszcze uderzenie kolby w ramię po pierwszym strzale, gdy na muszce ukazała się twarz drugiego bandyty — tego, który klęczał. Ale strzał nie nastąpił. Broń odmówiła posłuszeństwa...

Ałonow już od pięciu lat używał tej strzelby i jeszcze nigdy mu się nie zacięła. Próbował mocniej pociągnąć za cyngiel, użył całej siły palca, a nie jak zwykle lekkiego muśnięcia.

Naciskał, naciskał, ale bez skutku.

Gdy przekonał się o bezskuteczności swych wysiłków, cofnął się kilka kroków w tył i przysiadł, ukrywając się za krzakiem. Przełamał broń i wyrzucił nabój i wystrzeloną łuskę. Dwa ładunki miał przygotowane w kieszeni kurtki. Wszystko przewidywał i wszystko robił według planu. Mgła i niewypał — tego nie przewidział. To zacięcie się broni spowodowało, iż stracił dwie — być może — decydujące sekundy!

Zaledwie Ałonow zamknął strzelbę, huknęły strzały. Padały tak gęsto i były tak bliskie, iż trudno było powiedzieć, gdzie padają kule.

Ałonow otrzymał silne uderzenie w głowę. Błysnęło mu przed oczyma i zakręciły się ogniste kręgi. Wróg zniknął za nimi... Alanów oparł się lewą ręką o ziemię, aby nie upaść...

Sudariew rozładował magazyn szybkostrzelnej broni małokalibrowej. Skierował lufę w stronę jeziora. Stamtąd rozległ się wystrzał i stamtąd po strzale usłyszał jakiś szczełk.

Gdy broń umilkła, Sudariew wyrzucił pustą kasetę, odnalazł w plecaku zapasową i włożył do magazynu.

Minuty mijały szybko. Mgła rozplynęła się. Przedarły się pierwsze promienie słońca.

Sudariem powstał. Klebanowskiego nie było. Na ziemi leżały porzucone dwie strzelby. Chripunow leżał w poprzek wygasłego, ale jeszcze dymiącego ogniska. Czuć było zapach tłącej się wełnianej tkaniny. Znow upłynęło chyba kilka minut. Mózg Sudariewa pracował intensywnie. Dwaj głupcy! Jeden dał się zabić, a drugi ukrył się w krzakach, porzuciwszy broń. I jeszcze dobrze, że zabity został Chripunow, a nie przewodnik Klebanowski. Należy jak najprędzej stąd się oddalić...

Sudariem rozglądał się trzymając broń w pogotowiu. Zawołał:

— Klebanowski! Durniu! Chodź prędko tutaj!...

Odpowiedzi nie było. Sudariem powtórzył wezwanie. Klebanowski nie odpowiadał.

...Ogniste kręgi stały się przezroczyście. Na głowie leżał ciężar, a za kołnierzykiem rozlewało się ciepło.

Przed oczyma Ałonowa zwisały gałązki z rzadkimi długimi listkami. Za nimi stał, rozglądając się na wszystkie strony, człowiek niskiego wzrostu z krótkim karabinkiem w ręku. Ałomow wziął go na cel.

Tym razem broń nie zawiodła.

Sudariem nie zrozumiał, co się stało. Broń, zdawało mu się, sama wysunęła się z ręki.

Rozerwała się! Sudariem przysiadł z bólu i lewą ręką chwycił się za kiść prawej...

Nagle Sudariem ujrzał przed sobą w odległości zaledwie kilku kroków mężczyznę z bronią wycelowaną prosto w jego pierś. Zjawienie się człowieka ogłuszyło Sudariewa — jakby go kto uderzył obuchem. Długie lufy zajrzały mu do oczu. Usłyszał:

— Ręce do góry!...

Ten, który to powiedział, nie mówił głośno. Głos jego był spokojny.

— Ręce do góry! A jak nie, to zastrzelę! — powtórzył.

Czarne krążki lufy migały. Nad nimi patrzyły na Sudariewa oczy. Oczy te były nieruchome. I całe istnienie Sudariewa zawisło naraz na cieniutkiej, cieniuteńkiej jedwabnej nitce. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co to jest śmierć. Trzeba ratować życie! I Sudariem wtulił głowę w ramiona i wyrzucił ręce wysoko do góry. Obydwie. I zdrową lewą i prawą, o której bólu natychmiast zapomniał.

Ałonow myślał: "A gdzie trzeci bandyta?"

Część piąta

I. PRZYGOTOWANIE

Na lewo od wspaniałej bramy ozdobionej posągami Eskulapa, poczerniały mur z cegieł ciągnął się na przestrzeni kilkudziesięciu metrów i załamywał się na rogach zamykając rozległy obszar, zajęty przez dawną fabrykę farmaceutyczną.

Fabryka leżała na przedmieściu. W pobliżu muru febrycznego znajdował się jednopiętrowy domek z małym ogródkiem. Kiedyś przechadzał się tu pierwszy właściciel fabryki.

Obecnie nieruchomości była wynajęta na mieszkanie dla duchownego pobliskiej parafii.

Na dalszym odcinku ulicy stał dom o nader osobliwym wyglądzie. Przed wojną była to duża czteropiętrowa kamienica czynszowa, zamieszkała przez rodziny robotnicze. Ucierpiała jednak w czasie wojny wskutek bombardowań i po drobnych remontach przekształciła się w długi jednopiętrowy budynek. W tej części budynku, która wychodziła na fabrykę farmaceutyczną, w suterenie mieściła się kotłownia. W związku ze zmniejszoną powierzchnią mieszkalną właścicielowi domu nie opłacało się uruchomić centralnego ogrzewania. Przez jakiś czas lokal stał pusty, później zaś był wynajmowany i kilka razy zdążył już zmienić

lokatora.

Dzisiaj pastora Altenmeyera, doktora filozofii i teologii, przez cały dzień nie było w domu. Miał dużo pracy u siebie w parafii. Właśnie zmęczonym krokiem powracał do domu starszy człowiek w długim surducie. Chłodny dzień wczesnej jesieni zbliżał się ku zmierzchowi. Gdy pastor przecinał rynek, pozdrawiały go serdecznie śpieszące ulicą kobiety oraz dzieci. Niektórzy z parafian korzystali z okazji, aby porozmawiać z duchownym. Nie zważając na zmęczenie, pastor miał dla wszystkich przyjazne słowo i życzliwe spojrzenie. Właśnie chciał przejść przez ulicę, gdy przecięła mu drogę maszerująca kolumna. Pod dowództwem dwóch oficerów oraz kilku sierżantów i kaprali w uniformach, mocno przypominających mundury armii amerykańskiej, trzystu ludzi wybijało na bruku równy krok.

Pastor poznał jednego z oficerów.

— Sturmbanfurer Hobman! — wyszeptał z goryczą. Jeszcze bardziej przygarbił się, jak gdyby nagle spadło na niego całe brzemień zmęczenia.

Nim pastor udał się do siebie, wszedł do sieni owego osobliwego, niskiego domu. Zajrzał do dwóch mieszkań, a później zeszedł po wyszczerbionych betonowych stopniach do pomieszczenia dawnej kotłowni.

Pchnął drzwi, schylił się, aby nie zaczepić głową o framugę, i wszedł do dużej, długiej izby. Światło dzienne wpadało tylko przez otwór do zsypywania węgla przekształcony w niziutkie okienko. Pod sufitem paliła się lampka elektryczna przysłonięta stożkowym blaszanym abażurem. Kąty, ściany i znaczna część izby tonęły w półmroku. Ale stół pośrodku był jasno oświetlony. Z lewej strony widniały długie, czarne cielska kodów nieczynnego już od dawna centralnego ogrzewania.

Na stole stał wielki rondel, wysoki dzban, kilka talerzy, szklanki i leżały pokrajane kromki chleba. Przy stole siedziało dwóch mężczyzn. Ten bliżej drzwi, bez ręki, palił fajkę. Odwrócił głowę na dźwięk otwieranych drzwi.

Wielkie *oczy* błyszczały jasno na tle zmęczonej twarzy. Drugi, nie zwracając uwagi na wchodzącego, trzymał w lewej ręce kromkę chleba i jadł z apetytem zupę z głębokiego talerza. Przestał jeść dopiero, gdy ten bez ręki ujrzawszy gościa, zawołał:

— A, pan pastor! Prosimy bardzo! Dobry wieczór!

Towarzysz jego podniósł się i uklonił przybyłemu.

Pastor usiadł i przyglądał się uważnie, widocznie nieznajomej mu twarzy. Po czym rzekł:

— Proszę sobie nie przeszkadzać i jeść dalej obiad.

— Jak zdrowie, Adolfie? — zwrócił się do jednorękiego. — Czy nowe lekarstwo pomaga?

Pastor i Adolf gawędzili jeszcze po cichu kilka minut, następnie Altenmeyer wyjął z kieszeni duży, zapieczętowany pakiet i położył go na stole, po czym wstał.

Adolf odprowadził pastora do sieni, a gdy wrócił, towarzysz zapytał go:

— Czy to ten Altenmeyer?

— Tak jest, Hans, to właśnie on.

— W pierwszej chwili go nie poznałem. Bardzo się postarzał. Nie przypuszczałem, że go tu spotkam. Powiedz prawdę, czy on coś wie?

— To sąsiad. Mieszka obok. Cztery lata był w Dachau i jeśli nie trafił do pieca, to tylko przez przypadek. Ale zapamiętaj sobie: Altenmeyer o niczym nie wie. Wystarczy mu obozu hitlerowskiego. Amerykańskie więzienia mogą się obyć bez niego!

— Nigdy nie lubiłem klechów! — rzekł Hans. Adolf rozgniewał się.

— Czego chcesz od Altenmeyera. Pastor rzeczywiście o niczym nie wie. Jest on czynnym działaczem ruchu obrońców pokoju, a nam przecież potrzebne są pieniądze. I właśnie on nam pomaga. Ale i o tym nie należy mówić ani słowa!

Adolf usiadł zamyślony, a Hans nalał sobie piwa z dzbana i spytał:

— Czy już czas?

Adolf przecząco kiwnął głową:

— Przecież Breiera jeszcze nie ma. Po chwili drzwi się otworzyły i od progu rozległ się wesoły okrzyk:

— Witajcie, przyjaciele!



Do izby wszedł czterdziestoletni mężczyzna z walizką w ręku, w kapeluszu na bakier i kłaniając się wszystkim z przesadnym uszanowaniem, ciągnął dalej:

— Witajcie, dostojni! Dlaczego jesteś taki ponury, mój miły Hansie? Co cię trapi? Sumienie? Czy brak piwa w pustej szklance?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Rozmowa potoczyła się w wesołym nastroju.

— No, już czas na nas! — rzekł Breler.

Hans udał się do odległego kąta piwnicy.

Tam za zdjętymi z fundamentów kotłami leżały ułożone w piramidę popsute kaloryfery.

Adolf zamknął na zasuwę drzwi do sutereny i razem z Hansem zaczął zdejmować kaloryfery i odkładać je na bok. Pod nimi leżały płyty zardzewiałej stali. Adolf uderzył w nie kilka razy pięścią.

Tymczasem Breier, usiadłszy na jednym ze stojących pod ścianą łóżek, pośpiesznie przebierał się. Zdjął garnitur i wyjął z szafki roboczy kombinezon i stare trzewiki. Gdy Breier pomógł kolegom podnieść żelazne płyty i odłożyć je na bok, ukazał się otwór wąskiego szybu.

Wyszło stamtąd dwóch ludzi, od stóp do głów umazanych w żółtej glinie.

— Uf! — rzekł basem jeden z nich. — Napracowaliśmy się porządnie. Nocna zmiana dobrze się namorduje z wywiezieniem gliny. Przeszliśmy przeszło dziesięć metrów. Zdaje mi się, iż niedługo będzie finisz!

— Niedługo już, Hermanie, niedługo! — odparł Breier. — Zaraz sprawdzimy z Hansem, czy nie zmyliliście kierunku. Hop-la Hans! — I Breier ze swą małą walizką dał nurka do szybu.

— Breier! — krzyknął za nim Herman. — Uważaj! Przygotowaliśmy tam dla ciebie niespodziankę!

Szyb był okrągły i miał niecały metr średnicy. Bardziej odpowiadała tej dziurze w ziemi nazwa nory, niż szybu. Najpierw szła ona pionowo w dół, a potem przechodziła w poziomy korytarz. Posuwać się można było tylko na czworakach. Breier i Hans bardzo długo pełzali w kompletnych ciemnościach, aż wreszcie w dali ukazało się światło. W głębi korytarza paliła się lampka elektryczna, do której przewód w postaci sznura w gumowej rurce leżał na rozkopanej ziemi. Zwarty grunt i mały przekrój tunelu zwalniał pracujących tu ludzi od konieczności wzmacniania jego ścian.

Koło lampki Breier otworzył walizkę, wydobyl taśmę mierniczą i zaczepił obrączkę taśmy o wetknięty w ścianę hak. Hans przecisnął się obok Breiera, schwycił miarę i lampkę i zaczął pełzać naprzód, rozwijając taśmę i przewód elektryczny. Odliczywszy na taśmie mierniczej sześć metrów i piętnaście centymetrów, Breier zatrzymał się i krzyknął:

— Hans, daj no tu lampkę! Jeśli koledzy przygotowali mi niespodziankę, to może być tylko tutaj, a nie gdzieindziej.

Położywszy się na plecach, Breier obmacywał sklepienie, a Hans mu świecił lampą,

— Patrz, widzisz, Hans? — rzekł nagle Breier.

W glinie nad jego głową można było zauważyć zarysy wielkich kamieni.

— Czy rozumiesz, dlaczego to właśnie podarunek dla mnie — ciągnął dalej Breier — przecież te kamienie to fundamenty tej piekielnej fabryki. Wykopaliliśmy nasz tunel bez błędu. Weszliśmy pod fundament właśnie tam, gdzie powinniśmy byli wejść według moich obliczeń. Mapa starej fabryki, wydobyta z archiwum miejskiego, dobrze nam się przysłużyła. Tak, teraz mogę gwarantować, że dostaniemy się do tego miejsca, które nam jest potrzebne. Breier mówił to wszystko badając w dalszym ciągu sklepienie i wystające z niego kamienie, które były fundamentami muru otaczającego fabrykę szarańczy Berteridge'a.

Oddychać w norze było bardzo trudno. Nie bacząc na to Breier i Hans mieli tu pracować przez długie sześć godzin. I pracowali z całym oddaniem, nie szczczędząc sił. Jeden w pozycji leżącej kopał maleńką, bardzo ostrą łopatką. Drugi odrzucał dalej wykopaną glinę. Nocna zmiana oczyści norę z gliny wydobytej przy przedłużaniu tunelu. Trudno powiedzieć, co było trudniejsze: kopać czy też wyrzucać glinę na zewnątrz? Ale lżej jest pracować, gdy się zmienia czynności, toteż Breier i Hans co pewien czas zamieniali się pracą.

Dwa krety ryły w milczeniu. Tylko raz jeden pogodny jak zwykle Breier zażartował:

— Co lepsze, Hans? Prowadzić pociągi i specjalne ekspresy z wysoko postawionymi osobistościami, czy tu grzebać w glinie?

— Wolę wgryzać się w glinę — odpowiedział Hans. — Przynajmniej tutaj nie natrafia się na przeklętych amerykańskich generałów.

— Za to tutaj, nad twoją głową szastają się amerykańskie krokodyle specjalnej rasy — zauważył Breier.

Obaj doskonale wiedzieli, co się dzieje w gmachu fabryki farmaceutycznej. Tajemnica produkcji znana była zresztą na całym przedmieściu.

Gdy zakończyli pracę, znów zamknięto wejście do szybu żelaznymi płytami i zamaskowano je stosem kaloryferów. Podczas gdy pracownicy podziemia zdejmowali z siebie wybrudzone gliną kombinezony i obmywali się, Adolf przy grzał zupę w wielkim rondlu.

Robotnicy jedli równie gorliwie, jak pracowali. Herman był roslym mężczyzną i miał tak jasne włosy, iż mogły się wydawać siwe, gdyby nie Jego młodzieńcza twarz. Potężne mięśnie prężyły się na jego białych, obnażonych rękach. Wolf był niskiego wzrostu i miał czarne włosy. Przy swym roslym towarzyszu wyglądał jak mały chłopczyk. Adolf opowiadał:

— Krokodyle są czujni... Wprowadzili nowe porządki i obecnie nie ograniczają się wyłącznie do dokładnej rewizji osobistej robotników. Przed wejściem do fabryki każdy pracownik musi przejść przez zupełnie ciemną celę. Zatrzymujesz się na pięć sekund, pełny obrót — i Jesteś

wolny!

— A cóż to znowu za pomysł? — zapytał Wolf, który miał właśnie pełne usta jadła. — Odczytywanie myśli ludzkich, czy coś w tym rodzaju?

— Do tego na szczęście jeszcze nie doszło! — odparł Adolf. — Najzwyczajniej uruchomili aparat rentgenowski. Widać wszystko, co się ma przy sobie. Nawet guziki na bieliźnie. I wszystko co masz w kiszkach. Tylko mózgu nie mogą prześwietlić.

Herman skończył obiad, popił piwem.

Jedzenie podziałało na niego jak narkotyk. Jasny olbrzym zwałił się na jedno ze stojących pod ścianą łóżek. Adolf nakrył troskliwie kołdrą swego towarzysza, który natychmiast zasnął.

— A ty, Wolfie? — zapytał jednoręki.

Wolf powoli popijał piwo.

— Nie chce mi się spać. Znowu cierpię na zawroty głowy. Miałem nawet chwile omdlenia.

Powietrza jest tam coraz mniej. Ale Herman nie zważa na nic — pracuje jak maszyna.

Premiowany sportsmen. Ale niedługo już chyba koniec? Wryliśmy się pod same legowisko...

— Breier twierdzi, że pozostało pracy na jakieś dwa, a najwyżej trzy dni.

— Już pora... Dwa, trzy dni i koniec... — głos Wolfa mętniał — Herman... maszyna...

Adolf swą jedną ręką chwycił młodzieńca w pól i zaniósł na łóżko.

W izbie zapanowała cisza. Zapadł mrok. Dwie nędznie ubrane kobiety przyniosły w koszykach mięso, jarzyny, chleb i piwo. Starsza zajęła się kuchnią, a młodsza doprowadziła izbę do porządku. Adolf dał starej na zakupy z pieniędzy pozostawionych przez pastora Altenmeyera. Wkrótce po odejściu obu kobiet do sutereny wpadła jeszcze jedna — młodziotka, smukła, ubrana z kokieterią.

— Witaj, miły Adolfie! — pisnęła dziecinnym dyszkantem.

— Witaj, witaj, panienko — odpowiedział Adolf z niezadowolaniem w głosie — ale chyba dobrze pani wiadomo, że nie powinna się tu pani pokazywać?

— Tak, nie przyszłabym dzisiaj, gdyby nie to, że potrzebne mi są pieniądze. Spotkałam się z pułkownikiem Willy! Muszę mieć całą sumę.

— Breier miał ją pani jutro wręczyć — odparł Adolf.

— Karl przypuszczał, że zobacę się z pułkownikiem dopiero jutro, a on chce koniecznie dzisiaj.

Po chwili pieniądze zebrane przez pastora Altenmeyera, pochodzące z dobrowolnych datków zwolenników ruchu obrony pokoju, znalazły się w damskiej torebce, a następnie przeniosły się do portfela amerykańskiego pułkownika.

Tejże nocy po wyjściu z gabinetu restauracji, uczęszczanej przez wyższych oficerów wojsk okupacyjnych, pułkownik Willym osobistym swym samochodem dostarczył towar, zakupiony przez przedsiębiorczą osobę, prosto do niej do mieszkania.

Pułkownik zarządzał amerykańskimi składami materiałów wybuchowych, zapalających i trujących. I sprzedał właśnie młodej kobiecie z zapasów wojskowych pewną ilość substancji o niebywalej sile zapalnej.

II. WRAZ Z TYMI, KTÓRZY WALCZĄ

Oddział ekstrakcyjny, w którym proces przygotowania cudownego eliksiru władzy według recepty profesora Berteridge'a trwał bez przerwy okrągłą dobę, wymagał również stałego — w dzień i w nocy — dopływu pary do ogrzewania aparatów próżniowych. Gotująca się w kotłach masa nie powinna była stygnąć, ani ulec przegrzaniu. Wahania temperatury groziły zmniejszeniem ilości ekstraktu i pozbawieniem niezwykłych jego właściwości.

Ten dział produkcji funkcjonował niezwykle precyzyjnie, z dokładnością najlepszego

zegarka.

Były mechanik marynarki handlowej, Tooper, niepodzielny władca całego systemu ogrzewania i kotłowni w królestwie Berteridge'a, człowiek jeszcze nie stary, był wielkim pedantem i miał szereg nawyków charakterystycznych dla ludzi podeszłego wieku. Trzej palacze, których Tooper sprowadził z Ameryki, zostali zwabieni do fabryki wysokim wynagrodzeniem. Kierownik kotłowni i jego podwładni trzymali się z dala od ludności obcego dla nich miasta i z nikim się nie komunikowali. Mieszkali we czwórce w jednym mieszkaniu, ściślej mówiąc nocowali tam tylko między jedną zmianą a drugą.

Mister Tooper i jego palacze niemal nie stykali się z robotnikami oddziału selekcyjnego i inkubacyjnego. Wyjątek stanowiło pięciu czy sześciu ludzi, którzy wpadali od czasu do czasu do kotłowni na papierosa i — jak mówili, — aby odetchnąć „świeżym powietrzem”.

Tak więc ta grupa pracowników fabryki szarańczy cieszyła się jak najlepszą opinią u kierownictwa i ich akta personalne były bez zarzutu, jeśli pominąć pewne drobne fakty zanotowane przez Walmersa, szefa ochrony zakładów. Oto jeden z tych faktów.

Toopera w czasie jego choroby odwiedził kaznodzieja Altenmeyer. Cieszący się wielkim autorytetem i popularnością pastotr był znany jako aktywny działacz antyfaszystowski. W obliczu rozgrywających się wydarzeń politycznych fakt ten mógł się wydać „podejrzany”, gdyby nie to, że wizyta pastora u chorego odbyła się w obecności Baldwina, starszego palacza — prawej ręki Toopera. A przecież Baldwin uważany był za oko wywiadu Berteridge'a w kotłowni.

O niedawnych spotkaniach Toopera z inżynierem Karolem Breierem, żartownisiem i wykonawcą drobnych ról na estradach miejscowych teatrzyków, nie było ani słowa w tajnych aktach personalnych. Baldwin uważał te rozmowy za tak niewinne, że nie było potrzeby niepokoić nimi szefa ochrony.

...Palacz na nocną zmianę stawiał się punktualnie. Dzisiaj służbę miał Baldwin. Dzienna zmiana zdążyła załadować węgiel do pieców na całą noc. Zazwyczaj po zakończeniu roboty palacze udawali się do domu, a na miejscu pozostawał jedynie mister Tooper, towarzysząc w milczeniu dyżurnemu palaczowi. Ale dzisiaj trwali na posterunku wszyscy.

Baldwin już zdążył przebrać się w roboczy kombinezon i stał tyłem do pieców, szeroko rozstawiając nogi.

Podłoga w kotłowni była wyłożona wielkimi kwadratowymi płytami, co ułatwiało mister Tooperowi utrzymywanie czystości.

Tooper, jak zwykle w czarnym garniturze i w czarnym krawacie, siedział na krześle po środku kotłowni. Nasunął kapelusz niemal na brwi i w skupieniu opuścił głowę. Ręce trzymał w kieszeniach marynarki. Dwaj palacze, którzy ukończyli pracę, umyli się i przebrali, ale ociągali się z pójściem do domu. Tooper podniósł głowę i zwrócił się do nich:

— Na co czekacie? Już czas na was!

Palacze nie ruszyli się z miejsca, utkwivszy wzrok w swego szefa.

— Już czas! — powtórzył Tooper spokojnym, ale kategorycznym głosem.

Jeden z palaczy zrobił krok w kierunku Toopera.

— A nuż się przydamy?

— Nie! — odrzekł Tooper. — Nie macie tu nic do roboty. Dzisiaj najlepiej zrobicie, jeśli wyjdziecie punktualnie. Już dziewiąta. Nie należy naruszać porządku.

— No, to do widzenia, mister Tooper! — powiedzieli obaj palacze jednocześnie.

Podeszli kolejno do mechanika i uścisnęli mu rękę.

— Faktycznie, zarobek był dobry — rzekł jeden z nich — ale uczciwy amerykański robotnik nie powinien jąć się takiej pracy... Niegodna człowieka!...

— I życie gorsze niż w więzieniu — dodał drugi.

Obaj pożegnali się również z Baldwinem.

— A więc czekamy na was!

...Wskazówki wielkiego zegara w kotłowni przekroczyły dziesiątą.

Tooper już od godziny, tak samo jak przedtem, siedział nieruchomo na krześle.

Baldwin spojrzął na zegar, zamknął od wewnątrz drzwi wejściowe na zasuwę i zniknął między kotłami. Pcd parą był tylko jeden. Drugi uruchomiano zimną do ogrzewania, a trzeci stanowił rezerwę. Pomieszczenie starej kotłowni było bardzo duże i za kotłami pozostawało jeszcze wiele wolnej przestrzeni.

Baldwin zastukał obcasem ciężkiego buta w jedną z wielkich płyt posadzki, która również za kotłami pokrywała podłogę. Tupnął najpierw trzy razy, potem dwa i później znowu trzy. Od dołu w odpowiedzi rozległy się również stukania. Baldwin wyjął z kieszeni duże stalowe dłuto, wsunął je w szparę i podważył płytę. Przyszło mu to z łatwością, bo miał pomoc z dołu. Tooper w dalszym ciągu trwał bez ruchu — jak gdyby spał. Ktoś szarpnął drzwi wejściowe, a później rozległo się silne stukanie. Tooper ocknął się, wstał i bez pośpiechu odsunął zasuwę. Wszedł szef ochrony, Walmers.

— Kto jest dzisiaj na nocnej zmianie? — zapytał.

— Baldwin — krótko odpowiedział Tooper.

— Gdzie on jest?

— Tam — głośno odpowiedział Tooper — tam, za kotłami.

Szef ochrony skierował kroki w stronę kotłów, ale Baldwin wyszedł mu na spotkanie. W prawym ręku palacz trzymał ciężki młot.

— Jestem! Czy ma pan jakąś sprawę do mnie? — zapytał.

— Nie — odrzekł Walmers — nie zauważyłem tylko, że pan przyszedł do pracy. — I opuścił kotłownię...

Tooper zamknął za nim drzwi na zasuwę i udał się wraz z Baldwinem do podważonej płyty. Z otworu ukrytego pod nią wysunęła się głowa i ramiona oblepione żółtą gliną.

— Zaraz wyjdę! — rzekł człowiek tkwiący w otworze.

— Nie, nie trzeba! — pośpiesznie powiedział Tooper, — Podawajcie wprost stamtąd!

Człowiek zniknął i po chwili znów wysunęły się jego ręce. Tooper i Baldwin przykucnęli i odbierali twarde przedmioty zawinięte w cienki, różowy papier i owiązane jedwabnymi wstążeczkami. Paczki te wyglądały zupełnie jak pudełka ze słodyczami z cukierni. Było ich piętnaście. Gdy człowiek podał ostatnią i zniknął w otworze, Baldwin i Tooper zasunęły z powrotem ciężką płytę..

W jednym z kątów kotłowni stało biurko, Tooper i Baldwin umieścili pakiety w jego obszernych szufladach, po czym kierownik kotłowni rozłożył przed sobą wielką książkę i zaczął obliczać zużycie paliwa w kotłach...

Po kilku minutach w kotłowni zjawił się człowiek w kremowym ubraniu roboczym. Poprosił Baldwina o papierosa, zapalił i rzucił pytający wzrok na palacza. Ten wskazał oczyma na pograżonego w pracy Toopera. Gdy człowiek zbliżył się do biurka, Tooper wysunął jedną z szuflad i rzekł:

— Weźcie trzy!

Człowiek w kremowym kombinezonie wsunął dwie paczki do kieszeni, trzecią ukrył na piersi i wyszedł.

Scena ta powtórzyła się jeszcze trzy razy. Ostatni z odwiedzających rzucił na podłogę niedopalonego papierosa. Tooper spojrzął na niego z niezadowoleniem, podniósł niedopałek i przydusił na popielniczkę

Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim gościem, Tooper rzekł do Baldwina:

— Dla takiego człowieka jak ja — to jest straszne! Ale przecież nie wolno siedzieć beczynnym i pozwalać, aby się zajmowano takimi rzeczami, prawda?

— Łagodnie się pan wyraża — odparł Baldwin — przecież to są rzeczy ohydne, nieludzkie!

— No tak — rzekł Tooper, jakby mu ciężar spadł z serca — pójdę odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

Wyjął z szuflady pozostałe trzy paczki, schował je do kieszeni i wyszedł.

Wrześniowa noc była spokojna i ciepła. Nie spiesząc się minął podwórze i udał się na trzecie piętro do oddziału ekstrakcyjnego. Tam przechadzał się długimi korytarzami, wytworzonymi przez nagromadzone po obydwóch stronach przejścia wysokie stosy suchych traw sprasowanych w bele albo wtłoczonych w worki. Z zadowoleniem wchłaniał aromatyczne powietrze.

Gdy Tooper powrócił do kotłowni, Baldwin był przy palenisku. Zamknął drzwiczki i wytarł ręce szmatami.

Mechanik zwrócił się do palacza:

— Nie zapomnij. przygotować kocioł i, gdy się zacznie, ratuj się, Baldwin! Będę czekał na ciebie w mieszkaniu, mój przyjacielu!

— Nie ma się, co niepokoić o mnie, mister Tooper — odrzekł palacz — na pewno nie stracę głowy! Na tę chwilę czekam przecież już od dawna!

Przy wyjściu z fabryki, Toopera, jak w ogóle wszystkich, zrewidowano. Rentgen był stosowany tylko przy wejściu do zakładów.

Gdy Baldwin znalazł się sam, wyłączył wszystkie lampy, pozostawiając zapalone jedynie małe światło. Dorzucił węgla do pieca — płomień zahuczał głośniejsze. Ciśnienie pary zaczęło się podnosić. A Baldwin wciąż dodawał paliwa. Gdy otwierał drzwiczki pieca, czerwony blask ognia nadawał ostrym rysom jego twarzy niesamowity wyraz.

...Było około pierwszej po północy. Szef ochrony, Walmers, wybierał się do miasta — na bankiet pożegnalny, wydany na cześć pułkownika Willy, który wyjeżdżał do Stanów.

Wsiadając do samochodu Walmers zauważył, że w wąskich, ciemnych zazwyczaj oknach na trzecim piętrze, w oddziale ekstrakcyjnym, pojawiły się podejrzane błyski.

Po chwili szyby zaczęły pękać i jednocześnie w kilku otworach okiennych ukazały się długie języki oślepiających płomieni. Na podwórzu fabrycznym we wszystkich blokach rozległo się przeciągłe wycie automatycznych syren pożarowych.

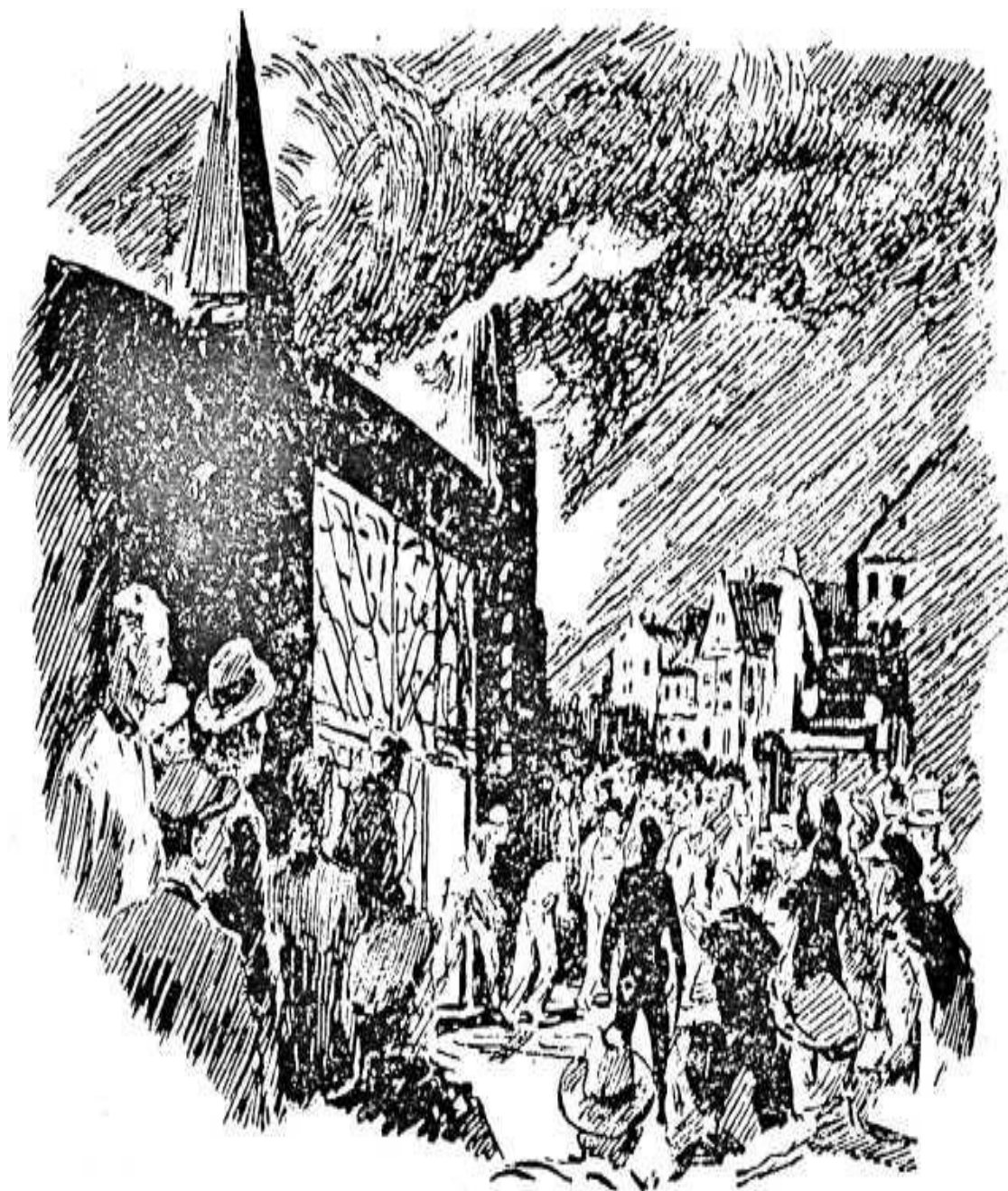
Ochrona na czele ze swoim szefem rzuciła się na ratunek oddziału ekstrakcyjnego. Ale pożar rozszerzał się z wielką szybkością. Klatki schodowe trzypiętrowego budynku momentalnie stanęły w ogniu. Nie- pomogły potężne automatyczne gaśnice i specjalne granaty tłumiące płomienie. Pod wpływem żaru wszystkie szyby już wyleciały. Nietknięte pozostały tylko trzy okna w mieszkaniu profesora Berteridge'a, który urządził tu sobie zaciszne gniazdko. Języki ognia ślizgały się po ścianie, pięły się w górę i łączyły się na dachu w potężną pochodnię. Szef ochrony Walmers za wszelką cenę chciał ratować profesora. Ale sam obawiał się zbliżyć za blisko do szalejącego żywiołu. Komenderował akcją z podwórza i pędził w ogień swoich podwładnych. Straż ogniowa niewiele jednak mogła zdziałać. W hydrantach pożarowych nie było wody! Cała sieć wodociągowa okazała się nieczynna!

Profesor Berteridge — jak to mu się często zdarzało, gdy nie bawił w mieście — spał mocnym snem w swoim mieszkanku wśród wonnych suszonych traw. Obudzony przeraźliwym alarmem, rzucił się ku drzwiom, ale na spotkanie buchnął mu w twarz słup płomieni, który odepchnął go w głąb pokoju. Berteridge rzucił się z kolei ku oknu, które otworzył gwałtownie.

Z podwórza widoczna była na pół ubrana postać profesora, stojącego na parapecie w otwartym oknie. Uczony coś wykrzykiwał, czyniąc przy tym rozpaczliwe gesty. Ale jego głos zamierał wśród wycia syren i ogólnego zgiełku. Przez podwórze pędzili strażacy niosąc szerokie płótno ratunkowe. Nie zdążyli dobiec do murów oddziału ekstrakcyjnego, gdy płomienie buchnęły z okien mieszkania Berteridge'a i otoczyły postać profesora, ukrywając go przed oczyma ratowników. Z przeraźliwym jękiem Berteridge runął w dół poprzez ognistą zasłonę. Strażacy nie zdążyli nadstawić płótna. Ciało Berteridge'a bezwładnie legło na asfalcie.

Twórca jedynej w świecie „udoskonalonej” szarańczy miał jeszcze tyle sił, aby wpić się

palcami w ramię swego szefa ochrony, Walmersa, przybyłego na ratunek.



— Będę żył... Muszę żyć... — rzeźił — Ratujcie piwnice inkubatorium... Archiwum... Jeszcze będę żył... To ty, czarcie, podпалиłeś... Powiesić go...

Długie palce jak sępie szpony zaciskały się wokół szyi Walmersa i wpiły się w gardło.

Pomocnik Walmersa wyrwał swego szefa z objęć oszalałego profesora, krzycząc:

— Ogień jest już wszędzie! Gasić nie można! To napalm!...

...Ludność przedmieścia coraz tłumniej zbierała się pod murami fabryki. Nadjechały samochody miejskiej straży pożarnej. Ale opancerzone wrota zakładów nie otworzyły się.

Komendant straży walił naprzód pięścią, a później i ciężkim butem w żelazną furtę i groził, że wyważy bramę taranem. W tym celu strażacy rąbali już stojący w pobliżu słup telegraficzny.

Ale katoryczny głos przez okrągły otwór w furtce ostrzegł komendanta straży, że bez rozkazu kierownictwa fabryki wjazd na teren fabryczny nie będzie możliwy.

— A jeśli spróbujecie wedrzeć się siłą, odpędzimy was ogniem karabinów maszynowych!

Tłum szalał. Odpowiedź, jaką otrzymał komendant straży, rozniosła się szybko wśród zgromadzonych. Krzyczano do strażaków:

— Jedźcie z powrotem! Krokodyle chcą się spalić bez waszej pomocy!

Nie bacząc na to strażacy rozwinęli gumowe węże, zaczęły pracować pompy. Ale na próżno!

W sieci nie było wody. Komendant straży dowiedział się przez telefon, że linia wodociągowa została chwilowo wyłączona z powodu uszkodzenia, ale ze względu na pożar dopływ wody zostanie natychmiast wznowiony.

Wreszcie od strony ulicy, przez wysoki mur zaczęły tryskać wysokie i obfite strumienie wody, skierowane na płonące bloki fabryczne.

Nagle od strony jednego z budynków rozległa się ogłuszająca detonacja.

— To wybuch kotła ! — odezwał się w tłumie jakiś męski głos.

Tymczasem tłumy pod murami fabryki wciąż rosły i rosły. Budynki zakładów płonęły jak pochodnie.

— To tylko tak się zdaje, że stare mury nie ulegają tak łatwo pożodze — mówił do otaczających go ludzi rosły mężczyzna, który przedtem skonstatował wybuch kotła. — W fabryce przez dziesiątki lat robiono lekarstwa, różne maści i olejki. Wszystko przepojone jest na- wskroś tłuszczem! I teraz pali się to jak świeca!

Wielu obecnych patrzyło na pożar z nieukrywanym zadowoleniem.

W pewnej chwili od strony fabryki wionęła fala ohydnych odorów.

— Cuchnie jak gdyby palił się dół z nieczystościami! — zauważył ktoś w tłumie. I natychmiast posypały się złośliwe uwagi:

— Czuć pieczonym krokodylem! Aligatory dostały się na patelnię!

Przybyły wzmocnione oddziały policji, które odpychały tłum od murów dopalającej się fabryki.

Podniecenie tłumy, jeszcze bardziej rozgorączkowanego wskutek interwencji policji, rosło z minuty na minutę. Na policjantów, którzy starali się odepchnąć tłum, posypały się ciosy. W ogólnym chaosie nie można było nawet odnaleźć ich sprawców. Wreszcie furta została otwarta i przez wąski otwór wdarła się na ulicę skłębiona masa ludzi w kremowych ubraniach.

Tłum powitał robotników fabryki groźnym pomrukiem. Słysząc było gwizdy i okrzyki:

— Szarańcza wylatuje. Uciekają jak karaluchy. Pieczone robactwo. Wynoście się do swojej Ameryki.

Tymczasem ogień powoli wygasał i nie było już widać płomieni nad murem. Wśród tłumy rozeszły się słuchy, że fabryka spaliła się doszczętnie. Wkrótce Walmers kazał otworzyć bramę i samochody straży pożarnej wjechały na dziedziniec fabryczny. Ale straż nie miała już nic do roboty. Tajemnica fabryki super-szarańczy została utrzymana...

Z gmachów pozostały jedynie wypalone, zakopcone pudła.

III. WOLA PRZECIW WOLI

Ałonow zakomenderował:

— Odwrócić się do mnie plecami!

Dywersant posłusznie wypełnił rozkaz. Jego podniesione do góry ręce drgały. Stał w bardzo niewygodnej pozycji i obawiał się wykonać najlżejszy ruch. Ałonow obejrzał się. Zauważył coś w rodzaju posłania z pościnanych świeżych gałęzi i leżący obok plecak. Na ziemi porzucone były dwie myśliwskie dubeltówki. Ałonow podniósł plecak i zarzucił go sobie na plecy. Następnie chwycił lewą ręką za ramię obydwu strzelb i rzekł do dywersanta:

— Marsz, naprzód! Ale powoli!

Wszystko to Ałonow uczynił z wielkim pośpiechem. Był przekonany, że tylko szybkość może go uratować. Ani na sekundę nie przestawał myśleć o trzecim bandycie. W każdej chwili oczekiwał niespodziewanego napadu z jego strony. Z za każdego krzaka mogło czyhać niebezpieczeństwo. Trzeci bandyta na pewno będzie się starał ratować swego herszta. Ałonow nie wiedział, kim był ten trzeci dywersant. Zabity leżał twarzą do ziemi. Ałonow nie miał czasu ani siły, aby go odwrócić. Zabrał broń, ale bandyta, który się ukrył, mógł przecież mieć w kieszeni pistolet. Niemniejsze niebezpieczeństwo groziło mu z tego powodu, że głowa wprost pękała z bólu. W oczach mu się dwoiło. Wszystko było trudniejsze niż przypuszczał. Żeby tylko jak najprędzej wydostać się na otwarte pole. Ani razu w ciągu tych trzech dni nie odczuwał takiego strachu. Nawet w pierwszej chwili, gdy natknął się na bandytów, nie było mu tak okropnie! Wówczas mógł działać swobodnie... A teraz nie wolno mu było spuścić oka z pleców dywersanta.

Wreszcie ciągnące się bez końca krzaki rozbiegły się w bok. Ałonow postawił bandytę obok większego krzewu, gdzie było ukryte pudełko mieszczące ampułki z szarańczą, i wydobył je.

— W prawo! — zakomenderował Sudariewowi.

Gdy doszli do jeziora, Ałonow kazał bandycie zatrzymać się. Ale nie udało mu się rzucić broni daleko od brzegu. Wskutek gwałtownego ruchu zakręciło mu się w głowie. A jednak obie strzelby znalazły się w wodzie.

Ałonow czuł, iż krew nie przestaje sączyć się po szyi. Męczyło go pragnienie. Wszedł do wody i starał się zaczerpnąć ją dłonią. Ale przyszło mu to z trudnością, ponieważ nie chciał się nachylać.

Ałonow wyszedł na brzeg i powiedział do bandyty:

— Pamiętaj, że ja nigdy nie chybiam. Pij, ale nie radzę robić zbytecznych ruchów.

Sudariew pił, a jednocześnie starał się zyskać na czasie i przyjrzeć się człowiekowi, który wziął go do niewoli. Dywersant nie poznał Ałonowa. Twarz jego pociemniała od błota i była umazana krwią. Włosy na głowie zlepiły się i również błyszczały od krwi. Jedno, więc tylko Sudariew wiedział na pewno: jego przeciwnik jest ranny. Ale ta twarz wydawała się Sudariewowi jeszcze straszniejsza niż w czasie postoju. Czerwona posoka na policzkach, błyszczące, utkwione weń oczy i broń większego kalibru, wycelowana



prosto w głowę! Ale najgorszy ze wszystkiego był głos! Już lepiej by było, gdyby krzyczał i wymyślał mu!

I Sudariew, oparłszy dłonie na karku, ruszył dalej. Głos z tyłu przynaglał:

— Prędej! Nie biec! Iść równo! Zwykłym krokiem! No, prędej!

Ałonow jeszcze w nocy postanowił, kierować się na północny-wschód. Był przekonany, że to jest najkrótsza droga, aby dostać się do kolei. W każdym razie chciał w to wierzyć.

W pewnej chwili Sudariew odezwał się do Ałonowa:

— Nie mogę więcej chodzić z podniesionymi rękoma. Mogliście się już przekonać, że jestem wam posłuszny. Boli mnie prawa ręka.

— Zdjąć z siebie i rzucić na ziemię marynarkę! Później odejść i nie oglądać się! — padł energiczny rozkaz z tyłu.

Ałonow kucnął i obmacał porzuconą marynarkę. Broni nie było. Natomiast w wewnętrznej kieszeni znalazł portfel. Następnie Ałonow zbliżył się do dywersanta, przyłożył mu do pleców lufę strzelby i przekonał się, iż również w kieszeniach od spodni nie ma broni.

— Włożyć z powrotem marynarkę i iść z rękoma opuszczonymi!

Sudariewa już nie bolała prawa ręka. Pozostał tylko pewien bezwład w przegubie kiści. Musi gruntownie wybadać przeciwnika. Co za jeden i skąd się tu wziął?

Słońce wznosiło się coraz wyżej i zaczynało przypiekać ranę na głowie Ałonowa. Kuła rozerwała na strzępy jego czapkę. Ałonow zatrzymał bandytę, zrzucił z siebie plecaki, zdjął kurtkę i Okręcił głowę skrawkiem koszuli — od razu zrobiło mu się lepiej.

Ałonow myślał tylko o tym, jakby dotrzeć do kolei. Musiał się kierować własną orientacją. Czas spędzony w stepie oduczył Ałonowa od liczenia na to, że kogoś spotka. Musiał polegać wyłącznie na sobie. Marzył o tym, gorąco pragnął, aby nareszcie znaleźć się przy linii kolejowej, ujrzeć stalowe szyny biegnące w dal!...

W pewnej chwili Sudariew nagle odezwał się:

— W moim portfelu znajdziecie pieniądze. Jakies dwa tysiące... Ale oprócz tego mam jeszcze gotówkę. Dużo...

Nie było odpowiedzi. Jednakże człowiek ten na pewno słyszał. Ziarno zostało zasiane w jego świadomości. Kimkolwiek by był, będzie myślał o pieniądzach i ziarno zakiełkuje. Sudariew cierpliwie wyczekiwał, godzinę, a *maże* więcej. Potym powiedział tylko trzy słowa:

— Dwadzieścia pięć tysięcy!

Znowu nie otrzymał odpowiedzi. Sudariew nie nalegał. Nie należy się spieszyć... Człowiek, który usłyszał tak wysoką sumę, będzie musiał myśleć o tym, w jaki sposób ją zdobyć.

Sudariew uspokajał sam siebie: przeciwnik na pewno wkrótce wda się z nim w rozmowę. Zacznie się targować.

Granice zbiornika wodnego pozostawały z prawej strony. Weszli w teren coraz bardziej górzysty. Przekroczyli już koryto naturalnego rowu, który odgradzał zarośnięte ostnicą płaskowzgórze od stepu.

„Naprzód, naprzód! — mówił Ałonow sam do siebie. — Prędziej!” — I nogi były coraz sprawniejsze. Nie potykał się. Mięśnie pracowały jakby same, mocą bezwładu, stwarzaną wysiłkiem woli.

Gdy roztoczył się przed nimi szeroki step, Sudariew rzekł:

— Nie chcecie dwudziestu pięciu tysięcy? Daję trzydzieści! Zgoda?

— Prędziej! — rzucił rozkaz Ałonow. Widział jak tłusta szyja dywersanta pokryła się potem. A Sudariew myślał sobie: „Mocno się trzyma. Chce podbić cenę. Ale nie wolno dawać od razu za dużo. Bo zażąda niemożliwości”... Sudariew postanowił czekać. Przeciwnik na pewno zmięknie.

W połowie dnia Ałonow zrobił mały postój. Kazał dywersantowi położyć się na ziemi, a sam wydobyl lornetę i zlustrował okolice. Dostrzegł w dali coś, co przypominało stromy -pagórek o nienaturalnie prawidłowych konturach. Dla oczu Stepowca była to rzecz zupełnie niezwykła. Ale stwierdzenie rodzaju obiektu z tak znacznej odległości było niemożliwe.

— Idziemy! — powiedział Ałonow.

Bandyta podniósł się i krzyknął:

— Czterdzieści tysięcy!

— Prędziej! — rozległ się rozkaz.

— Jak to prędziej? Nie mogę. Nie mam tyłu pieniędzy przy sobie. Ale w mieście otrzymacie je natychmiast.

— Prędziej! Marsz! — rzucił rozkaz Ałonow.

I znowu szli, i szli równym, rozległym stepem. Od czasu do czasu przecinali niegłębokie parowy. Ałonow przypomniał sobie mapę okręgu, która wisiała na ścianie w pokoju sekretarza komitetu rejonowego partii. Wyteżał umysł, aby wywołać w swej pamięci

szczegółowy plan sytuacyjny. Był na nim i most prowadzący przez kanał. Linia kolejowa przecinała 'kanał na samej granicy obwodu. Gzy to nie przeszła mostu widać na prawo w postaci dziwnego i stromego pagórka?

— Prędeż! Prędeż! — popędzał dywersanta Ałonow. Owładnęło nim niezwykle uczucie lekkości. Doznawał wrażenia, jak gdyby jego mięśnie same wprowadzały w ruch kończyny. Nie odczuwał już zupełnie bólu. Ból uniósł się jakby w górę i wisiał nad głową, bardzo rzadko dotykając włosów.

— Stać! zakomenderował Alenów.

Przez starą lornetę ponad głową bandyty spoglądał w dal. Teraz przypomniał sobie: droga na mapie, wprzód nim przecinała kanał, skręcała pętlą na południe. Wynika z tego, że idąc ku kolei most należy pozostawić z prawej strony..

— Prędeż! Naprzód!

Ale bandyta tym razem odmówił posłuszeństwa. Stał i zwrócił się twarzą do Ałonowa. Jego grube, szeroko rozstawione nogi dosłownie wrosły w ziemię. Sudariew rzekł silnym głosem:

— Słuchaj! Przestań udawać głupiego! Dam ci siedemdziesiąt tysięcy rubli! To jest wystarczająca cena za komedię, którą grasz przede mną od rana. Zgoda? Tyś nigdy nie widział i nie zobaczysz takich pieniędzy! To jest dla ciebie jedyna okazja w życiu! Słyszysz? Gotówką i w pół godziny po przyjeździe do miasta. Żądaj, jakiej chcesz gwarancji!

— Proszę mnie nie tykać! — rzekł Ałonow.

— Dobrze! A więc zgoda? Pomyślcie dobrze! Druga taka okazja nie zdarzy się wam w życiu, nawet, jeśli Sto lat będziecie żyli na świecie! Może wymienicie nareszcie rozsądną sumę.

— Milion! — powiedział Ałonow.

Dzieliło go od bandyty jakieś trzydzieści kroków. Sudariew dostrzegł uśmiezek na twarzy Ałonowa i odrzekł:

— Wy żartujecie, a ja mówię poważnie. Sto tysięcy — to najwyższa suma! Zgoda? Albo też nie dostaniecie ani grosza i będziecie, gdy się opamiętacie, gryźć sobie palce z żalu!

Sudariewowi zdawało się, że jego sprawa jest wygrana. Mógłby obiecać nawet milion. Inna rzecz — obiecać, a inna — dać. Jego przeciwnik podpatrzył zbrodniczy posiew szarańczy — pod tym względem Sudariew nie miał żadnych złudzeń! Ale obiecać milion — byłoby głupio. On nigdy w to nie uwierzy. Należy operować w granicach realnych sum. Sudariew zaczął odczuwać obawę, czy nie podważył zaufania do siebie, podnosząc tak szybko proponowaną kwotę do stu tysięcy. To był krok nieprzemyślany. Należało podnosić stopniowo — po dziesięć tysięcy. No, i dłużej się targować. Odezwał się solidnym tonem człowieka interesu: — Sto tysięcy mam w portfelu u siebie w mieście. Proszę mi wierzyć. Ale więcej pieniędzy nie posiadam.

Teraz Ałonow wybuchnął śmiechem, śmiech ten jednak brzmiał niesamowicie, podobny był raczej do płaczu. Nie — on się doprawdy śmiał!

Nagle przestał się śmiać i powiedział:

— Kapitalista! Handlarz szarańczą! Miliard?... Mało! Bilion?... Mało! Trylion?... Mało!

Głupiec! Odwrócić się! Naprzód, marsz!

Ale Sudariew już ruszył w kierunku Ałonowa. Krępy atleta był gotów zmiażdżyć tego młodzieniaszka, jak żdźbło słomy!

Broń była wymierzona w jego pierś. Kto wie? Sudariew w chwili rozpacz i wściekłości mógł wybrać natychmiastową śmierć. Ale lufa została skierowana w nogi i surowy głos ostrzegł go:

— Nie zabiję ciebie. Roztrzaskam ci tylko kolano. Moja broń jest nabita śrutem. Nie dam ci umrzeć z upływu krwi. Wrócę tu z ludźmi, którzy cię stąd zabiorą! A jeśli noc nas tu zastanie, będę cię musiał również unieszkodliwić, żebyś czasem nie odszedł ode mnie, bo w ciemności mogę cię niechcący zastrzelić! Naprzód! Prędeż! Nie trać czasu!...



Nie zawsze można sądzić o zamiarach innego człowieka według tego, jakby się samemu w danym wypadku postąpiło. Ałonow oczekiwał napaści ze strony bandyty, który się ukrył. Ale Klebanowski

uciekł. Z początku czołgał się na czworakach, a później wstał i zaczął biec. Słyszał strzały i zdawało mu się, że ktoś go ściga. Mógłby przysiąc, że jacyś ludzie szukają jego śladów, przedzierają się przez gęstwinę i chcą go schwycić...

Klebanowski miał za sobą pewne doświadczenie. Dwa razy już „upiekło się“

faszystowskiemu sługusowi. Dwukrotnie udało mu się uciec boso i w samej bieliźnie przed partyzantami, których niespodziewane nocne naloty rozniosły garnizony hitlerowskie.

Nie wybierając drogi pędził prosto przed siebie. Z tyłu rozległ się wystrzał. Klebanowski przypadł do ziemi, ukrył się na minutę i znowu zaczął biec. Zupełnie przypadkowo znalazł się przy zbiorniku wodnym i mknął z boku, które dywersanci wybrali na nocleg i gdzie zostały zakopane ostatnie naczynka z szarańczę. Nagle Klebanowski stwierdził, że znajduje się na zupełnie odkrytym terenie. Z trzech stron otaczała go woda, z tyłu miał za sobą pogoń. Nie namyślając się długo, wskoczył do wody. Rzadka i niska trzcina nie mogła zasłonić człowieka. Klebanowski przysiadł obmacując rękoma dno i chwytając się korzeni. Zanurzył się w wodzie tak, że wystawała mu tylko głowa. Chciał się jak najlepiej ukryć.

We wrześniu woda w tych okolicach jest już bardzo zimna. Z początku Klebanowski nie czuł chłodu. Ale wkrótce zaczął szczekać zębami i odczuwać dreszcze.

Ranek był cichy. Woda, uwolniwszy się od mgły, rzuciła coraz jaśniejsze błyski.

Klebanowski siedział wciąż w wodzie i poprzez rzadką siatkę cienkich pręcików spoglądał ze strachem na brzeg. Dreszcze wstrząsały nim coraz silniej. Poczł silne bóle w mięśniach, nieznośne skurcze w łydkach. Palce, którymi wpił się w kłębowisko korzeni, zgrabiały od mroźnej kąpieli. Woda jak gdyby chcąc się pozbyć zbytecznego 'balastu, wypychała go na ląd. Wbrew jego woli ciało wywlokło się na brzeg. Tam zważyło się, skrzyło i zamarło.

Pod wpływem coraz gorętszych promieni słońca Klebanowski powoli przychodził do siebie, ale z trudem odzyskiwał przytomność. Zdawało mu się, że ktoś nad nim stoi i podnosi ciężki młot, aby zadać nim cios. Klebanowski poruszył się i powiedział błagalnym szeptem:

— Poddaję się... Poddaję się... Poddaję się...

Nie słysząc odpowiedzi, bandyta zaskomlał jeszcze żałośniej:

— Nie bijcie... Nie zabijajcie... Poddaję się...

Klebanowski zaryzykował i przewrócił się na bok. Nikt mu nie groził, ani nikt go nie zabijał. Stał nad nim strach, najohydniejszy, niewidoczny strach. Poza tym nie było nikogo. A więc nikt go nie ściga...

Ta myśl przywróciła mu siły. Wstał i wyprostował przemarzłe kości. Odczuł nagły przypływ energii. Jeśli nawet wszyscy — oprócz niego — zginęli, to najważniejsza rzecz, że on sam pozostał przy życiu.

Klebanowski postanowił wydostać się z tej wodnej pułapki. W tym celu należało pójść z powrotem. Klebanowski ociągał się, ale nie było innej rady...

W tym miejscu, gdzie kiedyś bandyci urządzili postój, teren zwężał się, ale za to krzaki były gęściejsze. Przedzierając się przez nie Klebanowski marzył:

„Dotrzeć do domu, zabrać portfel Sudariewa i zniknąć na zawsze...”

To pomogło mu przezwyciężyć strach. Klebanowski dotarłszy bliżej miejsca postoju natężył słuch. Cisza coraz bardziej dodawała mu otuchy. Chripunow leżał twarzą do ziemi na wystygłym popiele wygasłego ogniska. Nie było ani Sudariewa, ani broni. Chripunow zawsze nosił pieniądze przy sobie. Klebanowski odwrócił trupa i położył na wznak. Ubranie z przodu było popalone, ale pieniądze zawinięte w ceratę, ocalały. Klebanowski schował je. Wyciągnął również z plecaka zabitego kawał kielbasy i zaczął z apetytem zajadać.

„Wszystko przez tego Sudariewa — rozmyślał. — Przecież naczynka z szarańczą można było zaraz pierwszego dnia pozakopywać w lasku. Jak go namawiał i przekonywał... Ale Sudariewowi miejsce to nie odpowiadało... No i wpakowali się.

Na szczęście stąd już blisko do stacji kolejowej. Można by dojść tam przed zapadnięciem zmroku... I jutro rankiem być już w domu... I to koniecznie przed Sudariewem .

Bandyta doskonale znał drogę. Strach ogarniał go, gdy wychodził na otwartą przestrzeń. Ale natychmiast po stwierdzeniu, że wokół nikogo nie ma, stawał się pewny siebie.

Aby dojść do najbliższej stacji kolejowej, trzeba było od razu skierować się na lewo od zbiornika wodnego. Dlatego Klebanowski nie mógł natknąć się na Ałonowa z Sudariewem i znacznie ich wyprzedził, zupełnie o tym nie wiedząc. Szedł bardzo szybko i nigdzie się nie zatrzymywał, nawet posiłek spożywał idąc.

O godzinie piątej przed wieczorem dywersant znalazł się u celu. Najbliższy pociąg osobowy przychodził o ósmej minut trzydzieści siedem. Miał więc przeszło trzy i pół godziny czasu. W skromnym bufecie stacyjnym znalazł doskonale piwo.

W Klebanowskiego wstąpiło nowe życie. Umył się i ogolił. Siedząc przed lustrem z założoną pod szyją serwetką, z lubością spoglądał na swą odmłodzoną twarz. Ale rozstawać się z wąsami było jeszcze za wcześnie. W głowie skropionej wodą kolońską układały się piękne plany na przyszłość...

Już od dłuższego czasu dróżnik kolejowy, który obchodził tor, obserwował dwóch ludzi zbliżających się do nasypu. Szli z południa, gdzie nie było żadnych wsi ani osiedli ludzkich. Gdy znaleźli się bliżej, kolejarz ku swemu wielkiemu zdumieniu dostrzegł, że człowiek idący z tyłu trzyma broń gotową do strzału.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Dróżnik kończył właśnie obchód, a żona w domu czekała z kolacją. Ale teraz zapomniał o domu i o głodzie — skierował się w stronę nadchodzących.

Krępy człowiek, który kroczył przodem, lekko wdrapał się na nasyp. Drugi, który go eskortował, krzyknął „stój!” i również wszedł na pochyłość. Ale z trudem ciągnął za sobą nogi. Twarz jego pokryta była strupami zakrzepłej krwi. Głowę miał obwiązaną brudnym strzępem koszuli, pokrytym krwawymi plamami.

Schwycił dróżnika za ramię i nie patrząc na niego — przez cały czas, bowiem nie spuszczał wzroku z krępego, i trzymał wycelowaną broń — z dużym wysiłkiem wyrzucił z siebie głuchym głosem:

— Bardzo niebezpieczny dywersant! Posiał jajeczka szarańczy obok kanału!

Kolejarz nie od razu uprzytomnił sobie, o co chodzi. Słowa „dywersant” i „szarańcza” nie od razu wytworzyły w jego świadomości określony obraz. Ale po chwili domyślił się wszystkiego.

— I ty go schwytałeś! Zuch z ciebie!

— a zwracając się do krępego krzychał:

— Ty, przeklęty gadzie! Czego wytrzeszczasz oczy! Jaki czort cię tu przysłał?

Kolejarz zaproponował Ałonowowi, aby zdjął pas ze strzelby.

— Dla pewności skrępujemy tego łajdaka! — rzekł i zaczął krzyżeć na dywersanta tak, jakby ten znajdował się gdzieś daleko:

— Dawaj łapy! Stój spokojnie! Nie kręć się, diable zatracony!

Dróżnik skręcał ręce bandyty, który wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki.

— Sycz, sycz, ty źmijo! Oczka masz odpowiednie, tylko zębki zapomniałeś od niej wziąć i nie możesz kąsać!

Odciągnął Sudariewa na bok, zgiął go w pół, kazał mu sięść na ziemi i związał bandycie nogi kawałkiem postronka.

Kłonów siedział na skraju niskiego nasypu, spoglądając spode łba na dywersanta. Dróżnik nachylił się nad Kłonowem.

— Co ci jest? Boli? Zadrasnął cię jednak? — zwrócił się ze współczuciem do Ałonowa, ujmując go za podbródek i patrząc mu czule w oczy.

— Jestem wyczerpany — odrzekł Ałonow — a jego przecież trzeba jeszcze odstawić do miasta.

— No, tak — potwierdził dróżnik — a do stacji jest jeszcze spory kawałek. Ale mam na to radę! — zerwał się na równe nogi. — Zaraz będzie szedł pociąg — siedemdziesiąty ósmy. W tak wyjątkowym wypadku można go śmiało zatrzymać. — I zaraz dodał: — U nas od czasu władzy radzieckiej szarańczy nie było. I o dywersantach nigdy tutaj nie słyszano. Wypocznij sobie — zwrócił się znów bezpośrednio do Ałonowa — o niczym teraz nie myśl — uspakajaj go.

Dróżnik oddalił się. Uszedł kilkaset kroków wzdłuż toru, wyjął z blaszanego cylindrycznego pudełka, przytwierdzonego do paska, cztery petardy, które umocował na szynach lewego toru. Następnie wrócił do Ałonowa i rozwinął czerwoną chorągiewkę...

Słońca zachodziło...

Maszynista pociągu osobowego, zauważył z daleka dróżnika stojącego na środku toru. Postać człowieka na tle ognistej tarczy zachodzącego słońca była doskonale widoczna, ale koloru chorągiewki, którą ten trzymał w ręku, nie można było dostrzec w zapadającym zmroku.

Na znak maszynisty jego pomocnik zaczął zmniejszać szybkość. W tej chwili petardy wybuchły pod kołami. Natychmiast wyłączono parę i puszczone w ruch pneumatyczne hamulce. Parowóz zatrzymał się tuż przed dróżnikiem. Maszynista wychylając się z okna parowozu krzyknął:

— Co się stało?

— Złapano dywersanta! Rozrzucał szarańczę!

Maszynista dał kilka gwizdków alarmowych. Zboczem nasypu biegł konduktor i kierownik pociągu.

— Dlaczego pociąg się zatrzymał? Awaria?

Ałonow siedział nadal bez ruchu, trzymając w ręku nabitą broń i nie odrywając oczu od Sudariewa. Słyszał głosy zbiegających się ludzi, ale nie starał się zrozumieć sensu ich słów. Czyjaś ręka poczęła mu na plecach:

— Towarzyszu! Towarzyszu! Co wam się stało?

Ktoś siedział obok niego. Ałonow ujrzał naramiennik majora z błękitną wypustką. Z wielkim wysiłkiem wskazał bronią w kierunku Sudariewa:

— Przywódca szajki dywersantów! Zakopali w ziemi naczynka z jajeczkami szarańczy w rejonie graniczącym z północnym brzegiem zbiornika wodnego.

— Szarańczy?... — podejrzliwie, z niedowierzaniem zapytał major służby bezpieczeństwa.

— Tak jest. Są dowody. Wyjmijcie z mojej kieszeni pudełko, zobaczycie...

Major otworzył pudełko i z zainteresowaniem oglądał niebezpieczne ampułki.

— Miejcie na oku dywersanta! Kto wie, czy nie będzie próbował odebrać sobie życia.

Major powstał, chowając pudełko do kieszeni, Tymczasem wielu pasażerów opuściło

wagony, aby się dowiedzieć, jaka jest przyczyna zatrzymania pociągu. Z zaciekawieniem oblegali miejsce, gdzie siedział Ałonow z dywersantem. Widząc to major wdrapał się na schodki wiodące do kabiny maszynisty i zawołał:

— Towarzysze! Proszę wsiąść do wagonów! Pociąg za chwilę rusza! A towarzyszy oficerów proszę, aby na chwileczkę zatrzymali się tutaj i pomogli nam.

Major wydawał rozkazy energicznym głosem. Dwaj oficerowie ujęli dywersanta pod ramiona i pomogli mu wstać. Dróżnik rozluźnił więzy i uwolnił nogi bandyty. Po chwili Sudariew zniknął z oczu Ałonowowi.

Ałonow zupełnie opadł z sił. Ledwie mógł poruszać nogami. Głowa bolała go coraz silniej.

— Czy słyszycie mnie? Czy możecie chodzić? — rozległ się głos majora.

Ale Ałonow nie odpowiadał. Czuł, jak kilku ludzi schwyciło go i zaniósło gdzieś daleko.

Zrobiło mu się wstyd, iż daje się nosić na rękach jak małe dziecko. Ale nie mógł protestować, ani wyrwać się z krzepkich dłoni. Czyjaś głowa znalazła się na równi z jego głową i Ałonow rzekł:

— Jeszcze jeden dywersant tam został... Jest na wolności i może dalej szkodzić... Jeszcze jeden bandyta znajduje się w stepie...

Gdy wnoszono go po stromych stopniach do wagonu, wciąż powtarzał:

— Nie udało mi się unieszkodliwić drugiego bandyty... Jest na wolności... Jeszcze jeden...

Bardzo niebezpieczny... Trzeba go jak najprędzej schwytać...

...Ostry zapach uderzył w nozdrza i zmusił Ałonowa do przebudzenia się... Poczuł równomierne kołysanie pociągu i otworzył oczy. Z boku padało silne światło od stojącej lampki elektrycznej. Głowa kobieca w białym czepku skłoniła się nad nim. Amoniak ma woń bardzo nieprzyjemną... Ale pozwolił leżącemu rozpoznać trzy męskie twarze, które zjawily się nagle zamiast jednej kobiecej. Po głosie poznał majora. Pozostałych dwóch nigdy nie widział. Był to generał, który ustąpił swe miejsce rannemu, oraz wyższy urzędnik okręgu.

— Czy słyszycie mnie? Czy możecie mówić? — padło pytanie.

— Tak. Ale gdzie jest Sudariew?

— Jaki Sudariew? — Zdziwił się major i badanie głównego świadka w sprawie aktu dywersji odbyło się nie według powziętego z góry planu.

— Ten dywersant, którego wam przekazałem.

— Możecie być zupełnie spokojni. Jest pod dobrą opieką. Czy znacie go?

— Nie. Ale słyszałem, że go tak nazywali.

— Kto?

— Bandyci.

— Ilu?

— Było ich pięciu.

— Dlaczego mówicie, że było?

— Zastrzeliłem dwóch, a trzeci utonął w bagnie.

Trzej mężczyźni zaczęli szybko mówić, przerywając jeden drugiemu. Ałonow próbował wnikać w sens słów, ale myśli zaczęły znów się płatać. Zdążył jeszcze powiedzieć:

— Proszę o jeszcze trochę amoniaku...

Pielęgniarka, która miała służbę w pociągu, podała mu otwarty flakon i Ałonow zmusił się do wchłaniania zapachu pełną piersią.

— A może znacie nazwiska pozostałych? — pytał w dalszym ciągu major.

— Figurnow. Ten zginął w trzęsawisku. Jednego zastrzeliłem, gdy jeszcze nie wiedziałem, jak się oni nazywają. Dalej... Klebanowski i Chripunow. Zastrzeliłem jednego z tych dwóch, gdy dziś rankiem ich zaatakowałem. Ale nie wiem którego...

Major szybko zanotował, a Ałonow ciągnął dalej wyprzedzając pytania:

— Zakopali ampułki z szarańczą w trzech miejscach. Posiali tego bardzo dużo. Siali przez całe dwa dni. Na płaskowzgórzu, w ostnicy, w pobliżu zbiornika wodnego zasilającego kanał.

I na jego brzegach. Tam jest moc takich ampułek. Sam widziałem. Rozrzuciłem nawet w tych miejscach łuski od naboju z kartkami. Napisałem w nich wszystko. Trzeba zniszczyć szarańczę. Gdyby strzelba się nie zacięła, zabiłbym i trzeciego. A tak, będzie mógł dalej działać.

— Kiedyście ich zauważyli? — rzucił pytanie generał.

— O już dawno — odparł Ałonow.

— Może pamiętacie dzień?

— Zdaje się, że była niedziela.

— A dzisiaj czwartek — rzekł generał.

— Poszukajcie w moich kieszeniach — poprosił Ałonow. — Znajdziecie tam portfel Sudariewa. I wziąłem też plecak jednego z bandytów.

— A jak wy się nazywacie? — zapytał major.

— Ałonow. Z sowchozu Mołotowa. Trzeba jak najprędzej ująć bandytę, który mi się wymknął.

— Na pewno będzie schwyty, towarzyszu Ałonow. A teraz śpijcie sobie spokojnie.

U łoża śpiącego Ałonowa odbywała się półgłosem narada. Generał postanowił, aby od samego rana na poszukiwanie w stepie wysłane zostały samoloty. Pracownik okręgu polecił porozumieć się z władzami kolejowymi, w celu ścisłego obserwowania na całym węzle, wszystkich podróżnych, którzy by mogli, wzbudzić najmniejsze podejrzenie. Łączność z organami bezpieczeństwa i milicji miał nawiązać major. Na szczęście znalazł on w portfelu dywersanta dowód osobisty.

— Sudariew, czy nie Sudariew — to jeszcze się przekonamy — powiedział major. — W dowodzie mamy zupełnie świeży meldunek sprzed dziesięciu dni. Co prawda jest to tylko nitka, ale po niej można dojść do kłębka zbrodniczych czynów.

— Pojadę do tego miasta, gdzie właściciel dowodu był zameldowany — powiedział pracownik okręgu.

— Nie możemy czekać do jutra — sprzeciwił się major. — Musimy działać błyskawicznie.

Dyspozytorzy i dyżurni ruchu na wszystkich stacjach węzła kolejowego, niewtajemniczeni w całą sprawę, byli zdumieni. Pociąg numer siedemdziesiąty ósmy oprócz nieprzewidzianego dwudziestopięciominutowego zatrzymania na linii miał jeszcze dodatkowo piętnaście minut opóźnienia, o które został przedłużony zwykły ośmiominutowy postój na najbliższej stacji... W ciągu tego czasu generał telefonicznie zapoznał dowódcę stacjonującej w pobliżu jednostki lotniczej z tym, co zaszło, i otrzymał odpowiedź, iż o świcie zostaną wysłane samoloty w celu zlustrowania bezludnej strefy stepu. Major nadał kilka depesz służbowych i zakomunikował władzom stepowego miasteczka cztery nazwiska i jeden adres. A pracownik okręgu załatwił z kierownikiem odcinka kolejowego i wydziałem politycznym, że przedsięwzięte zostaną specjalne środki i obserwacja terenu leżącego pomiędzy kanałem i miasteczkiem stepowym. Wydział polityczny kolei zwrócił się za pośrednictwem specjalnej służby łączności do wszystkich pracowników węzła' kolejowego z następującym apelem:

„Bandyta krąży wokół was, towarzysze! Dywersant knuje zamach przeciwko naszej Ojczyźnie! - Bądźcie czujni!”

Nie było nikogo w zagrożonej strefie, kto by nie pełnił dyżuru, w ciągu nocy. Mieszkańcy domków dróżniczych i bloków brygad kolejowych podzielili pomiędzy siebie nadzorowanie całej linii kolejowej. Pełnili wartę robotnicy, ich żony, matki, ojcowie i dzieci. Nawet najmłodszy chłopcy i dziewczęta — marzyli o schwytaniu dywersanta. Klebanowski nie będzie mógł prześliznąć się przez tę gęstą sieć.

I nie było w tym winy społeczności kolejarskiej, że dywersant się wymknął. Na tej samej stacji, na której pociąg numer siedemdziesiąty ósmy zamiast ośmiu zatrzymał się dwadzieścia trzy minuty, Klebanowski dostał się niepostrzeżenie do wagonu...

Piwo w bufecie było rzeczywiście wyśmienite, a wódka dla niego była wszędzie doskonała.

Klebanowski nie wytrzymał i uległ nałogowi. Znalazł zresztą dla siebie usprawiedliwienie — musi przecież dodać sobie animuszu. Opóźnienie pociągu przeciągało się i bandyta miał dość czasu, aby dokładnie opróżnić kieliszki. Gdy pociąg nadszedł, Klebanowskiemu starczyło tylko tyle sił, żeby po wręczeniu biletu konduktorowi — zwalić się na gościnny materac, zaścielony czystym prześcieradłem, ułożyć głowę na poduszce, okryć się kocem i smacznie zasnąć.

Do późnej nocy wagony huczały od głośnych rozmów ludzi podnieconych niezwykle wypadkami, oburzonych na zbrodniarzy - dywersantów. I spośród wszystkich pasażerów, szczelnie wypełniających pociąg, bodajże jeden tylko Klebanowski nie słyszał ani słowa z tego, co mówiono o nim i o jego szajce.

Po odejściu pociągu ze stacji, na której opiekunowie Ałonowa wydali wszelkie niezbędne zarządzenia, zebrali się oni znowu w przedziale, obok rannego, który spał pod troskliwym okiem pielęgniarki.

Siostra chciała już — acz niechętnie — obudzić pacjenta, ale major uczynił przeczący ruch ręką i powiedział:

— Niechaj śpi! A siostra też powinna pójść odpocząć. My już będziemy przy nim czuwać.

— Nie rozmawiałem z tym Sudariewem — mówił major po odejściu pielęgniarki — nie przypatrzyłem mu się dobrze, ale sądzę, że z nim sprawa pójdzie łatwo. Towarzysz Ałonow ostrzegał nas, że bandyta chce sobie odebrać życie. Być może, iż w pierwszych chwilach nosił się z tym zamiarem, ale teraz nie należy się tego obawiać. Obecnie robi wrażenie, człowieka zupełnie złamanego. Siedzi milczący, zatopiony w myślach...

Chyba już po raz dziesiąty trzej mężczyźni oglądali zawartość pudełka Ałonowa, podziwiając niezwykle ampułki z szarańczą.

— A jednak to okropne, gdy się to widzi na własne oczy! — odezwał się generał. — I tylko pomyśleć, że doszli do takich potworności: stonka, bakcyle dżumy i różnych tyfusów, szarańcza! Nie jest z nimi dobrze, jeśli chwytają się takich środków.

— Są coraz słabsi, miotają się w sieci sprzeczności! — rzekł major.

— Rozkładają się za życia! — dodał pracownik okręgu.

Nadrabiając stracony czas, pociąg osobowy pędził z szybkością pośpiesznego. Snopy światła z reflektorów parowozu przecinały mrok stepowej nocy, wagony kołysały się rytmicznie, stukot kół wybijał jednostajną melodię.

Obok łoża pogrążonego w głębokim śnie Ałonowa w dalszym ciągu ta sama trójka roztrząsała sprawę nieudanej dywersji.

— Aż strach pomyśleć — odezwał się pracownik okręgu — że gdyby nie Rewolucja Październikowa, cała kula ziemską pozostawałaby pod panowaniem państw kapitalistycznych. I jaki mielibyśmy obraz świata? Cały wysiłek, nauki w państwach kapitalistycznych skierowany jest na wojnę. Imperialiści chcą strącić ludzkość w przepaść, cofnąć ją o tysiąc lat Wstecz. Już obecnie wypróbowują oni praktycznie swą broń bakteriologiczną — zarazki sztucznie wyhodowane przez lich uczonych dla celów wojennych. Nie wiadomo jeszcze, jakie okropności wymyślą, aby ratować swój ginący świat. Imperialiści tkwią w przestarzałych poglądach na historię — nie rozumieją siły naszego socjalistycznego ustroju, ani tego, że mamy do rozporządzenia 'tysiące środków, aby stłumić w zarodku każdą epidemię, któraby u nas wybuchła.

— Jest rzeczą znaną — dorzucił major — że gdy młoda republika broniła się przed obcą interwencją, tyfus zabrał nam więcej ludzi, niż kule wroga. Ale w czasie Wielkiej Wojny Narodowej, w najtrudniejszych warunkach potrafililiśmy nie dopuścić do żadnej epidemii... Mam troje dzieci i niedługo urodzi się czwarte. Nie obawiam, się o ich przyszłość!...

Na godzinę przed przybyciem pociągu do stepowego miasteczka konduktorka wagonu, w którym jechał Klebanowski, obudziła swoją koleżankę, która, miała ją zastąpić. Opowiedziała jej z przejęciem o schwyтaniu dywersanta, poczym dodała:

— I wiesz, na następnej stacji, gdzie pociąg tak raptownie zahamowano, wsiadł jakiś taki... Rzeczy żadnych nie miał, tylko plecak jak u myśliwego, ale bez broni. Pijany, bo pijany, aż wstręt wzbudzał... Kto wie, może to właśnie ten bandyta, który zbiegł?

— Pokaż mi go też — prosiła koleżanka.

Nalana twarz pasażera z rozwartymi ustami i rozwichrzonymi węsami była odpychająca.

Mogła ona rzeczywiście wywołać podejrzenia u zdenerwowanych kobiet.

Konduktorki zamknęły się w służbowym przedziale i zaczęły się naradzać.

— I najgorsze, że zaraz ma wysiadać! Już czas go obudzić. A co będzie, gdy się okaże, że to bandyta?

— Najlepiej, idź do kierownika pociągu, niech ci powie, co masz robić — doradziła starsza.

Kierownik pociągu po zastanowieniu się zapytał:

— Ilu pasażerów wysiada z twojego wagonu?

— Tylko jeden.

— Nie budź go! A ja tymczasem szepnę słówko milicji.

Pociąg stanął na stacji.

Pogrążonego w głębokim śnie Ałonowa troskliwie wyniesiono na noszach z wagonu i umieszczono w karetkie sanitarnej, gdy Klebanowski, którego konduktorka obudziła z wielką trudnością, wyszedł z wagonu na peron i skierował się ku wyjściu.

Przed wagonem przechadzał się milicjant, który udał się w ślad za idącym szybko pasażerem.

Tuż za milicjantem pobiegła umierająca ze strachu konduktorka. Na końcu peronu, przy wyjściu do miasta, stał jeszcze jeden milicjant. Ten pierwszy, który szedł za Klebanowskim, zrównał się z nim, przyłożył rękę do daszka i powiedział:

— Obywatelu! Proszę o dowód!

Klebanowski drgnął. Trzęsącymi się rękami z trudem wyciągnął z kieszeni swój dowód osobisty. Cienka książeczka przemokła w czasie przymusowej kąpieli w jeziorze, gdzie Klebanowski ukrył się przed wyimaginowanym pościgiem. Milicjant starał się ostrożnie paznokciem, rozdzielić jeszcze wilgotne, zlepiane kartki.

— Ej, obywatelu! Czy tak należy się obchodzić z ważnym dokumentem? Ej, nieładnie!

Gdzieżeście byli? Tonęliście, czy co?

Spojrząwszy na pierwszą stronicę, przedstawiciel władzy zapytał o nazwisko.

— Klebanowski... — padła odpowiedź.

— Tak, obywatelu! Zgadza się!

Milicjant schował dowód do kieszeni i znów przyłożył rękę do daszka:

— Proszę ze mną.

Drugi milicjant zbliżył się do Klebanowskiego.

— Dlaczego? O co chodzi? — bełkotał jękając się Klebanowski i cały dygotał ze strachu.

— Proszę ze mną do komisariatu! Tam obywatelowi wyjaśnią!

Komisariat milicji znajdował się obojętnie, w budynku dworca.

Dyżurny oficer milicji kolejowej rozkazał:

— Zrewidować go!

A potem ten sam oficer krzyknął w telefon:

— Mamy Klebanowskiego! Dokąd go odstawić?

Tak więc Klebanowski został aresztowany. Depesza majora spełniła swe zadanie. Już od nocy czekali na bandytę milicjanci w jego domku na peryferii i na dworcu na peronie. W najlepszym razie mógł dojść tylko do domu...

Zarządzony uprzednio alarm został odwołany.

Naczelnny chirurg szpitala miejskiego, zbadawszy Ałonowa leżącego na stole operacyjnym, mówił do zebranych wokół ludzi:

— Śpi. Śpi spokojnie. Wszystko w porządku... Utrata krwi i przemęczenie. Przez cztery czy pięć dni ścigał bandytów. Czym się odżywiał? Przecież prawie nic nie jadł. Spał bardzo mało.

A przedenerwowane? Patrzcie, jak wysechł. Dzielny chłop. Odpocznie i przyjdzie do siebie.

No, szykujcie go. Tylko ostrożnie, żeby nie obudzić.

Delikatne dotknięcia wprawnych rąk uwolniły głowę Ałonowa od przyschłego do skóry zakrwawionego strzępu koszuli. Zgolono mu włosy, obmyto twarz. Odśloniła się długa rana wzdłuż ciemienia.

— Lokalne znieczulenie — wydał dyspozycję chirurg. — Spróbujemy w dalszym ciągu go nie budzić. Ale środek nasenny musi być pod ręką... Patrzcie — mówił zakładając szwy — dwa milimetry niżej i... Widocznie kula omija odważnych.

Przy stole operacyjnym po zakończeniu zabiegu zebrał się prawie cały personel szpitala. Wszyscy chcieli zobaczyć. Ałonowa. W tym niezwykłym wypadku patrzono przez palce na naruszenie surowej dyscypliny szpitalnej.

Chirurg mył ręce przysłuchując się cichym szeptom i hamowanym okrzykom. Uśmiechając się do swego odbicia w lustrze powiedział:

— A jednak pozostaną blizny na ciemieniu. Będzie musiał sobie robić przedział z boku żeby podobać się dziewczętom.

Lekarzowi odpowiedział chór oburzonych kobiecych głosów:

— Jak można mówić takie rzeczy? Widać nie znacie naszych kobiet...

* * *

Od jednego z moich przyjaciół dowiedziałem się o Ałonowie. Od stacji kolejowej do sowchozu im. Mołotowa szedłem pieszo. Piękne bywają już dni w połowie marca. Przyjemnie przejść się po dwóch dobach spędzonych w wagonie. Śnieg tajał pod gorącymi promieniami słońca. Jak lekko człowiek oddycha na stepie! Nawet nie zauważyłem, że przeszedłem cztery czy pięć kilometrów.

Dyrektora nie było w sowchozie, zaś o Ałonowie poinformowano mnie, że z samego rana udał się konno do sąsiedniej wsi i wróci dopiero na obiad. Od sekretarza organizacji partyjnej dowiedziałem się, że ubiegłej jesieni sowchoz zbudował wielkie tamy na terenach, które ongiś tak dobrze poznał Ałonow i od wiosny pasać tam będą młode bydło.

— A szarańczę — opowiadał sekretarz — całą wykopano i zniszczono. Sami bandyci wskazywali miejsca, gdzie posiali szkodników. Ale można się było obejść i bez nich. Nasz Ałonow wszystko podpatrzył, wszystko dobrze zapamiętał. Jeśli nawet coś pozostało w ziemi, to na wiosnę i tak cały obszar będzie się znajdował pod ścisłą obserwacją. Najważniejsza rzecz — to w porę unieszkodliwić wylęgłą szarańczę.

Szliśmy z sekretarzem po rozległych gruntach należących do sowchozu. W pewnej chwili zza płotu wyszedł młodzieniec. Stawiał długie kroki na ścieżce pokrytej mokrym śniegiem. W ślad za nim stąpał wierzchowiec, z którego szła para, widocznie po przebytej długiej drodze. Strzemiona były przerzucone przez siodło, popręgi popuszczone i wodze zarzucone na szyję — wszystko ściśle według przepisów obowiązujących wojskowego kawalerzystę. Siwek igrał ze swym panem i szturchał go chrapami w ramię. Sekretarz rzekł do mnie:

— Iwan Aleksandrowicz już powrócił. Przywitaliśmy się. Od pierwszego słowa zrozumiałem, iż dla Ałoriowa zarówno mój przyjazd, jak i jego cel nie były tajemnicą.

Udałem się z nim razem do stajni, dokąd Ałonow odprowadził konia. Pragnąc ożywić pierwsze chwile naszej znajomości i znaleźć drogę do serca Ałonowa, zacząłem wychwalać mądrość jego siwka. Ale to nie wywołało pożądanego efektu.

Zjedliśmy razem obiad w stołówce sowchozu i wymieniliśmy między sobą szereg zdawkowych uwag. Widziałem, że wszyscy ludzie dokoła bardzo lubią Ałonowa, ale ja dla niego pozostawałem wciąż obcy. Bardzo mnie to krępowało.

Po obiedzie Ałonow zaprosił mnie do siebie. Wyraźnie widziałem, że gospodarz ogranicza się tylko do koniecznych obowiązków gościnności. Poczęstował mnie jakimś szczególnym

tytoniem, który miał bardzo przyjemny smak i aromat.

— Mieszam go z nostrzykiem i jeszcze innymi trawami stepowymi — powiedział.

W jego pokoju panował porządek. Nad łóżkiem wisiała fuzja, słodka twarz dziewczęca spoglądała z ramki stojącej na stole. Duży portret Stalina widniał na ścianie. A wokół leżało dużo podręczników. Dowiedziałem się, że Ałonow ma się zapisać na zaoczne studium w instytucie hodowli zwierząt gospodarskich.

— Czy nie lepiej wstąpić na normalny kurs? — zagadnąłem — było by wam znacznie łatwiej,

— Naturalnie, że tak — zgodził się Ałonow — ale nie chcę odrywać się od pracy w sowchozie. Postaram się jakoś pogodzić jedno z drugim.

Byłem przekonany, że na pewno mu się to uda. Rozmowa znowu się urwała. Od Ałonowa w dalszym ciągu wiało chłodem. Wówczas zrobiłem ostatni wysiłek — zacząłem mówić o sprawach, które były związane z przygodami Ałonowa w stepie — o wrogach walczących przy pomocy szarańczy i o bojownikach ruchu pokoju w obozie wroga.

Ałonow ożywił się. Gdy przerwałem na chwilę powiedział:

— Ci ludzie — to prawdziwi bohaterowie. A ja, co? Byłem przecież u siebie w domu...

Lody stopniały. Ałonow zapalił się i opowiedział mi o wszystkim — o każdym swoim kroku, o każdej myśli. Przed moimi oczyma przesunął się obraz owych długich pięciu dni jego walki z dywersantami. W tej powieści starałem się przedstawić wszystko tak, jak było.

KONIEC

